

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/553

1993



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Wł. BOLECKI: „**BĘDZIEM POLAKAMI...**”

J.W. GOMULICKI: **TRZY SPOTKANIA**

Wł. ODOJEWSKI: **SWOI I OBCY**

M. PODHORSKA:

ROZMOWA Z DR. KEITH SWORDEM

B. OSADCZUK: **KLĘSKA UKRAINY W JAŁCIE**

SPIS RZECZY

Włodzimierz Bolecki:	„Będziem Polakami...”	3
Juliusz Wiktor Gomulicki:	Trzy spotkania	12
Stanisław Stempowski:	Śmierć agawy	24
Włodzimierz Odojewski:	Swoi i obcy	27
WIERSZE		
Adam T. Bąkowski:	Papier	39
Tadeusz Chabrowski:	* * *	39
Stanisław Dłuski:	Stary dom...	40
Maciej Niemiec:	Niedziela na Polach Marsowych	40
Ks. Jan Sochoń:	Krew. — Zrozum	41
Florian Śmieja:	Dwa mity	41
WYWIADY „KULTURY”		
Maria Podhorska:	Rozmowa z dr. Keith Swordem	43
KRAJ		
SMECZ:	Z ukosa	57
Krzysztof Wolicki:	Nowa Polska na ekranie	68
Ewa Berberysz:	Kartka ze skażonej strefy	74
TELEWIDZ:	Telewizja prywatna	78
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	Notatki rosyjskie	81
Bohdan Osadczyk:	Kłęska Ukrainy w Jalcie	86
Andrzej Stach:	Kronika niemiecka	92
Leszek Szaruga:	Niemieckie wydanie „Dekady Literackiej”	96
NOTATKI REDAKTORA		
KRONIKA KULTURALNA		
Leszek Szaruga:	Scalanie literatury kresowej	101
Piotr Daszkiewicz:	O narodzinach fitosocjologii	104
—	Nagrody	107
CI, CO ODESZLI		
Józef Dużyk:	Strażnik złotego rogu	109
Marek Rudzki:	Małgorzata Targowska i Jacek Bierezin	117
Aleksander Gołda:	Jan Ekiert	119
KSIĄŻKI		
Lech Paszkowski:	Dzieje Romerów na Litwie	122
M. Broński:	Europejczycy	134
Maria Danilewicz Zielińska:	Przekrój twórczości Wacława Berenta	141
—	Nadchodzące nowości wydawnicze	148

d.c. Spisu Rzeczy na str. 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik/Octobre 1993

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Zdzisław M. Bobrowicz, Princeton, NJ (USA), po raz 3-ci — dol. 150,00	F.	840,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza, zmarłego 5 października 1979 roku — dol. 100,00	F.	560,00
B.T. Łaszewski, New York, NY, po raz 25-ty — dol. 50,00	F.	320,00
Edward L. Salamoński, Saint Petersburg, FL (USA), po raz 32-gi — dol. 20,00	F.	112,00
Mieczysław Wiackiewicz, Filadelfia, PA (USA), po raz 5-ty — dol. 7,00	F.	40,00
Zamiast kwiatów na grób Heleny Pyśk w 10-tą rocznicę Jej śmierci — Hedda Perska, Sztokholm	F.	100,00
Anonimowo, Paryż, po raz 28-my	F.	200,00

DZIĘKUJEMY

Jan Zalewski, Chester, W. Brytania, na pomoc Polakom w Rosji — £ stg. 20,00	F.	180,00
--	----	--------

„Będziem Polakami...”

I

Po opublikowaniu mojego artykułu „Dwadzieścia jeden starych i nowych przyczyn polskiego kryzysu” (*Kultura* 3/1993) redakcja *Kultury* otrzymała polemikę z tym tekstem, napisaną przez prof. dra hab. Wacława Urbana, pracownika naukowego Instytutu Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach. Redaktor *Kultury* określił jej poziom jednym słowem: „barbarzyństwo” i z oczywistych względów nie ma zamiaru jej publikować.

Ponieważ jednak „prof. dr hab.” Wacław Urban legitymuje się najwyższym tytułem i stanowiskiem naukowym w Polsce, a zatem jest człowiekiem należącym formalnie do elity polskiej inteligencji i nauczycielem akademickim, jego tekst jest świadectwem, którego nie sposób pominąć milczeniem. Dlatego Redaktor Giedroyc poprosił mnie o odpowiedź na wywody „prof. dra hab.” z WSP w Kielcach.

Czynię to niechętnie, albowiem słowo „barbarzyństwo”, jakiego użył Redaktor *Kultury* na określenie poziomu tekstu Wacława Urbana, jest łagodne i delikatne w porównaniu z tymi, które mnie cisną się pod pióro. Podejmuję się jednak tej odpowiedzi w przekonaniu, że sprawa jest poważna, albowiem sposób rozumowania „prof. dra hab.” i używane przez niego argumenty mają już w Polsce swoją tradycję i nie są, niestety, tylko kwestią jednostkowych poglądów historyka z Kielc.

II

Wacław Urban czyni mi zarzut, że mój artykuł „nie posiada należytych horyzontów historycznych, międzynarodowych i społecznych” a przede wszystkim, że jestem „jednoznacznie nastawiony antynarodowo”. Autor bierze więc w obronę przede mną pojęcie „narodu polskiego” i szukając „odrobiny prawdy” przedstawia siedem „głównych zagrożeń dla Polski”.

Oto one.

1. Największym zagrożeniem jest zdaniem Wacława Urbana „sparciały charakter narodu Polaków” ukształtowany przez wieki „chłopskiego poddaństwa”, „szlacheckiego nierobstwa”, które z kolei zrodziły „lenistwo w działaniu i myśleniu” oraz „tępotę polityczną”. Wszystkie te cechy powodują „strusie chowanie głowy w piasek” przed dostrzeżeniem dwóch innych niebezpieczeństw, które tworzą „Niemcy i Żydzi”.

2. Niemcy — pisze „prof. dr hab.” — to „dozgonny wróg Polaków i w ogóle wszystkich Słowian. Zajęcie NRD przez NRF [...] było pierwszym krokiem do nowego *Drang nach Osten*. [...] W ciągu kilku lat możemy się spodziewać gospodarczego opanowania zachodniej Polski przez bezrobotnych z byłej NRD („którzy mnożą się zupełnie planowo”). Ponieważ wszystko w Niemczech dzieje się na *Befehl*, na kilka miesięcy przed zajęciem Łodzi przez Niemców Polacy dowiedzą się („z niemieckiego radia”), że niezastąpionymi pionierami Europy byli Lodzermenschen. Tymczasem już teraz — kończy swój wywód „prof. dr hab.” — „kilka milionów Polaków stałoby się chętnie «dla chleba» Niemcami”.

3. Trzecim zagrożeniem są Żydzi, których w Polsce jest „około połowy miliona” („statystyki robione przez samych Żydów są absurdalne”). „Są to w zasadzie ludzie udający Polaków, ale w sercu wierni Zakonowi Mojżeszowemu (choć nieraz jedzą świńską szynkę)”, który oprócz „uzdolnionego i pracowitego ludu żydowskiego” składa się z „kolaborantów, nikodemitów i hipokrytów”. Ci ostatni poświęcili się polityce a „naruszywszy własny Zakon są już gotowi do deptania wszystkich świętości i w ogóle wszystkich świństw”. Dlaczego? — ponieważ wszystko robią za pieniądze i „bywają notorycznymi agentami”. „Byłbym nawet za rejudaicacją Żydów — deklaruje „prof. dr hab.” — żeby nie musieli udawać takich, jakimi nie są [...]. Oby tylko nie pozostawali polakopodobnymi, nie fałszowali poprzez macki swojej mafii

biegu naszej rzeczywistości i historii oraz nie występowali w imieniu Polaków”.

4. Następne zagrożenie dla „prof. dra hab.” stanowi Ukraina — „największy satelita Czwartej Rzeszy Niemieckiej” — która ma ochotę (a właściwie „jej intelektualści”) nawet „na zagarnięcie Nowego Sącza”.

5. „Piątą plagą dla Polski — pisze „prof. dr hab.” — może stanowić kler katolicki, który nawet nie wie jak jest tępy oraz klerykalizacja życia” (religia w szkołach, potępienie prezerwatyw). Argumenty ideowe „prof. dra hab.” są tu następujące: katolicyzm w Polsce jest za silny, jest najmniej demokratycznym wyznaniem spośród wszystkich wyznań (na szczęście — dodaje — „jego spoiwość podważana jest przez mafie wewnętrzne”). Przede wszystkim jednak „w interesie Kościoła leży ogólna bieda społeczeństwa, gdyż wtedy ludzie są pokorniejsi i pobożniejsi. Również zbyt wykształcenie szerokich warstw nie leży w interesie tej instytucji, bo zbyt podnieca myślenie. Ale z drugiej strony, nasi Żydzi boją się też *jak święconej wody* tego, żeby Polacy nie zmądrzeli. I przy wysiłkach obu stron to, przynajmniej na razie, nie grozi”.

Ci, którzy odstają od tak uogólnionych charakterystyk — dodaje jeszcze W. Urban — „są mniej tak nieliczni jak homoseksualiści wśród ogółu ludzkości”.

6. Następną plagą w jego wywodzie stanowi „balcerowiczowsko-hallowski liberalizm gospodarczy”, który w Polsce grozi m.in.... „przeludnieniem kraju przez imigrantów lub własne dzieci w przypadku braku polityki demograficznej”. W dalszej perspektywie autor ostrzega przed przybyciem do Polski... „2 milionów Cyganów”.

7. A wreszcie — pisze „prof. dr hab.” — „ostatnim zagrożeniem jest dyktatura”. Jednak z następnego zdania dowiadujemy się, że profesor nie uważa dyktatury za „zło absolutne”, albowiem „mądry i energiczny dyktator” to dziś „jedyny chirurgiczny skalpel dla naszej chylącej się ku upadkowi ojczyzny”.

Byłoby to wszystko śmieszne i groteskowe, gdyby nie było aż tak ponure i tak kosztownie przezroczyście w swej „logicznej” konstrukcji. Cały wywód Urbana jest belkotem utkanym z dziesiątków pseudoargumentów, fikcyjnych liczb i nonsensownych stwierdzeń, charakterystyk i przepowiedni, któ-

re wszystkie razem stanowią od dziesięcioleci podstawowy arsenał propagandy antysemickiej i nacjonalistycznej. W Rosji carskiej wykorzystywała go ochrana, w III Rzeszy — naziści, w Polsce — ONR i Falanga, a po wojnie partia i policja komunistyczna (W. Urban zresztą nie ukrywa swoich politycznych sympatii pisząc: „flirtuję zarówno z lewicą socjaldemokratyczną jak i z endecką prawicą”). Źródłem tych wszystkich majaczeń ubranych w pozory bieżącej publicystyki politycznej były i są nadal fikcyjne „Protokoły Mędrców Syjonu”, których „prof. dr hab.” musi być pilnym czytelnikiem. Zasadnicze „figury myśli” Wacława Urbana powielają bowiem dokładnie logikę argumentacji tamtej biblii antysemitów — jednej z najkrwawszych książek w dziejach ludzkości. Te „figury myśli” sprowadzają się do kilku prostych tez — niezmiennych od dziesięcioleci i dostosowanych każdorazowo do innego kraju.

W wydaniu „prof. dra hab.” Wacława Urbana” jest to przekonanie, że wolność polityczna i gospodarcza (liberalizm) nie jest dla Polski ustrojem odpowiednim, ponieważ Polacy nie potrafią rządzić się sami i dają się oszukiwać swoim wrogom zewnętrznym i wewnętrznym zorganizowanym w mafie lub działającym na szkodę Polski w sposób celowy — czyli spiskowy. Takim oczywistym wrogiem „zewnętrznym” są dla Wacława Urbana Ukraińcy i Niemcy, a „wewnętrznym” — Żydzi. Skutkiem ich działalności jest chaos gospodarczy, nędza i katastrofa społeczna. Niemcy w wizji Wacława Urbana działają podstępnie, skrycie i „na rozkaz”, natomiast Żydzi „na skalę światową są agentami amerykańskimi, na skalę Wschodniej Europy — niemieckimi”. Żydzi — powiada jeszcze „prof. dr hab.” — „boją się *jak święconej wody*, żeby Polacy nie zmądrzeli”. W ten sposób historyk z WSP w Kielcach znalazł na swój użytek... diabła. Trudno powiedzieć, że Wacław Urban dodał tu coś nowego do recepcji „Protokołów Mędrców Syjonu”...

Wywód „prof. dra hab.” w szczegółach i w całości jest — jak i jego pierwowzór — zlepem niezbornych stwierdzeń i dewiacyjnych wniosków, które bełkotliwie wzajem sobie przeczą, a niekiedy są popisem najzwyczajniejszego chamstwa. Polemika z każdym stwierdzeniem Wacława Urbana — choć może dla kogoś pouczająca — byłaby jednak nadużywaniem cierpliwości papieru. Szczyt umysłowej patologii wywód „prof. dra hab.” osiąga w paranoicznej wizji połączonych działań „Niemców, Żydów i Kościoła katolickiego” mających na celu uniemożliwienie Polakom zdobywania wykształcenia.

Jedyny ratunek wedle W. Urbana leży — oczywiście — w dyktaturze. Ale z ostatniego punktu tej wyliczanki wynika, że dla „prof. dra hab.” dyktatura to nie „zagrożenie” Polski, lecz po prostu... jej WYBAWIENIE od opisanych przez niego „plag”: od „sparciałego charakteru” narodowego Polaków, od „agresywności Niemców” i „sprzedajności Żydów”, od „tępoty kleru” i „liberalizmu gospodarczego”...

Tu „prof. dr hab.”, z zawodu historyk, nawet nie zauważył, że logika jego argumentacji jest nieomal całkowicie zbieżna z logiką innego specjalisty od likwidowania narodowych „plag” i „zagrożeń” — z logiką autora *Mein Kampf*. „Mądry i energiczny dyktator” pojawił się dziesięć lat po ukazaniu się tamtej recepty, a wkrótce potem jego „chirurgiczny skalpel” zaczął ratować „chylącą się ku upadkowi ojczyznę”, zaraz potem Europę i cały świat.

III

Mógłbym poprzestać na tym odrzuceniu wywodów „prof. dra hab.”, gdyby nie fakt, że niezależnie od ich książkowych źródeł, są one także wyrazem zdegenerowanego, ale wciąż jeszcze żywego myślenia o kulturze narodowej. Zasadą tego myślenia jest zoologiczna wizja „czystości gatunków”: narody różnią się w niej między sobą tak, jak różni się słoń od tygrysa, koń od małpy, a rekin od bociana. Każde zbliżenie tych gatunków stanowi nie tylko zagrożenie dla ich „czystości”, przede wszystkim owocuje hybrydami, które są patologicznymi dziwami natury.

Przeniesienie takiej wizji na historię kultury i pojęcie narodu przyniosło w wieku XIX powstanie teorii „walki ras”, z których przeznaczeniem jednych było budowanie nowego, wspaniałego świata, a innych — fizyczna likwidacja. Kilkadziesiąt lat później to samo rozumowanie zastosowano w praktyce do teorii „walki klas” (genialnie sparodiował je Orwell w powiastce „Animal Farm”). W obu przypadkach eksterminowano „obcych” jako wrogów wyimaginowanej „czystości” narodu, społeczeństwa, państwa, klasy etc.

Nie przypominałbym tamtych idei, gdyby dziś ponownie nie stanowiły one wyzwania dla świata. „Czyszczenie etniczne” przeprowadzane przez komunistów serbskich w Bośni i Hercegowinie może tu być wystarczającym przykładem. Sprawy te na pozór dotyczą jedynie krajów zaangażowanych w wojnę na Bałkanach — wiele analogii odnaleźć też można

również w konfliktach narodowych w republikach powstałych po byłym Związku Sowieckim.

Ale idea „czystek etnicznych” tylko na pozór dotyczy państw ogarniętych wojnami etnicznymi i religijnymi. W rzeczywistości dotyczy każdego kraju, w którym pojawiają się — choćby na marginesie życia publicznego — pomysły dzielenia ludzi na etnicznie „czystych” i „obcych”. Dotyczy także Polski.

IV

„Będziem Polakami...” — słowa tego hymnu znają w Polsce wszyscy, bo od dwóch wieków towarzyszą Polakom w wyrażaniu uczuć narodowych. Śpiewane w uniesieniu, ale i w upojeniu, z powagą, ale i z euforią, zawsze z natchnieniem (patriotycznym), ale czy zawsze ze zrozumieniem?

Współcześni apologety „czystości” narodowej kultury — ostro przez nich oddzielanej od wpływów „obcych” — wznosząc silnymi głosami melodię „Mazurka Dąbrowskiego”, chyba nie zastanawiają się nad słowami tego hymnu. „Będziem Polakami” śpiewają (a niekiedy ryczą), ale czy rozumieją, że POLSKOŚĆ tego hymnu utkana była z WIELO-NARODOWEJ wspólnoty XVIII-wiecznej Europy?

W „Mazurku Dąbrowskiego” tworzą ją — o czym nie wszyscy „narodowi śpiewacy” zdają się pamiętać — zarówno Italia („z ziemi włoskiej do Polski”) jak i Francja („dał nam przykład Bonaparte”), ale są w nim także wpływy tureckie (bo „nasi biją” w tureckie „tarabany” — w rzadko śpiewanej zwrotce hymnu). Mało kto jednak pamięta o innych bohaterach tego hymnu — wówczas twórcach nowoczesnego pojęcia narodu, a dzisiaj zastępych w sielankowych obrazkach pseudopatriotycznego stereotypu „czystej” polskości.

Któż — poza historykami — pamięta, że bohater polskiego hymnu narodowego generał Jan Henryk Dąbrowski (śpiewamy: „marsz, marsz Dąbrowski”) wychował się i wykształcił wśród Niemców, że jego pierwsza żona była Niemką, że jego dzieci nie znały polskiego, a on sam — tworząc POLSKIE Legiony we Włoszech — pisał, mówił i wydawał rozkazy po... niemiecku (tłumaczono je natychmiast na polski). Do Polski Jan Henryk Dąbrowski przybył jako najemny żołnierz niemiecki, z Saksonii, mając już lat trzydzieści siedem. Nawet francuskim władał wówczas lepiej niż polskim.

Korpus oficerski tamtych POLSKICH Legionów tworzyli często ludzie, których związki z Polską były związkami z WYBORU, albowiem więzi rodzinne czy wykształcenie łączyły ich bardziej z innymi kulturami, np. z francuską, z niemiecką czy z litewską, niż z kulturą Sarmatów. Dość przypomnieć kilka postaci: oto autor słów polskiego hymnu narodowego, Józef Wybicki, którego — podobnie jak gen. J.H. Dąbrowskiego — ówcześni zwolennicy „czystości” nazywali „Prusakiem”. Dalej: generałowie Karol Kniaziewicz i Stanisław Fiszer, filozof Józef Maria Hoene Wronski, pierwszy prezydent Warszawy w Królestwie Kongresowym, pisarz i filozof Karol Woyda (*nota bene* autor jednej z pierwszych gramatyk... języka polskiego). Dalej: adiutanci gen. Dąbrowskiego, Francuzi Tremo i Chamand, czy najbliższy przyjaciel Dąbrowskiego, Niemiec Karl Pflugbeil. I jeszcze: twórca pierwszego słownika języka polskiego, Samuel Bogumił Linde (z którego mówionej polszczyzny naśmiewali się jego uczniowie w szkole), kolekcjoner i bibliofil Antoni Zygmunt Helcel, czy twórca pierwszej polskiej maszyny do liczenia, Żyd Abraham Stern — *nb.* prapradziadek Antoniego Słonimskiego, itd., itd. A nie wspominam przecież o setkach innych osób, czy ich całych rodzinach, o rozmaitych Schustrach, Müllerach, Jungach, Schulzach, Fergusonach, Szuchach, których obco brzmiące nazwiska zapisały się trwale w historii polskiej inteligencji, polskiego mieszczaństwa i w najróżniejszych dziedzinach polskiej kultury.

Wróćmy jeszcze na chwilę do hymnu narodowego. Któż pamięta, że w „Panu Tadeuszu”, w tym symbolu polskości, na Litwę, do Soplicowa, do owego mitycznego centrum polszczyzny, „Mazurka Dąbrowskiego” przywozi po raz pierwszy Żyd Jankiel. I że jego słynny koncert przez dziesięciolecia był ekstraktem patriotycznej lekcji dziejów Polski...

Znamienne jak Mickiewicz przedstawia zakończenie tego koncertu:

...Gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił
Zakrył rękami, spod rąk też potok się rzucił:
«Jenerale, rzekł, Ciebie długo Litwa nasza
Czekała — długo, jak my Żydzi Mesyjasza [...]»
Żyj i wojuj, o, Ty nasz!...» Mówiąc ciągle szlochał,
Żyd pocziwiy Ojczyznę jako Polak kochał!

(ks. XII, w. 752-759)

Takich przykładów można by jeszcze przytoczyć, setki, dziesiątki, tysiące — jak kto woli. „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy” — te słowa u progu wieku XIX-tego śpiewali nie tylko Sarmaci. Wśród Legionistów wracających z „ziemi włoskiej do Polski” byli też spolszczeni Francuzi, Niemcy, Żydzi, Litwini — nikt im zresztą nie zaglądał w metrykę.

Bogactwem kultury polskiej w minionych stuleciach była jej zdolność do wchłaniania różnych tradycji, religii, języków. U schyłku wieku XVIII Rzeczpospolita była jeszcze nadal przysłowiowym wielonarodowym tygłem. To właśnie w owym „tyglu”, w zmieszaniu tradycji różnych narodów, kształtowało się osiemnastowieczne rozumienie ojczyzny i narodowości. Znamienne, że dla najwybitniejszych umysłów tamtej epoki miało ono charakter ponadetniczny. Polska i polskość była w tym rozumieniu ponadetnicznym dobrem wspólnym Polaków i innych narodowości, dla których Rzeczpospolita oznaczała po prostu „rzecz własną”, wybraną i zaakceptowaną. Nie było więc w tym rozumieniu przepaści między pojęciem „ojczyzny lokalnej” a „ojczyzną państwem” (język niemiecki rozróżnia tu *Heimat* i *Vaterland*). Ta druga była owym ponadlokalnym „dobrem wspólnym”, Rzeczpospolitą, bliską zarówno tym, którzy wychowali się pod Wilnem jak i tym, których „kraj lat dziecinnych” znajdował się w okolicach Drezna, Lipska czy Wrocławia i Szczecina. O takiej polskości, otwartej dla wszystkich narodów i tolerancyjnej, pisał właśnie Mickiewicz.

To rozumienie subtelnych związków między ojczyznami lokalnymi a ojczyzną-państwem (Rzeczpospolitą) i zamieszkującymi je narodami ginęło stopniowo w ciągu wieku XIX-tego. Zatopiła je ostatecznie potężna fala nacjonalizmu lat międzywojennych, potem wojna i jej polityczne skutki ciężące nad Europą po dzień dzisiejszy. Do dziś tamtą ideę „polskości wielonarodowej” dobijają prymitywy wychowane na bolszewizmie i nazizmie, na „walce klas” lub „walce ras”, na wspólnej im idei izolowania „mniejszości” i likwidowania „obcych” myśleniem politycznym, choć to nieco inny temat.

Kulturę POLSKĄ tworzyli i tworzą ludzie różnych narodowości. Niekiedy zasymilowani w społeczeństwie polskim, niekiedy boleśnie rozdarci między polskością a swym pochodzeniem, jak Tuwim czy Wat. Jednak niemal zawsze przez „czystych Polaków” wytykani palcami jako „obcy”. Dość przypomnieć nazwiska wielkich polskich historyków Szymona Askenazego i Maurycego Handelsmana, aktora Aleksandra Zelwe-

rowicza, pisarzy Antoniego Słonimskiego, Bolesława Leśmiana, Bruno Winawera, czy wspomnianych już Juliana Tuwima i Aleksandra Wata.

Niekiedy byli to ludzie nawet nieznani Polakom jako cudzoziemcy — któż na przykład pamięta, że twórca warszawskich urządzeń komunalnych, a w tym wodociągów i filtrów, z których do dziś korzystamy, prezydent Warszawy u schyłku XIX w., generał Sokrates Starynkiewicz, był Rosjaninem i bardzo lojalnym poddanym cara?

Nacjonalistyczne wyobrażenia o czystości kultury narodowej są w wieku XX bękartem propagandy i walki politycznej. Polityczna redukcja kultury do wizji świata ksenofobów — choć trwa od dziesięcioleci nie tylko w Europie Wschodniej, Środkowej czy Południowej — nie ma nic wspólnego z rzeczywistą dynamiką rozwoju kultury. Kultura polska przez wszystkie wieki swego istnienia była wzbogacana, zasilana a najczęściej po prostu WSPÓŁTWORZONA przez ludzi różnych narodowości i kultury innych narodów — ze wschodu i z zachodu, z południa i z północy. W pamiątkach piśmiennictwa, w języku, w obyczajach, czy w zabytkach kultury materialnej różnych epok odnalezienie tej wielonarodowej tkanki nie jest niczym trudnym. Jest ona po prostu samą istotą tej rzeczywistości, którą nazywamy — już bez żadnych dodatkowych określeń — kulturą.

Kto tego nie rozumie, prędzej czy później sięgnie po „chirurgiczny skalpel”: najpierw czystek etnicznych, potem politycznych, a potem każdych innych.

Włodzimierz BOLECKI

Trzy spotkania

WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE STEMPOWSKIM

1. Było to w roku 1934, mniej więcej w rok po ukończeniu przeze mnie podchorążówki, z której wróciłem do Warszawy wyjątkowo złańniony strawy intelektualnej. Od razu też stałem się najczęstszym bodaj gościem-czytelnikiem kilku bibliotek stołecznych, co sprawiło, że prof. Andrzej Tretiak — pełniący wówczas (przejściowo) obowiązki dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej — zaprosił mnie na prywatną rozmowę dotyczącą problemu „książka w bibliotece”, a później nakłonił do wzięcia udziału w spotkaniu na temat „Czytelnicy w warszawskich bibliotekach naukowych”.

Spotkanie to, parokrotnie odkładane, odbyło się wreszcie we wtorek 11 grudnia, nie tak jednak, jak sobie wyobrażałem na podstawie słów Profesora, w gronie 15-20 osób, ale na miesięcznym zebraniu Warszawskiego Koła Związku Bibliotekarzy, na którym zgromadziło się chyba ze sto osób płci obojga, a wybrani „czytelnicy” musieli przemawiać sponad imponującego pulpitu ustawionego obok stołu prezydyjnego. Speszony perspektywą takiej nie przewidzianej oficjalności, zacząłem rozglądać się po sali, próbując znaleźć otuchę w obecności kilku osób, do których chciałoby się skierować swoje uwagi. Dostrzegłem już na szczęście kilkoro takich miłych znajomych, gdy nagle wzrok zatrzymał mi się na znajomym mi już skądś szlachetnie pięknym obliczu jednego ze słuchaczy.

„Ależ tak — przytwierdziłem sobie w myśli — to przecież pan Stanisław Stempowski”.

Rzecz w tym, że parę lat wcześniej (chyba pod sam koniec 1931 roku) pokazano mi go na Marszałkowskiej, informując równocześnie, że to przyjaciel i współpracownik jednego z mych profesorów, Ludwika Krzywickiego, a także wierny towarzysz Marii Dąbrowskiej, której świeżo ogłoszona powieść („Bogumił i Barbara”) stała się natychmiast przedmiotem żywego zainteresowania warszawskiej publiczności literackiej. Oddalony jeszcze od kawiarnianej plotki, nie wiedziałem wówczas o tej drugiej przyjaźni, już orientowałem się jednak, że Stanisław Stempowski to również ojciec Jerzego, którego znakomite szkice krytycznoliterackie czytywałem od kilku lat w popularnych *Wiadomościach Literackich*, chociaż ich autora nigdy nie poznałem. „Ani z nosa, ani z włosa”, jak wyrażał się w podobnych okolicznościach Norwid. Co więcej, podczas mych wieloletnich podróży po czasopismach warszawskich z początku naszego stulecia natknąłem się na wiele artykułów samego Stempowskiego-ojca, wyraziście ukazujących jego pasje społeczne i oświatowe. „Ależ cóż on właściwie robi — pomyślałem — nie będąc zapowiedzianym w zagajeniu Tretiaka czytelnikiem-dyskutantem, na «miesięcznym» zebraniu zawodowych bibliotekarzy?”

— A skąd tu się wziął pan Stempowski? — zapytałem tedy mego sąsiada, pracownika biblioteki uniwersyteckiej.

— To pan nie wie? — odpowiedział zapytany (i to z pewnym zgorszeniem). — Przecież to kierownik biblioteki Ministerstwa Rolnictwa. Ogromnie szanowany w naszym środowisku nie tylko ze względu na zalety osobiste, ale i za to, że uczynił tę bibliotekę czymś naprawdę żywym i funkcjonalnym. To doskonały organizator.

Umilkłem, zawstydzony, w duchu rozgrzeszyłem się jednak: moje różnorodne zainteresowania nigdy przecież nie obejmowały problematyki rolniczej. Tym uważniej wszakże przyjrzałem się Stempowskiemu, który siedział obok jakiejś kobiety w średnim wieku. Nie była to zresztą pani Dąbrowska. Dziś domyślam się, że mogła to być Maria Kownacka, prowadząca razem z nim ową bibliotekę ministerialną. Wkrótce potem wywołano mnie do zabrania głosu jako pierwszego reprezentanta „młodzieży akademickiej”, a później przysłuchiwałem się z kolei wypowiedziom mych młodszych kolegów: Franciszka Siedleckiego i Stefana Żółkiewskiego. Po wystąpieniu czytelników do dyskusji przystąpili bibliotekarze. Stempowski wstrzymał się jednak od głosu, zauważyłem jednak, że bezpośrednio po zakończeniu spotkania, ale jeszcze przed opuszczeniem sali, otoczony przez kilku kole-

gów, wdał się z nimi w ożywioną rozmowę. Może przekazał im wówczas wrażenia i uwagi na temat wysłuchanych propozycji?

Jakże bardzo różnił się jednak, nawet samym wyglądem, od owych kolegów. Wysoki i prosty jak młoda topolka, o regularnych rysach twarzy, okolonej śnieżnobiałym, starannie zadbanym zarostem, wyglądał między nimi jak Apollo pośród satyrów.

Nie odważyłem się wtedy wtrącić do owej rozmowy, chociaż znałem paru jej uczestników, do dzisiaj wszakże wysoko sobie cenię to moje pierwsze „spotkanie” ze Stempowskim. „Tak musieli właśnie wyglądać — pomyślałem wtedy — ci szlachetni przedstawiciele postępowej inteligencji polskiej z początku naszego stulecia, którzy pojawiają się na kartach niektórych powieści Żeromskiego”.

2. Drugie spotkanie — wypełnione tym razem naszą dłuższą a interesującą rozmową — przypało dopiero na styczeń 1946 roku.

Było to w trzy miesiące po moim powrocie do kraju z Niemiec Zachodnich, gdzie początkowo przebywałem w hitlerowskich oflagach (po upadku Powstania Warszawskiego), a później na wolności, jako kierownik literacki Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Lingen, niedaleko granicy holenderskiej. Zameldowany w Krakowie, od początku grudnia mieszkałem już w Warszawie, gdzie udało mi się zdobyć na pewien czas stanowisko naczelnika w departamencie literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zaraz też po przyjeździe skontaktowałem się w Krakowie z Kazimierzem Wyką, który był wówczas naczelnym redaktorem nowo powstałego miesięcznika *Twórczość*, i dałem mu dwa teksty: nieznaną nowelę Żeromskiego „Pocałunek” oraz moje obszerne studium o tej noweli. Obydwa opublikowałem co prawda konspiracyjnie, w osobnym tomiku, który ukazał się w księgarni Arcta w pierwszy dzień Powstania Warszawskiego, ale którego cały nakład spłonął już na początku tegoż miesiąca, i z tego właśnie powodu ocalał jedynie w trzech egzemplarzach. Otóż Wyka wydrukował wszystkie te materiały w grudniowym numerze *Twórczości*, a na początku stycznia zarówno ów numer, jak i sporządzone nadbitki wysłał mi do Warszawy. Nie pod moim adresem jednak, jeszcze go bowiem nie znał, ale — co było dużym nietaktem — pod adresem pani Marii Dąbrowskiej, dołączając je do nadbitek jej dramatu historycznego „Stanisław i Bogumił”.

Rozgniewana pani Maria, zawsze wyjątkowo drażliwa na punkcie swej godności, przekazała rozwiązanie owego *qui pro quo* panu Stanisławowi, on zaś z kolei dopiero około 21 stycznia zdobył mój adres (ministerialny zresztą, przy ulicy Wileńskiej na Pradze), dopiero wtedy bowiem w warszawskim środowisku literackim rozeszła się wiadomość, że zostałem dokooptowany do Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Tej również okoliczności zawdzięczałem skierowany do mnie list pana Stanisława.

21 I 1946

Do p. Marii Dąbrowskiej nadeszła z *Twórczości* paczka z odbitkami i numerami tego pisma, a w niej, nie wiadomo dlaczego, paczka zaadresowana do Pana.

Może Pan zechce przysłać po nią lub zgłosić się osobiście pod adresem Polna 40 m. 31.

Z poważaniem

Stanisław STEMPOWSKI

Muszę się przyznać, że bardzo ucieszyła mnie ta pomyłka, umożliwiła mi bowiem nawiązanie osobistego kontaktu z człowiekiem, o którym w ciągu ostatnich dziesięciu lat tyle mi naopowiadano, że nabrał w moich oczach cech prawie legendarnych.

Miałem wtedy tysiące kłopotów. Osobistych, już bowiem od dwóch miesięcy nadaremnie poszukiwałem mieszkania, nocując u coraz to innych przyjaciół, oraz zawodowych, związanych ze swą podwójną rolą literacką: i działacza bowiem, i urzędnika. Dopiero po kilku dniach wybrałem się więc na Polną, z ciekawością przyglądając się wielkiej kamienicy pod numerem 40, cudownie ocalałej podczas Powstania Warszawskiego. Trochę zdziwiony, że wejście było od podwórza, szybko wszakże znalazłem się na wysokim piętrze, pod drzwiami lokalu numer 31, zastanawiając się, kogo tam pierwszego zobaczę.

Otworzył mi sam Stempowski. Pan już wtedy siedemdziesięciosześcioletni, ale ciągle jeszcze bardzo urodziwy. Szczuplejszy tylko i nieco mizerniejszy, co było zresztą łatwe do wytłumaczenia niedawnymi przeżyciami okupacyjnymi. Zaprosił mnie natychmiast do mieszkania i posadził przy stole ponieważ zaś nosiłem jeszcze wojskowy dres, taki jak żołnierze Maczka, jego pierwsze pytanie dotyczyło tego właśnie stroju, rzadko jeszcze widywanego wówczas w Warszawie.

— Czy pan może służył w wojsku polskim na Zachodzie?

— Nie miałem tego szczęścia. Co więcej, chociaż jestem oficerem rezerwy, a w roku 1938 uczestniczyłem w letnich manewrach na Wołyniu, nie zostałem zmobilizowany w 1939. Ba, w pamiętnym wrześniu udało mi się nawet dotrzeć na własną rękę do mego macierzystego pułku w Brześciu nad Bugiem, ale już go tam nie zastałem. Następnie wylądowałem w Pińsku, potem w Kowlu i przez Lublin usiłowałem dostać się do Warszawy...

— Niech mi pan wybaczy — przerwał moją relację Stempowski — że nawiążę do pańskiego pobytu na Wołyniu. Ale bardzo ciekaw, jakie wrażenia wyniósł pan z tamtych stron? I z kim się pan wtedy stykał? Czy zetknął się pan na przykład z ludem ukraińskim?

— Jeśli ma pan na myśli prostych chłopów, to właściwie prawie wyłącznie z nimi. Zarówno w Łucku jak i w Kowlu stykałem się co prawda, ale tylko przelotnie z Polakami i Żydami, na kwaterach staliśmy jednak po wsiach, w chłopskich chatach albo stodołach. Moje wrażenia? Wszyscy Ukraińcy, z którymi się zetknąłem i rozmawiałem — a mówili do mnie z ukraińska po polsku (między sobą wyłącznie po ukraińsku) — to byli ludzie bardzo mili i gościnni. Przede wszystkim ludzie starsi oraz kobiety. Wtedy zwłaszcza, gdy wyczuli moją życzliwość.

— Ach, jak ja ich dobrze znałem i rozumiałem — westchnął wtedy Stempowski. — Toteż mogę się pochwalić, że miałem między nimi wielu prawdziwych przyjaciół. A jak było z młodzieżą?

— Otóż młodzi byli bardziej milkliwi. I jakoś podejrzliwi. Zwłaszcza, że niektórzy żołnierze okazywali w stosunku do nich swą niczym nie uzasadnioną wyższość. W paru przypadkach zaobserwowałem nawet wśród owych młodzików jakąś wyraźnie dającą się wyczuć dumę. Oni już dobitnie dawali nam poznać, że są Ukraińcami.

— Ależ w nich obudziła się już wtedy świadomość narodowa, a nawet dumne, ale przecież zrozumiałe marzenie o przyszłej, wielkiej i niepodległej Ukrainie! — żywo zareagował na moje słowa Stempowski. — Ani jednego, ani drugiego nie umieli, a może po prostu nie chcieli zrozumieć nasi okropni endeccy nacjonaści. Tłumiono więc takie uczucia zarówno w państwowym szkolnictwie na Wołyniu, jak i w działaniach tamtejszej administracji.

Potem z kolei ja się odezwałem, a Stempowski słuchał z

wyraźnym zainteresowaniem. Były zaś i takie momenty, że się wyraźnie rozjaśniał. Widać było, że go sobie jakoś zjednałem. W pewnej chwili przypomniał sobie swą rolę gospodarza i skrócił rozmowę na moje sprawy osobiste.

— Czy pan całą okupację spędził w Warszawie?

— Od 29 września 1939 do 5 października 1944, kiedy opuściłem Warszawę wraz z dowództwem i kolegami z Armii Krajowej.

— A czy nigdy nie padł pan wówczas ofiarą hitlerowców?

— Mówiąc prawdę, to właściwie nigdy. Wyszedłem cało z dwóch groźnych obław ulicznych, tylko jeden raz zostałem aresztowany i lekko pobity. No i tylko jeden raz byłem w gmachu Gestapo na Szucha.

Bardzo to jakoś zajęło Stempowskiego.

— Proszę, niech mi pan coś więcej opowie o tej ostatniej przygodzie i swoim pobycie na Szucha. Później wytłumaczę panu, czemu to mnie interesuje.

Opowiedziałem mu tedy, że w roku 1942 zajmowałem się, na użytek Podziemia, szczegółowym analizowaniem pewnych rubryk dzienników włoskich i niemieckich. Otóż w pewnym momencie zacząłem je kupować, dla oszczędności czasu, w pobliżu mego antykwariatu na Niecałej, a mianowicie w dużym kiosku, który postawiono na załomie muru pomiędzy Wierzbową a kolumną Teatru Wielkiego.

Otóż tam właśnie, na początku lipca, zostałem aresztowany przez cywilnego gestapowca, który z rewolwerem w ręku zaprowadził mnie do komisariatu na Daniłowiczowską. Uświadomiony zaraz przez „granatowych”, kim ja właściwie jestem, musiałem długo czekać, póki ów gestapowiec nie zakończył przeglądania moich dokumentów. A potem — cud! Szpicel zatrzymał mój portfel, a mnie dał wezwanie do stawienia się następnego dnia na Szucha, po czym jego granatowy podkomendny był łaskaw pokazać mi, nie zmieniając swego dotychczasowego stylu, wyjście na ulicę.

— Jak to, puścili pana wolno? — zdziwił się trochę Stempowski.

— Ależ oni byli całkowicie pewni, że pójde na Szucha. Mieli przecież mój adres oraz fotografie mojej żony, matki i dwuletniego synka. Stawiłem się tam więc o ósmej rano i już w ciągu dwudziestu minut zostałem przesłuchany, a potem po prostu wyrzucony za drzwi razem z moim portfelem, który tak mocno rzucono mi pod nogi, że pękł, a dokumenty rozsypały się po posadzce. Pomiędzy nimi był i ten

najcenniejszy, który stał się mym „żelaznym listem”. Było to mianowicie urzędowe zaświadczenie z 1939 r., że zarejestrowałem się jako oficer rezerwy. Musiałem to zrobić chcąc zachować swą tożsamość, a gestapo i tak dysponowało moimi danymi personalnymi.

— A to się panu udało — zauważył Stempowski. — Najwidoczniej pomyłono pana z kim innym. Ale niech mi pan opowie, bo to mnie bardzo interesuje, co pan myślał przed pójściem do gestapo?

— Całą noc nie spałem i myślałem wyłącznie o przyszłym losie mych najbliższych, jeśli mnie zatrzymają i odeślą na Pawiak. Myśli o moim własnym losie starałem się całkowicie stłumić i po prostu z siebie wyrzucić.

— A jak było, gdy pan rankiem wędrował na Szucha?

— Poszedłem tam na piechotę, rozglądając się po mijanych domach, drzewach, trawnikach i za wszelką cenę starając się nie myśleć ani o rodzinie, ani o mym przyszłym losie. Pamiętam, że było bardzo ciepło i słonecznie. Gdy z Pięknej skręcałem w Aleje, wdałem się sam ze sobą w pewną grę intelektualną, która wiązała się z ponownie rozbudzoną we mnie przed paru tygodniami pasją mediewistyczną. To może trochę komiczne, ale zacząłem układać sobie w pamięci rejestr mych tegorocznych nabytków z dziedziny średniowiecznych tekstów źródłowych. Dwa tomy „Kodeksu” Ryszczewskiego-Muczkowskiego, trzeci i czwarty „Kodeksu Wielkopolskiego”, „Przywileje” Kochanowskiego, „Dokumenty” Ulanowskiego, „Mazowsze” Pawińskiego... Bardzo mnie to uspokoiło.

Stempowski aż klasnął w ręce słuchając tego zabawnego rejestru.

— Wybornie, znakomicie. O to mi właśnie chodziło. A teraz niech pan uważnie słucha, jak było w moim przypadku. Bo i ja też, musi pan wiedzieć — również w lipcu, ale w 1940 roku — zostałem wezwany na Szucha. Z tą jednak różnicą, że nie samą tylko, jak pan, „wizytówką”. Po mnie po prostu przyszedł do mieszkania rosły żandarm niemiecki i doprowadził aż do gmachu gestapo, to znaczy do dawnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Bywałem tam wielokrotnie przed wojną, toteż bacznie obserwowałem wszystko, co tam pozmieniali gestapowcy. Wezwanie spadło na mnie jak piorun z jasnego nieba, ale mimo wszystko nie straciłem spokoju. Może tylko zrobiło mi się trochę gorąco. Ja zresztą, czego pan może nie wie, miałem już za sobą tego samego rodzaju doświadczenia. I to jeszcze

za caratu. A tak mówiąc nawiasem, czy zna pan opowiadanie pani Dąbrowskiej pod tytułem „Szielko”?

— Naturalnie, że znam. To świetne opowiadanie. Przyznam się nawet panu, że to najlepiej zapamiętane przeze mnie opowiadanie pani Dąbrowskiej.

— No, to lepiej zrozumie pan teraz moją relację, bo pani Maria osnuła je na kanwie moich własnych przygód więziennych. Byłem więc całkowicie spokojny, chociaż droga z Polnej na Szucha wydała mi się wtedy o wiele dłuższa aniżeli przed paru laty. Kiedy wyszedłem na nasze podwórze, czułem się jeszcze jakoś bliżej związany z tymi wszystkimi, którzy tam stali, przypatrując mi się z ostrożnie wymierzonej odległości. Czułem, że szczerze mi współczują. Później jednak, idąc obok żandarma i postukując po bruku łaską, poczułem nagle mą ogromną samotność. Zrozumiałem, że podczas czekającego mnie przesłuchania, nie będę miał koło siebie nikogo bliskiego. Początkowo ta perspektywa bardzo mnie przygnębiła, ale wkrótce się z mego smutku otrząsnąłem. I byłem nawet z tego zadowolony. Sam na sam z przeznaczeniem, jakiegokolwiek by ono było. Było w tym na pewno trochę dumy, a nawet trochę próżności starego człowieka, który po trochu zamyka już księgę swojego życia. Taka wewnętrzna walka towarzyszyła mi aż do samego gestapo.

Zatrzymał się nieco po tych słowach, popatrzył gdzieś w dal, po czym na nowo podjął swoją opowieść.

— A i wtedy zaszła nowa różnica między naszymi przygodami. Nie ja sam mianowicie zameldowałem się u dyżurnego, ale zrobił to żandarm. Nastąpiły potem jakieś rozmowy telefoniczne, a następnie żandarm zaprowadził mnie do ławy stojącej w jednym z korytarzy, a zapełnionej już po brzegi takimi samymi jak ja „interesantami”. Były tam zapłakane kobiety, wielu mężczyzn, bynajmniej jednak nie młodzików, no i na pewno sporo szpicli, którzy mieli przysłuchiwać się naszym ewentualnym rozmowom. Siedziałem tam milczący, zapatrzonej w ścianę, a właściwie we własną przeszłość, i nadaremnie oczekiwałem na wezwanie. W pewnej chwili pojawiło mi się w myślach wspomnienie o kimś bardzo mi drogim, ale już dawno nieżyjącym. Bardzo mnie to wzruszyło, ale się jednak wkrótce pozbierałem i zacząłem rozglądać wokoło siebie. Wszędzie widziałem albo strach, biedę i niechęć, albo też starannie ukrywaną, widoczną jednak dla doświadczonego oka, nikczemną ciekawość szpiclów. Minęła już godzina, a ja ciągle jeszcze siedziałem na owej ławie, atakowany przez natrętne powracające wspomnienia. — A teraz

niech pan uważnie słucha, bo to będzie w jakiejś mierze paralelne do pańskiego myślowego rejestru. Otóż kiedy tak siedziałem zamyślony, szukając uspokojenia, zacząłem wyteżać pamięć i wywoływać z niej przypomnienie wszystkich psów, jakie znałem, poczynawszy od dzieciństwa aż do tych ostatnich lat, które spędziłem w naszym majątku na Podolu. I tak wyłaniały się kolejno, jakby z gęstej mgły, oryginalne sylwetki wielu mych wiernych a bezinteresownych przyjaciół. I nie tylko ich sylwetki, ale również ich indywidualne nazwy — Lament, Tartas, Rospłacz i tym podobne — a także ich zalety, słabości oraz rozmaite związane z nimi anegdoty. Nie ma pan pojęcia, jak mi to dobrze zrobiło. Zupełnie zapomniałem, gdzie jestem, i dopiero parokrotnie wywołane moje nazwisko zbudziło mnie z tego cudownego, a na pół sennego rozmarzenia.

Słuchałem tej opowieści z wielką ciekawością i z prawdziwym wzruszeniem.

— Szczerze zazdroszczę panu tych pięknych wspomnień i bardzo jestem wdzięczny, że pan mi je tak wielkodusznie powierzył. Ale jak właściwie przebiegło przesłuchanie pana? Czy miało jakieś przykre następstwa?

— No, było o wiele, o wiele dłuższe od pańskiego. Ale to dotyczyło nie tyle mnie osobiście, ile raczej pewnych spraw ogólniejszych, o specyficznym charakterze, w których kiedyś uczestniczyłem. Zażądano nawet ode mnie żebym swoje informacje sformułował na piśmie. Zrobiłem to i już po kilku dniach ponownie powędrowałem z tym do gestapo. Wtedy jednak już sam, bez owego mundurowego towarzysza i oczywiście o wiele spokojniejszy. I tym razem trzymali mnie dość długo, musiałem bowiem wyjaśnić im pewne punkty mego, że tak powiem, „memoriału”, ale w południe byłem już z powrotem na Polnej...

Bodaj w tym momencie pojawiła się pani Dąbrowska, która chyba wróciła wtedy z miasta. Rozpoczęła się nowa rozmowa, krótka w niczym nie podobna do tej wcześniejszej. Ani treścią, ani tonacją. Tylko tyle zapamiętałem z niej, że pani Maria wypytywała mnie o zagraniczne (powojenne) perypetie Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, jako że matka jej była z domu Gałczyńska, ja zaś dysponowałem garścią nie znanych jej informacji o tym poecie. Innym zapamiętanym tematem były dzienniki Samuela Pepysa. Zgadaliśmy się bowiem, że ja podczas okupacji przeczytałem je z wielkim zainteresowaniem w dwutomowym wyborze z serii Everyman's Library, a pani Maria w dużo obszerniejszej edy-

cji, na podstawie której dokonała własnego wyboru, bodaj już gotowego do druku w jej przekładzie.

Jeszcze raz tedy przeprosiłem oboje gospodarzy za kłopoty jakie mieli z moją paczką. Pani Marii podziękowałem ponadto za wyborne konfitury, a panu Stanisławowi, szczególnie gorąco, za jego wzruszające zwierzenia.

I tak skończyło się moje drugie spotkanie z tym szlachetnym Panem z Podola (jak go zacząłem nazywać w myślach) albo Panem z Kresów.

3. Trzecie spotkanie, nie wspominam bowiem tych przygodnych i przelotnych, w teatrze albo w Związku Literatów, przypadło dopiero po trzech prawie latach, a okazją do niego była jubileuszowa „Księga” dla Leopolda Staffa, który w listopadzie 1948 roku kończył lat siedemdziesiąt. Inicjatorem tej publikacji był rozkochany w Staffie Julian Tuwim, który już 10 kwietnia zaapelował do wszystkich pisarzy stowarzyszonych w ZZLP, żeby nadesłali do niej jakiś swój nie drukowany dotychczas utwór literacki. Otóż pani Maria posłała do niej w końcu maja swoje luźne refleksje na temat poezji Staffa, a pan Stanisław — który już od dwóch lat publikował w literackiej prasie warszawskiej fragmenty swoich pamiętników — jeszcze wcześniej od niej piękne wspomnieniowe opowiadanie „Śmierć agawy”, kryjąc się w nim pod postacią anonimowego narratora: „starszego jegomościa-gaduły”. Rękopisowi towarzyszyło pismo przewodnie:

Warszawa, 12 V 48

Stosownie do życzenia Przewodniczącego Komitetu Jubileuszowego, Juliana Tuwima (pismo z dn. 10IV rb.), posyłam mój utwór do „Księgi pamięci Leopolda Staffa”.

Fotografii nie posiadam, a podpis kładę pod niniejszym pismem.

Z poważaniem

Stanisław STEMPOWSKI

Liścik powyższy trafił wkrótce potem w moje ręce, ponieważ to ja właśnie (o czym pan Stanisław nie wiedział wtedy) przygotowywałem do druku, i w ogóle redagowałem, „Księgę” dla Staffa. Wiedziałem już wtedy, że samo opowiadanie zostało napisane jeszcze podczas okupacji, ale dopiero teraz stwierdziłem, że czcigodny autor cały ów dawny tekst bardzo starannie przejrzał i oszlifował, usuwając z niego również kilka mało ważnych szczegółów. Co ważniejsze jednak, dobrze orientując się w nowej poetyce cenzury politycznej,

usunął z niego w paru miejscach takie wyrazy, które — same w sobie obojętne — całkowicie odmieniały swój kontekst, czyniąc go od razu „zakazanym”. Tak więc ani cenzor, ani czytelnicy nie mieli się dowiedzieć, że „burza zrodzona z wojny światowej” była w rękopisie uściślona jako „znana pod nazwą bolszewizmu”, a napis, jakim rosyjscy gwardziści opatrzyli książkę Radlińskiego, nie brzmiał bynajmniej „Kniha nikomu nie nużnaja”, ale „Kniha polskaja, a posiemu nikomu nie nużnaja”. To samo uczynił w przypadku kilku innych drobiazgów, zacierając specyficzną „pańskość” swojego narratora.

Wydawało się, że te przezorne zabiegi pozwolą spokojnie wydrukować tekst „Agawy”, tym bardziej że cenzorzy, którym przekazałem maszynopis „Księgi”, zezwolili oddać go w całości do składania. Niestety, lektura tekstu „Agawy” w jego odbitce szczotkowej musiała im uświadomić inne jeszcze „wrogie” elementy tego wspomnienia, wówczas dopiero — a trzeba im przyznać bystre oko! — w pełni rozszyfrowane. Na nic się nie zdały prośby i propozycje zmian: decyzja była negatywna i nieodwołalna.

Bardzo zasmucony poszedłem więc na Polną, a było to w czwartek 9 grudnia 1948 roku, przynosząc pani Marii korektę jej tekstu, a panu Stanisławowi przykrą wiadomość o decyzji cenzury. Bardzo go ona zmartwiła i poruszyła.

— Biedna moja agawa — narzekał, nie mogąc się uspokoić. — Nie dość, że bolszewicy tak haniebnie splugawili ją i pokłuli, to mnie nie wolno nawet napisać jej nekrologu...

Pocieszała go pani Maria, pocieszałem i ja jak tylko mogłem, on jednak długo się jeszcze użalał. Przestał dopiero wtedy, gdy mu zaproponowaliśmy, żeby dał do „Księgi” jakiś inny a miły sobie fragment swych pamiętników. Pomyślał, pogłodził brodę i zgodził się na to rozwiązanie.

— A czy przypomina pan sobie — zwrócił się do mnie — naszą rozmowę o wizytach w gestapo? I to lekarstwo, którego użyłem wtedy, żeby się uspokoić? Otóż i teraz sięgnę do tego lekarstwa i dam panu historię jednego z moich psów. Jeszcze dzisiaj zjrzyć do rękopisu, bo rzecz musi być odpowiedniego rozmiaru.

Rozmowa zeszała wtedy na jego już ogłoszone fragmenty pamiętnikarskie, co dało mi sposobność do pochwalenia się, że i ja znałem osobiście sławnego Gabriela Korbuta (choć nie wiedziałem wtedy o jego koleżeńskich stosunkach ze Stempowskim), a także iż byłem częstym gościem w jego zakurzonej i zaśmieconej pracowni na tyłach Pałacu Staszica.

— Ach, drogi panie — uśmiechnął się Stempowski. — Żeby pan wiedział, jak wyglądało jego dawne mieszkanie na Wiejskiej! A toć chodziło się tam jedynie wąskimi korytarzami, które biegly pomiędzy stosami książek. Był wtedy wdowcem i miał małego synka. Otóż któregoś dnia narzeka przy mnie, że musi go zostawić samego w domu, bo nie ma pieniędzy na opłacenie opiekunki. „A nie boisz się — pytam go — że może sobie coś zrobić?” — „O nie, wyciąłem w szafie ubraniowej okienko, sadzam go wewnątrz na stołeczku, a szafę zamykam na klucz. Ma więc światło i powietrze. No i jest z dala i od okna, i od moich książek.” Taki to był pan Gabriel.

— Skoro o nim mówiliśmy, to chciałbym państwu wyznać, że zostawił mi on coś w testamencie. Nie książki i nie papiery — wyjaśniłem od razu, widząc zdumione miny moich słuchaczy — ale kategoryczny nakaz zajęcia się biografią i twórczością wybitnej, a prawie nie znanej historykom naszej literatury pisarki, Marii Sadowskiej. On mianowicie, mimo wieloletnich starań, nie zdołał ustalić ani kiedy ona się urodziła, ani kiedy umarła. Zastanawiał się nawet, a było to w roku 1930, czy ona może jeszcze żyje?

— Ależ my chyba czytaliśmy o niej w pamiętnikach Jeża? — zwrócił się Stempowski do pani Marii. — Pisał o jej urodzie, a bodaj i o awansach, jakie mu robiła w Paryżu...

Wyjaśniłem wtedy prawdziwy sens tych rzekomych „awansów” (tj. samochwalstwa Jeża), a poproszony przez oboje gospodarzy o dalsze informacje, nakreśliłem im prawdziwy wizerunek Sadowskiej, gęsto przytaczając jej niedrukowane listy do Norwida, który, w przeciwieństwie do Jeża, stał się rzeczywiście przedmiotem jej adoracji. Ta gawęda zamknęła moją wizytę, a równocześnie moje spotkania ze Stempowskim.

W parę dni później otrzymałem wszakże od niego obiecane mi wspomnienie o jego psie-bohaterze, Rosplaczu, a razem z nim następujący liścik.

11 XII 48

Szanowny Kolego,

Posyłam swój rękopis; może pies będzie szczęśliwszy od biednej agawy.

Zdarzyło mi się w tych czasach parę razy, że zniekształcono moje utwory, urywając im koniec lub mechanicznie usuwano po kilka wierszy, żeby zyskać miejsce potrzebne na ogłoszenie perfum lub cholekiny.

Otóż gdyby mój „Rosplacz” okazał się za długi, zakreśliłem ołówkiem

(nawiasy) w rękopisie zdania, które ewentualnie można by usunąć. Oczywiście, wolalbym tego uniknąć.

Łączę pozdrowienia i uścisk dłoni

St. STEMPOWSKI

Nie skorzystałem oczywiście z zaproponowanych mi ułatwień i natychmiast oddałem tekst do drukarni, był już bowiem ostatnim i wstrzymywał wydrukowanie całości. Zaczynał się on od akapitu, którego — jak po latach stwierdziłem — nie było w pełnym tekście tego wspomnienia, napisanego jeszcze w roku 1940.

„Kiedy wyszedłem z mieszkania w towarzystwie żandarma, który mi wręczył wezwanie do gestapo, zobaczyłem na podwórzu kamienicy gromadkę kobiet, patrzących na mnie z przerażeniem, i usłyszałem pytanie: — Czego oni od tego starego mogą chcieć?”

Domyślałem się dzisiaj, że było to, może podświadome, ale jakże celne, przypomnienie naszej rozmowy z roku 1946. Jakże żałuję jednak, że zyskawszy sobie wówczas życzliwość tego szlachetnego i mądrego starca, nie umiałem jej lepiej wykorzystać. A biło z niego takie serdeczne ciepło, że nawet wspomnienie o nim budzi we mnie, dzisiaj już osiemdziesięcioczoletnim, poczucie jakiejś harmonijnej bliskości.

Juliusz Wiktor GOMULICKI

Śmierć Agawy

Mówiliśmy o wojnie. Ktoś twierdził, że żołnierz wskutek długoletniego przebywania na froncie, jak to bywa we współczesnych wojnach, dziczeje i żywi nienawiść do wszystkiego, co świadczy o normalnym, spokojnym życiu, gdy on wciąż żyć musi pod grozą śmierci.

Przysłuchujący się naszej rozmowie starszy jegomość, z tych gadułów, co to na każdą okoliczność mają coś do powiedzenia ze swej praktyki życiowej, wmieszał się do naszej rozmowy.

— Odziedziczyłem po matce agawę, którą dostała od swojej matki jako dorodną już roślinę osadzoną w dużym wazonie. Trafiwszy do pieczołowitych rąk, w dobrobycie rozrosła się agawa

do ogromnych rozmiarów, tak że musiano z czasem dobudować do cieplarni specjalne pomieszczenie, gdzie zimowała. W maju, po zimnych świątecznych, kiedy nie było obawy mrozu, sześciu parobków wynosiło ją, osadzoną w dużej okutej kadzi drewnianej, i przez lato stała przed domem, wkopana we wzgóreczku zasianym trawą i okolonym kwietną rabatą. W słońcu jej niebiesko-zielone, ostro zakończone liście sterczały sztywnie ku niebu, nie uginając się ani od wiatru, ani pod siadającymi na nich ptakami. W tej sztywnej nieruchomości była jakby wielka cierpliwość, obliczona na długie lata oczekiwania na kwiat, który wedle legendy wystrzela na agawie raz na stulecie.

Po śmierci mojej matki, gdy dom rodziców opustoszał, przewiozłem agawę do siebie i kazałem tak samo wkopać ją przed domem na usypanym wzgóreczku obsianym kwiatami. Patrzyła wtedy agawa na podrastające już czwarte pokolenie — na moje dzieci, które lubiły dotykać kółców jej liści i twierdziły, że takimi kółkami musiał Robinson Kruzoe zeszywać sobie odzież. U nas nie miała już agawa takich wygód, w zimie bowiem przenoszono ją do półciemnej sklepionej piwnicy pod domem. Tak na przemian, to pławiąc się w skwarnej podolskim słońcu, to drżąc w półmroku zimowym, trwała wraz z nami agawa szereg lat.

Aż nadszedł dzień, w którym burza zrodzona z wojny światowej, a znana pod nazwą bolszewizmu, zrujnowała nasze gniazdo i rozproszyła nas po świecie. Drugi korpus gwardii opuścił samowolnie front galicyjski i ruszył w głąb kraju, paląc i pustosząc folwarki, gorzelnie i cukrownie. Fala zbuntowanego żołdactwa dotoczyła się do nas na początku października i rozlokowała się w okolicy na zimę. Uciekliśmy do powiatowego miasteczka, gdzie jeszcze panował względny spokój.

W miesiąc potem musiałem przejeżdżać przez moją wieś i zaszedłem do dworu. Szedłem przez park zaśmiecony podartymi książkami i papierami, które przy domu i na połowie dziedzińca, niby śnieg, zaścielały ziemię białym całunem. Na schodach rzucił mi się w oczy na białej karcie tytułowej dużymi kulfonami zrobiony napis atramentowym ołówkiem, fioletowy od wilgoci. Podniosłem splugawioną książkę i przeczytałem: „Kniha polskaja, a posiemu nikomu nie nużnaja”. Były to Ignacego Radlińskiego „Dzieje jednego z synów Bożych”. Drzwi i okna domu z powyrywanych futrynami wyglądały jak szarpane rany. Zewsząd ziała pustka, zniszczenie, śmierć. Tylko agawa, zbrojna w kolce, stała nietknięta na swoim pagóreczku wśród zdeptanego kwietnika. Cierpliwie i nieruchomo trwała. Odchodząc poleciłem spotkanej w ogrodzie dziewczynie, żeby przy pomocy moich przyjaciół-chłopów przeniosła przed mrozami agawę do piwnicy.

W tydzień potem zjawiała się u mnie w miasteczku owa dziewczyna, Katra, przywiozła mi trochę ocalonej z pogromu odzie-

ży i opowiedziała między innymi o losie agawy: — Jak pan kazał przenieśliśmy z naszymi kooperatystami agawę do piwnicy. Ale żołnierze zaraz zauważyli jej brak i ich starszy, Korowniczenko, jął rozpytywać wszystkich gdzie „koluczka”. Szukał wszędzie, aż znalazł. Wtedy żołnierze weszli do piwnicy i bagnetami porozdzierali każdy liść, klnąc i przemawiając: „Ach ty koluczka proklatą! Ach, ty burżujska wydumka!”

Tak w boju, gwałtowną a nie powolną na mrozie śmiercią, zginęła nie doczekawszy się kwiatu agawa mojej babki. Przypomniała mi się ta śmierć dzisiaj w okrutnych czasach, kiedy nad zagadnieniem ciągłości cywilizacji ludzkiej, nad losem nauki „jednego z synów Bożych”, nad samą naturą człowieka z trwogą i troską rozmyśla niejedna głowa.

Stanisław STEMPOWSKI

Opisana w opowiadaniu agawa rośla w Winikowcach, majątku Autora na Podolu, w dawnym powiecie lityńskim. Akcja toczy się w roku 1917.

Tekst wg ostatniej wersji opowiadania, które stanowiło „aneks” do fragmentu pamiętnika Stempowskiego pt. „Winikowce II. 1914-1917” (druk: *Zeszyty Historyczne*, z. 23 i 24, Paryż 1973). Przywrócono w nim jedynie, na podstawie rękopisu wcześniejszej redakcji, dwa imiona własne oraz cztery parowyrazowe skreślenia, dokonane przez Autora w 1948 r. ze względu na ówczesną cenzurę polityczną. — J.W. Gomulicki.

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Swoi i obcy

(Aneks do opowiadania „Jedźmy, wracajmy...”)

pamięci Olka Ossowskiego

Historia ta, to brulion jednego z fragmentów mojego opowiadania „Jedźmy, wracajmy...”, w którym Ojciec z Synem w drugiej połowie lat sześćdziesiątych jadą na Wschód, na Kresy w rodzinne strony Ojca. Wtedy jednak zrezygnowałem z tej historii, nie wtopiłem jej w całość. A myślę, iż rezygnacji tej nie to było przyczyną, że bohater w czasie pisania reszty wydorósł mi o kilka lat, raczej doszedłem do przekonania, że historia ta przechylałaby mi proporcje między występującymi w opowiadaniu narodowościami na korzyść jednej narodowości i w jakimś miejscu rozsadziłaby akcję, zresztą nie ważną. W każdym razie miała przepaść w jednej z teczek, gdzie przechowuję różne papierzyska z nadzieją, że się jeszcze może do czegoś kiedyś przydadzą; najczęściej nie przydają się na nic.

Muszę więc wytłumaczyć dlaczego tym razem stało się inaczej, jakim to okolicznościom brulion tej historii zawdzięcza swe wypłynięcie na światło. Otóż okoliczności pierwszej: że powstawał w czasie pobytu na lotnisku pod Paryżem i że proszony przez przyjaciół z miasta na kolację, a także bym przywiózł i przeczytał im coś z tego, co piszę właśnie — maszynopis z sobą zabrałem, przeczytałem, tak że w ten sposób upublicznił się, zwłaszcza, że dziś ludziska nie darują sobie, żeby od razu nie nagrywać na taśmę, nawet nie pytając o zgodę. Drugiej zaś okoliczności — że obecny na wieczornym przyjęciu u moich paryskich przyjaciół ich z Izraela przyjaciel taśmę tę sobie przegrał i ze sobą do Izraela zabrał.

No i tam ją prezentował na jakichś zebraniach towarzyskich, więc fragment upublicznił się w dwójnasób. Ale dopiero spotkanie po latach w Warszawie mojej przyjaciółki Wandy, która w Izraelu nosi piękne imię Rachel, dla mnie zaś Wandą pozostaje jak wtedy, w czasie naszych studiów w Poznaniu (to spotkanie wiosną tego roku, najpierw przypadkowe, u znajomych, następnie już wyznaczone mi u niej, w hotelu, na śniadaniu), nadało całej sprawie fragmentu inny wymiar, bo i ona tę taśmę tam w Izraelu u kogoś wysłuchała, a ponieważ przyznała, że mnie zna, czy że znała, stała się medium opowieści, którą postanowiła mi przekazać.

Ale najpierw inkryminowany fragment:



Pustka aż dławila by gardło, gdyby daleko za rzeką nie majaczyły we mgle wpół zrujnowane domy jakieś osady, ponad nie nie wystawała budowla jakiegoś kościoła, a może cerkwi, też w ruinie, obcięta do połowy, tak że nie mógł z tej odległości rozpoznać czym niegdyś rzeczywiście była, i gdyby nie jedyny tam budynek naprawdę żywy, bo kręcili się w pobliżu ludzie, budynek z czerwonej cegły, wyglądający na niewielki dworzec kolejowy. Krakały tylko wrony. Milczenie przerwał syn:

— Jacy ludzie mieszkali tutaj, tato? Polacy? Ukraińcy?

— Polacy i Żydzi — odpowiedział. — Ukraińcy mieszkali na wsi, w miasteczkach — Polacy i Żydzi.

— Jacy oni byli?

— Kto? Żydzi?

— No, chociażby, Żydzi...

— Inni.

— Spodziewałem się... że inni.

— Nie tak jak myślisz. Inni od Żydów dzisiejszych. Od wszystkich, jakich w ogóle kiedykolwiek widziałeś w życiu.

— Obcy?

— Swoi i obcy. Tak będzie prawdziwie. Inni. Jeszcze trzy dziesiątki lat nie minęły, jak ten świat żył. Potem zagiął bezpowrotnie...

— Swoi i obcy? — powtarzał syn. W jego głosie było coś zastanawiającego, namysł, a jednocześnie jakby niedowierzanie — Swoi i obcy...

— Tak, jednocześnie. Oni żyli obok nas, my żyliśmy obok nich. Tak to było. To nie łatwe do wytłumaczenia, zwłaszcza dzisiaj.

— Mógłbyś spróbować.

— Myślę, że ci to kiedyś wytłumaczę... Nie teraz... — powiedział cicho, rozkaszał się. — I nie tutaj. Może jak wrócimy do kraju... — I patrzył w piwne, szeroko otwarte oczy syna, zamysłone teraz, aż — gdy potrząsnął z dezaprobatą głową — zapaliły się w nich błyski niezrozumienia, choć może były to tylko na ułamek sekundy ogniskujące się w jego źrenicach refleksy czystego acz chłodnego światła słońca, które przejrzało teraz znowu na krótko przez rozrzedzoną w jednym miejscu białą pokrywę nieba, ale miał wrażenie, że właśnie to w źrenicach syna ujrział: niezrozumienie i — ponieważ nie umie mu na pytanie odpowiedzieć — to być może potępienie nawet. Ku jego zdziwieniu syn jednak nie pytał więcej i to tylko on, kiedy już do samochodu wracali, powtarzał w myśli prawie mechanicznie: „Swoi, czy obcy? Obcy czy swoi...?” i wiedząc, że nigdy, nawet samemu sobie na pytanie to nie odpowie (może był w tamtych czasach zbyt młody jeszcze, zbyt mało zdołał ogarnąć oczami chłopca, niewiele dostrzec i przeniknąć), pomyślał raptem o dziewczynce żydowskiej, którą mu starszy z Nikraszów przyprowadził wtedy nad rzekę, sprowadzając ją spadziastą ścieżką między tarasowato opadającymi w dół cmentarzami, z lewej strony katolickim i prawosławnym, na prawo unickim i żydowskim, i doprowadził nad brzeg, ażeby tłumaczyć, ta zaś czereda chłopaków z wiejskiego przedmieścia wlokła się kilka kroków z tyłu za nimi, jak na jakąś nadarżającą się zabawę, która rozproszy ich nudę, wietrząca myśliwska sfora.

Wpierw ich jednak wszystkich usłyszał. Te podekscytowane, dzikie pokrzykiwania, jeden przez drugiego, dźwięki, słowa w tej mowie „łakowej”, ukraińskie pomieszane z polskimi, i przestraszył się, że w przesmyku między połaciami zarastającego brzegu tataraku, gdzie nad wodą siedział, zechcą się kąpać, już miał zamiar zwinąć wędkę, kiedy — odwracając się — dopiero wtedy wyprzedzającego ich Nikrasza i tę małą spostrzegł; tak ją ocenił, choć jak później się okazało była w ich wieku, miała 11, może 12 albo nawet 12 i pół, tylko że istotnie niewielkiego wzrostu była i wychudzona do niemożliwości, ledwo trzymająca się na nogach, cała obdarta, w łachach i jakby też cała wytarzana w kurzu, tak że nie musiało go nic „tknąć” (mimo że później tak mu się wydawało i tak wspominał), ażeby rozpoznać, że to Żydówka.

Czy mógłby teraz to spotkanie synowi zrelacjonować? — myślał. Co z tamtego zdarzenia dla tak młodego człowieka, zupełnie nie znającego ani tamtych czasów, ani tego kra-

ju z jego przedziwną mozaiką ludzką, mogłoby być w ogóle zrozumiałe? On sam pamiętał, jakby to wczoraj się stało. Te ich gromkie pokrzykiwania w tym jakimś z „łak”, od wspólnych gier w palanta, w klipę i noże dialektie, wybuchy śmiechu i gwizdy za idącymi przodem, żydowską dziewczyną i Nikraszem, jakby to istotnie chodziło o jakąś randkę, a ona szła bezradna, oglądając się co chwila z przestachem — to właśnie widać było przede wszystkim: że się bała, ale że jest jej jednocześnie wszystko jedno, to widać było też. Bo przecież musiała mieć już za sobą zbyt wiele, żeby nie zubożnąć, żeby się w każdym razie nie uodpornić: od kilku dni motocykl z przyczepą, w której siedział SS-mann w oficerskim uniformie, przecinał okolicę drogami i ścieżkami wzdłuż i wszerz, a oddziały ukraińskie, te z czarnymi epoletami, pościągane aż ze Lwowa, wzdłuż i wszerz przeczesywały okoliczne wsie, pola i zagajniki w poszukiwaniu rozbiegłych z jakiegoś idącego ze wschodu i wysadzonego z szyn przez partyzantów transportu Żydów, więc od razu ją do tych zbiegów w myśli dołączył i zrazu — kiedy już z Nikraszem się zbliżyła i stała przed nim czarna, zapyłona, z jakąś głęboko zapadniętą twarzą, jakby bezzębna i czekała, może na pytanie albo w ogóle jego odezwanie się, on zaś zwił nerwowo wędkę i pakował w pokrowiec — to nie mógł zrozumieć pytania Nikrasza, czy może tłumaczyć, sądził bowiem, że ona jest zza kordonu, z Żydów ukraińskich albo rosyjskich, i dopiero, kiedy odezwała się po niemiecku, pojął swą pomyłkę: że ona ze strony przeciwnej była.

Mógłby jej opowiedzieć przytoczyć synowi w skrócie, same fakty, i to te najważniejsze tylko, nie wdając się w żaden zbyteczny i wątpliwy po latach komentarz. Lecz czy to historię tę zdołałoby przybliżyć człowiekowi żyjącemu już w zupełnie innym kraju, uczącemu się z zupełnie innych książek, mającemu za kolegów w szkole tylko rówieśników mówiących tym samym językiem... Co on wie o tym obszarze ziemi, będącym pozostałością jeszcze większego, wcześniejszego, który jeszcze przed niespełna trzema dziesiętkami lat zamieszkiwali ludzie tylu języków, religii i kultur, że pół alfabetu nie starczyłoby, żeby wyliczyć ich nazwy, a dzisiaj nie pozostały po nich nawet cmentarze? Bo ona pochodziła z małego miasteczka na pograniczu Pomorza i Wielkopolski i nie znała ani jidysz, ani polskiego. Na imię miała Adela i nazywała się Goldschmidt, jej ojciec był tam właścicielem składnicy opałowej: węgiel, drewno, nafta, karbid, materiały pędne, tak powiedziała. A najważniejsze, że oni mówili w do-

mu po niemiecku. W tym zachodnim miasteczku, gdzie ich, Żydów, nie było więcej, niż kilka jedynie rodzin, oni trzymali się dawnych związków z kulturą niemiecką; dzieci i młodzież wysyłano do niemieckich szkół, w tamtym rejonie dość licznych ze względu na niemiecką mniejszość. Ale wpięrow powiedziała mu, że z Wielkopolski uciekła z matką wkrótce po wejściu do miasteczka Niemców, bo ojca to od razu z domu zabrano i przepadł. Że dostały się bez większego trudu do Krakowa, a potem szły na wschód i przez nową granicę, bo jeszcze miały czym płacić albo może w ówczesnym zamieszaniu było łatwiej i ludzie życzliwi wtedy byli jeszcze. A teraz, to ona jest sama już od wielu miesięcy, bo po wybuchu nowej wojny matka zmarła na tyfus, jej zaś, kiedy wiosną zaczęły się wywózki miejscowych Żydów i ta wieczna strzelanina, to ci ludzie, którzy ją wpięrow z matką a potem samą przechowywali, dali jej plecak na ramiona wypchany żywnością i kazali iść do lasu. I rzeczywiście, trafiła na takich, co się tam ukrywali, swoich, i została przyjęta, a nawet im się przydała, bo pilnowała dzieci, ażeby nie były za głośne, ale raz, kiedy to i na nią kolej wypadła z innymi na wieś iść, do ludzi, co dawali żywność, to dostała się w zasadzkę: tamci, chłopci już nie żyli od wielu godzin, leżeli za domem zakłuci bagnietami, spuchnięci i cuchnęli w upale, ich zaś, Żydów, zagarnięto jak śnięte ryby w sieć. Więc nie ma pojęcia, jak się uratowała. Może ten hilfspolicjant, obok którego przebiegła, zobaczył jaka jest mała, może pożałował? Nie umiała mu wyjaśnić. Ale powiedziała jeszcze, że do swoich w lesie na bagnach nie trafiła więcej, pewnie ich już tam nie było wcale. I że od tamtego czasu tuła się sama po polach i skrajach lasów, żywiąc się tym, co z ziemi da się wygrzebać albo nocami z sadów chłopskich lub warzywników podkraść. Z ludźmi zaś nawet nie próbuje nawiązywać kontaktu, no bo jak — po niemiecku? I jeszcze, że we dnie, to najczęściej teraz na cmentarzach koczuje, tam najbezpieczniej. Ale też tam ją niedawno (skręciła głowę do przysłuchującego się, w niezrozumiałym języku prowadzonej rozmowie, auditorium) śpiącą na płaskim dachu jednego ze starych grobowców znaleźli i na ziemię ściągali. „Co oni chcą?” dopytywała się, „Przecież ja nie mam pieniędzy, żadnego złota ani drogich kamieni!” mówiła, jakby wiedza o tym, czym Żyd życie może sobie kupić, a czego brak stwarza najgorsze niebezpieczeństwo, była jej jedyną wiedzą, on zaś był sam wtedy zbyt młody, sam zbyt bezradny, ażeby móc wprowadzić ją z błędu.

I kiedy tak wysłuchiwał jej opowieści, wciąż jeszcze mnać swą wędkę w pokrowcu i bezradnie kręcąc się w miejscu, przekładając tych kilka złapanych płoci z siatki do słoja, potem na powrót ze słoja do siatki i znowu z powrotem do wody, to przyszło mu na myśl, że ona musi być głodna i jak ku zbawieniu schylił się do swego plecaka leżącego na brzegu, wydobył resztki przygotowanych przez matkę kanapek, a ona znieruchomiała, jakby od takiego gestu dawno odwykła i nie wiedziała zrazu co począć, dopiero gdy powtórzył zaproszenie po raz drugi albo trzeci, przyjęła i jej rzucające na boki ciemne spojrzenia oczy złagodniały nieco. Jadła później, siedząc naprzeciw niego na trawie, kęsami powolnymi, jakby wcale nie była głodna, w każdym razie nie łakoma, dokładnie, uważnie, z namysłem przeżuując, ale domyślał się, że chleba nie miała już dawno w ustach, a na jej policzkach i czole wystąpiły gęsto drobne krople potu.

Ta cała wiejska łobuzerka siedziała już otaczającym ich ciasno łukiem, amfiteatralnie, niemal przyciskając do samego brzegu rzeki, znowu hałaśliwa, jeden przez drugiego gadając, i to był następny jak gdyby plan, szersze tło tamtej jej opowieści (z której on, co najważniejsze, już im przetłumaczył) i w tej ich gadaninie była cała historia okolicy i tych ostatnich dni, tygodni i miesięcy: wymiecione z Żydów osady i miasteczka, transporty, które odeszły gdzieś w nieznane z odległych kolejowych bocznich, zajęte przez innych domy i mieszkania albo przeświecające pustką ruiny, rozbiegłe i ukrywające się po lasach i cmentarzach kobiety i dzieci. A także nagonki ławą idące przez zboża, łąny łubinu, lnu i zagajniki. Strzały, bliższe i dalsze, nieregularne, to tu, to tam, ale nieustające, choć nagonki zwykle nie było widać, ani uciekających też. Nocą zaś świetlne kule przeszywały powietrze czerwonym cięciem. I smród niesprzątniętych trupów na polach, przylepiający się do nozdrzy i skóry. A przede wszystkim to, że za przechowywanie Żydów stawiają Niemcy pod mur, za sprowadzenie zaś na posterunek podobno płacą. Ale to drugie — to czy to prawda, to nie bardzo pewne. I że to nie żaden Żyd, ale Żydówka tylko, co za Żydówkę może ktoś dać? Zresztą to ich rówieśnica — to jedni. A że to niby nic nie znaczy — to drudzy. I skakali sobie do oczu. Aż któryś wreszcie powiedział, że trzeba by ją ochrzcić, to już Żydówką nie będzie, w tym wieku jeszcze można, ruk cuk i sprawa sama pójdzie z głowy. Więc on został na jakiś czas jak gdyby z tej gromady wyeliminowany i mógł podjąć próbę zastanowienia się z Nikraszem na stronie, co dalej mają robić.

Tu musiałby, skoro zdecydowałby się synowi tę całą historię jednak opowiedzieć, powiedzieć, że tak Nikrasz, jak i on wiedzieli o żydowskich w lesie ziemiankach. Gdzie się mniej więcej znajdują i kto być może wie dokładnie, bo dostarcza tam żywność. Ale przecież nie można było tego powiedzieć głośno, zaproponować otwarcie, że się dziewczynę tam zaprowadzi. Jeżeli jednak nie tam — to gdzie? Nie do miasteczka przecież! Kto wtedy wiedział — kto jest kto!? Wprawdzie grali często razem w palanta na nadrzecznych łąkach, palili ogniska na polach i piekli w nich wspólnie ziemniaki podkradzione u chłopów albo jeszcze inaczej się zabawiali, ale przecież tak naprawdę nikt drugiego nie znał i tylko Nikrasza mógł być pewny, ten był swój naprawdę, choć był synem prawosławnego popa. Wspomnieć musiałby także synowi, że w miasteczku od pół roku nikt nie widział już żadnej rodziny żydowskiej i pojawienie się małej na uliczkach, nawet w ich otoczeniu, wzbudziłoby sensację i popłoch, zaraz zostałoby odkryte i pewnie gorąco napiętnowane, bo na kogoś ściągające śmiertelne niebezpieczeństwo posądzenia o współnictwo. Ale dalej milczał i, przypatrując się przesuwającemu się za oknem samochodu jesiennie przebarwionemu pejzażowi mijanej okolicy, nieuważnie słuchał rozmowy syna z kierowcą, czując jednocześnie przypływ nagłego chłodu.

Wtedy zaś był akurat środek lata. Słońce paliło bezlitośnie, niebo pozbawione chmur zachodziło sinawym oparem, a tego dnia nie było ani odrobiny wiatru i w powietrzu dusznym, ciężkim, lepkiem czuło się zbliżającą się szybko burzę. Zwłaszcza ten szczegół byłby w jego opowieści ważny, to następstwo obrazów, gdyby się na nią zdecydował: cmentarze schodzące z poszczerbionych, wapiennych grzbietów nie rozdzielone, ale jak gdyby jakoś integralnie połączone niegłębokimi przełęczami i wzgórzami, tworzące jedność, roztopiona w upale na dole rzeka w trzcinach, tatarakach i lśnieniu pełnego słońca jeszcze, groźnie jaskrawego, za rzeką zaś i za łąką nadrzeczną niezbyt daleko pierwsze domy miasteczka, raczej chaty przypominające i wieś, a potem zaraz tylko, jak gdyby jakaś zasłona przed oczami mu zapadła i natychmiast na powrót w górę się podniosła (tak jakby między obrazami nie było żadnego przejścia albo po prostu z tego przejścia nie zostało w jego pamięci ani śladu), był już kilometr albo dwa w dole rzeki, gdzie w nasypie, dokąd wiosną nieraz docierała powódź, przy samym przejściu do podmywanego stale mostu, stał na podwyższeniu krzyż. I oni tam wszyscy

pod tym krzyżem stali, tę dziewczynę otaczając, on zaś i Nikrasz wśród nich stali też.

Już nie było słońca, jakby utonęło nagle w głębi pociemniałego raptem nieba i wiatr niósł w powietrzu zapierający oddech pył zmieszany ze startą na miał i drobne żdźbła suchą trawą, z wiatrem zaś gnały pomruki zbliżającej się burzy. A zaraz potem najdokładniej zapamiętał jeszcze tę scenę budzącą w jego wspomnieniu najwięcej wątpliwości, bo przecież to, co się tam stało wtedy, nie było wcale zabawą, naigrywaniem się, tym bardziej zaś znęcaniem się nad kimś bezsilnym, bezbronnym, zdanym na łaskę i niełaskę, ale jakąś tylko ponuro na serio wyobrażoną sobie koniecznością spełnienia obowiązku, którego spełnienie nakazywało im ich wychowanie, obyczaj wbity w głowę w domu, określona rodzinna tradycja i specyficzne poczucie religijności; tę scenę zapamiętał najdokładniej, choć nie trwała długo, bo przecież zbliżała się burza i oni też się spieszyli; scenę na tle pociemniałego i opadłego nisko nieba, już w pierwszych błyskach na horyzoncie i huczącym wietrze. Jak któryś z tej gromady w czapce niósł zaczerpniętą z rzeki wodę i jak oni ją tam, tę małą Żydówkę pod krzyżem ustawili, lali tę wodę na jej głowę i, jeden przez drugiego mamrocząc jakieś swoje formułki, chrzcili ją, nadając nowe imię.

Tak właśnie dziewczynę tę utrwaliła jego pamięć: stojącą bezradnie, potulnie, niemal obojętnie, otrząsającą się tylko z wody, poprawiającą, a raczej odgarniającą na boki zmyte na twarz włosy, przecierającą oczy, może patrzącą na niego, czekającą jakichś słów w znanym im tylko obojętnym języku i zawiedziona, że ich nie słyszy, bo pozostały przecież gdzieś tam w najgłębszych zwojach jego mózgu przechowujących najdawniejsze wydarzenia i obrazy, przechowane również, białe weń jej uważne, czarne, rozszerzone oczy i te zacisnięte usta, żeby nie wymknęło się z nich żadne słowo skargi, które by sytuację pogorszyło jeszcze.

A potem nie było już nic w jego pamięci, jakby się gdzieś pod ziemię wszystko zapadło, jakby tej dziewczyny nigdy więcej nie widział, choć jeszcze bez wątpienia musiał patrzeć na odchodzącą z Nikraszem. Bo pamiętał przecież, tak jak tamto wszystko inne, że tak właśnie podzielili się rolami: Nikrasz, który ją w południe z ich łap tam na cmentarzu wyrwał, kiedy licho wie co przychodziło im do głowy, miał odprowadzić ją do lasu i wskazać drogę na śródleśne, kryjące ziemianki żydowskie, trzciną pozarastane stare torfowiska, on zaś miał zostać z tą całą czeredą i w jakiś sposób

(nie pamiętał już jaki) nie dopuścić, ażeby za Nikraszem i dziewczyną poszli. Więc tak też się stało. Ale z zakończenia tej historii nic w nim nie pozostało, żadnego, nawet mglistego obrazu, samo wyobrażenie tylko, sucha wiedza. Jak i wiedza o tym również, że gdy z Nikraszem nazajutrz się spotkali, to on mu wtedy powiedział, że doprowadził ją do lasu właśnie i na dróżkę biegnącą ku torfowiskom. Potem wskazał jej, gdzie iść ma dalej.

Więc tylko ta okrutna, odpychająca w wymowie, choć pewnie wcale z okrucieństwem nie zamierzona, ale po prostu tępą, głupią, prymitywną sceną pod krzyżem nie pozwalała mu spokojnie myśleć o tamtym wydarzeniu z dziewczyną żydowską (raczej dziewczynką, bo nie mogła mieć więcej nad 11 lub 12 lat), o wydarzeniu, które przecież spośród wielu możliwych tragicznych wariantów, znalazło zakończenie niemalże pomyślne. Był jednak zadowolony, że syna zajmuje coś innego teraz i że jego rozmowa z kierowcą toczy się tak zwawo, że nie mógłby jej nawet przerwać. Zresztą nie chciałby.

Ale się mylił. Ten chłopak był, jak jego zmarła matka; niczego nie zapominał i nigdy nie ustawał w dociekliwości, jeżeli już postanowił się czegoś dowiedzieć. Na następnym więc postoju, kiedy kierowca zakrzętnął się na chwilę przy motorze i — podniósłszy haubę, zaglądał do wnętrza — a oni stali oparci o bagażnik i patrzyli na okolicę, tu jeszcze bardziej opustoszałą niż na poprzednim postoju; burzany tylko, osty, perz, bezkres jesiennie przyklesłej i żółklej trawy, żadnego śladu wsi, nawet wpółwypalonej cerkiewki, to syn powrócił do tamtej sprawy znowu:

— Widziałeś, jak ich wywozili, tato?

— Jak ich wywozili? Żydów... — potrząsnął przecząco głową, ale mówił dalej, z oporem. — To się odbywało na wyznaczonych do tego miejscach. Wagony stały daleko na jakiejs bocznicy albo na torach w polu. A teren był obstawiony *bahnschutzami*, żeby się nie zbliżać. Więc może widziałem z bardzo daleka... Właściwie to tylko widziałem, jak ich wyganiano z miasteczka. Jak tam do tego pociągu szli.

— Jak?

— W długiej kolumnie. Pod strażą uzbrojonych *schutz-policjantów*.

— Jak to wyglądało...?

— No jak... długa kolumna. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Rodzinami. Objuczeni różnymi tobołami. Niekiedy ktoś młodszy dźwigał na plecach starca albo staruszkę. Straszny wi-

dok, nigdy nie zapomnę, potrafi się śnić. Pewnie nigdy nie ustanie.

— Jak oni wyglądali, tato?

— Jak wyglądali? Zwyczajnie. Tak jak zawsze. Oni byli z mojego miasteczka. Tak jak zawsze.

— Ale co robili? Tylko szli?

— Pod strażą tych *schutzpolicjantów*, tak... Którzy pilnowali, żeby nikt nie zboczył z drogi. Czasem bito ich kolbami i poganiano.

— Ale co oni robili?

— No, mówiłem, szli. Potem śpiewali...

— Jak to, śpiewali...?

— Ktoś zaintonował. Może rabin, nie wiem. Jest taka pieśń. Śpiewa się ją na żydowskich cmentarzach.

— I oni ją śpiewali?

— Tak. Szli i śpiewali.

— Wszyscy?

— Chyba wszyscy, myślę...

— Szli i śpiewali — powtórzył syn, a on czekał na następne jego pytanie, ale tym razem już nie padło.

Chłopak stał zamyślony, patrzył w niebo zaciągnięte równo sino-chłodnym oparem, a jego twarz zdradzała napięcie, czy też, i jakby zasluchanie. W całej jednak okolicy było cicho, znowu tylko gdzieś daleko krakały wrony. Przez chwilę rozciągnięty w wilgotnym powietrzu głos wron wydał mu się tamtym odległym głosem, a może mu się na tamten, zapamiętany i noszony gdzieś głęboko w sobie głos tych odchodzących ludzi ten chrapliwy głos wron teraz nałożył, choć nie był pewny czy istotnie jakiegokolwiek między nimi istniało podobieństwo, ale był prawie pewny, że syn, nasłuchując, o tym samym myśli.

ANEKS DO ANEKSU

Najdziwniejsze w tej historii z Adelą Goldschmidt jest dla mnie jednak to, że wcale nie przeżyłem jej osobiście. W 1942 roku nie byłem nawet w tych stronach. To prawda — nie wymyśliłem tej historii sobie. Jest ona zapisem, i to — jeżeli mnie pamięć w czymś nie zawodzi, a pewnie nie zawodzi — zapisem bardzo wiernym opowieści mego zmarłego pod koniec lat pięćdziesiątych przyjaciela licealnego i potem ze studiów, Olka Ossowskiego, który do niej, do tej opowieści powracał wielokrotnie, wciąż nie mogąc sobie poradzić z dręczącymi go, jak przypuszczam, pytaniami: czy jednak nie

mogli oni coś więcej dla tej małej zrobić. On i ten syn popa, Nikrasz. Żeby mieć chociaż odrobinę niepodważalnej niczym pewności, że się uratowała naprawdę. Myślę, iż te powtórki i, być może rzucające światło na historię Adeli Goldschmidt jego rozważania, utrwaliły ją w mej pamięci tak mocno, że historia ta stała się niemal przeżyciem własnym i pytania, które się z jej poszczególnych, opowiadanych przez Olka części, wyłaniały, stały się później także moimi pytaniami, wielokrotnie powracającymi. A więc opowieść kobiety podającej się za dawną Adelę Goldschmidt (choć dziś nazywa się inaczej — i z domu, i z męża), tę opowieść przekazaną mi przez Wandę (noszącą dalej pięknie staropolsko brzmiące nazwisko, na które w czasie wojny wystawił jej metrykę tak właśnie nazywający się zakonnik w Pińsku, tyle że dołączone do mężowskiego), tę dziwną, zaskakującą i wzburzającą opowieść przyjąłem jako przekaz rzeczywiście pod właściwym adresem, czyli mnie się należący. Tak to nieraz rzeczywistość zmieszana z imaginacją sprawiają, że pytania, niepokoję, lęk że się czegoś nie dokonało, przekonanie, że się nie mogło, to nieustające ssanie sumienia, konieczność oglądania się za siebie, nakaz pamiętania przeszłości, owe dociekające rozmowy prowadzone z sobą samym w myślach i niemożność zapomnienia — wszystko to dziedziczyć po przyjacielu i niosę dalej.

Wanda powiedziała, że tamta jej powiedziała, że rozpoznała mnie po tym wysłuchanym z taśmy fragmencie od razu i że już kiedyś, dużo wcześniej, czytając którąś z moich książek, miała wrażenie, że mnie skądś zna. Wanda powiedziała, że tamta nie powiedziała jej niczego takiego wprost, ale ona się z jakiegoś kontekstu tej jej opowieści domyśliła, że tamci, ta małomiasteczkowo-wiejska zgraja gdzieś tam na nią zaczajona w lesie czekała. Bo to tylko im, Olkowi i Nikraszowi, tak się zdawało, że są jedynymi posiadaczami tajemnicy o żydowskich ziemiankach w lesie i gdzie się znajdują. Tymczasem naprawdę inni wiedzieli też. Więc oni ją jeszcze raz tam gdzieś dopadli. Czym pewnie okaleczyli duchowo na całe życie, bo tamten epizod pod krzyżem na nasypie ledwo majaczył w jej wspomnieniu i — widać było — większego znaczenia nie miał, mocno zaś utkwiły w jej pamięci szczegóły inne: tej nieodstępującej jej i następującej jej nieubłagania na pięty rozkrzyczanej bandy, targującej się o coś w niezrozumiałym dla niej języku, psiej, myśliwskiej jak gdyby sfory. O czym mówiła głosem głuchym, wybuchającym i zamierającym zaraz, a w jej oczach była zapiekła, nie cofająca się i nie wygasająca nienawiść. Mimo upływu tylu lat. Tak mó-

wiła Wanda. Aż w końcu się zainteresowała: „Dlaczego on wtedy mnie o tym nie powiedział, tylko tobie?”. „Kto? Olek?”. „No właśnie, Olek” powiedziała Wanda. Wzruszyłem ramionami. „Czy ja wiem? Może dlatego, że jesteś Żydówką...” powiedziałem niepewnie. „To znaczy, że obca?” „Czy ja wiem...” powtórzyłem jeszcze bardziej niepewnie. „Może niedostatecznie swoja...? Niedostatecznie swoja, żeby podzielić się z tobą można było swoim wstydem...”. „Dlaczego wstydem? Jakim wstydem?! Przecież Olek i ten popi syn starali się ją uratować. Więc co tu ma wstyd do rzeczy?!” napierała Wanda. „A jednak. Nie rozumiesz... Olka i tego drugiego łączyły z tą gromadą przeróżne więzy. Zamieszkania w tej samej miejscowości, wieku.. Więc może był w nim wstyd za rówieśników? Że byli tak inni. Olek miał potem czas stwardnieć, zahartować się, bo jeszcze — nie wiem czy wiedziałaś wtedy o tym — przeszedł przez partyzantkę, a przecież wszystko odwracało się w nim wewnątrz od tego wydarzenia. Może nie mógł znieść tej nierówności — że on był od niej w lepszej sytuacji...?” „Ale to są wszystko twoje domysły?” nie wiem dlaczego denerwowała się Wanda. „Tak, to są moje domysły. Czasem wydaje mi się, że jemu trudno było znieść tę myśl, że na niego nikt nie polował wtedy za sam wygląd, za to samo, kim on był...”. „Ale to są też twoje domysły...?” nie ustępowała Wanda. „Wszystko dziś jest tylko domysłem” mówiłem na to Wandzie ja, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa i czując, że go nie znajduję. A później mówiliśmy o prymitywizmie, o barbarzyńskiej tępcie i nieczułości, o ludziach, z których uleciała za życia dusza albo urodzili się w ogóle bez niej. I myślałem o wojnie. Że niech będzie przeklęta, bo budzi w ludziach uśpioną bestię i pozwala jej bezkarnie działać.

Nie wiem, czy to komukolwiek potrzebne — ten cały surowy zapis zdarzenia, a raczej zdarzeń i że to ujawniam. Bo przecież tak długo nosiłem to w sobie wraz z pamięcią Olka i nie potrafiłem literacko spożytkować. A myślę, że już teraz tym bardziej nie potrafię i tak przy tym zapisie tylko musi już pozostać.

1985–93

Włodzimierz ODOJEWSKI

Wiersze

Adam Tadeusz BAKOWSKI

PAPIER

Zadrukowana płachta papieru na wietrze.
Podmuchy wiatru są nieprzewidywane,
co budzi myśli — o kim? O Bogu, rzecz jasna.
Puste ulice, porywisty wiatr.
Z tej odległości nie odczytam druku.
Mobilizacja, nekrolog, pogoda?
Wiatr gna przed siebie jak w porywie bólu.

Adam Tadeusz BAKOWSKI

Tadeusz CHABROWSKI

* * *

Na wierzbie gruszki siedmiu sakramentów,
zakazane daktyle myśli i doznań,
trzecie i dziewiąte przykazanie,
pokąsany przez komary fioletowy biret
i odcięte od łopatek skrzydła,
które nie nadążały za Archaniołem.

Tadeusz CHABROWSKI

Stanisław DŁUSKI

* * *

Stary dom: mój wszechświat. Ograniczony, jak ja.
Wykraczający poza ja. Stary dom w Dębowcu,
stojący na kamieniach pamiętających Franciszka Józefa;
cztery strony świata, pełne sprzętów, przedmiotów
ukochanych, okrucich, czułych kątów, pajęczyn i śmieci.
Ojciec i Matka. Dzieci: odlatujące ptaki. I niewidzialni
goście, z tamtej strony ciemności

Stanisław DŁUSKI

Maciej NIEMIEC

NIEDZIELA NA POLACH MARSOWYCH

Ciężkie kule toczą się obok nieruchomej kulki,
pocieszający brak symetrii. Mijamy spacerujących,
jak my, patrzymy na grających w pétanque,
i ten ruch — kul i postaci, a także nieodłączne
od takiego ruchu osamotnienie, spoczywanie
gdzieś w samym sobie, zaczyna oświetlać
nawet rzeczy już nie istniejące: nasze własne
dzieciństwo, jego lęki wobec widm przyszłości.
(Im mniej samotności, im trudniej dostępna,
tym wyraźniej). Wysokie pióra obłoków nad Wieżą,
powrót nadbrzeżem, ruch holownika, krzyki mew-śmieszek
i dźwięki, którymi dziecko chce to wszystko nazwać...
Być może świat jest harmonijny, a tylko słońce
znad rzeki nas oślepia, wydłuża cienie, ciemne kreski.

Maciej NIEMIEC

Ks. Jan SOCHOŃ

KREW

Zapamiętałe, uparcie
wznosi się ogień nocy,
milkną w ogrodzie drzewa.
Zapamiętałe płynie krew
i chwali życie:
jestem, jestem!

ZROZUM

Zrozum, nie musisz być pierwszy
ani ostatni. Pory roku nie prześcigają się,
nie walczą. Łagodnie rozwieszają
krajobrazy, lekko podnosząc oczy.

Tylko tyle warto czynić:
spojrzeć, czy miłość zostanie przyjęta.

Ks. Jan SOCHOŃ

Florian ŚMIEJA

DWA MITY

Pisaliśmy ją przez duże E
i przyrównywali do Wielkiej
bo doniosła była potrzeba
naszego wzrostu chociażby
tylko we własnych oczach.
Krwą poiliśmy maki, tułali się
w opłotkach nieczułego świata
cali zajęci sprawą czujni
rycerze za naszą i waszą.

Z pietyzmem mówiliśmy: Kraj
 naród cierpiący, sama esencja
 bezwinnego człowieka
 kamienie na szaniec godności
 całopalny baranek bez zdrady
 solidarna bezinteresowność
 wyłącznie chłopcy krakowiacy.

A tu się skończył komfort dychotomii
 i znowu chochoł kazał nam się kłaniać:
 stąd emigrantom do kraju nie pilno
 a stamtąd nie mogą się dość nauciekać.

Florian ŚMIEJA

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefani Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

Wywiady „Kultury”

Wywiad z dr. Keith Swordem

MARIA PODHORSKA: — Kiedy i jak doszło do stworzenia Polskiego Programu Badawczego?

Dr KEITH SWORD: — Idea zrodziła się w 1982 roku dzięki pomocy finansowej Fundacji M.B. Grabowskiego. Autorami pierwszego projektu byli Norman Davies jako historyk, Jan Ciechanowski jako politolog i ja jako socjolog.

M.P.: — Jaki był główny cel tego programu?

K.S.: — Celem naszym było przestudiowanie początków formowania się polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii a także prześledzenie wszystkich dróg, którymi Polacy przywędrowali z Polski na tę wyspę poczynając od roku 1939. Zdecydowaliśmy się doprowadzić te badania do roku 1950. Była to trudna decyzja gdyż wiele osób sądziło, że należy to kontynuować do roku 1956.

M.P.: — Czy wyznaczony był jakiś termin na prowadzenie tych badań?

K.S.: — Pierwszy Program Badawczy trwał cztery lata od 1982 do 1986 roku. Warte podkreślenia jest to, że nim rozpoczęły się powyższe badania w tej formie, Wydział Nauk Słowiańskich miał już przez szereg lat dość ścisłe kontakty z polską społecznością w Anglii. Prowadzone były kursy dla nauczycieli polskich szkół sobotnich, organizowane były konferencje dla uczniów, którzy przygotowywali się do zdania egzaminu matural-

* Keith Sword jest kierownikiem Polskiego Programu Badawczego (The Polish Research Project) na Wydziale Nauk Słowiańskich i Środkowoeuropejskich (School of Slavonic and East European Studies) przy Uniwersytecie Londyńskim.

nego z języka polskiego, tak zwanego *A-level*. Współpraca pomiędzy Wydziałem Nauk Słowiańskich a polską społecznością istniała przez wiele lat i zaczęła się prawie od początku istnienia tej uczelni. Roman Dybowski był pierwszym profesorem języka polskiego, potem kontynuował to profesor Pietrkiewicz. Z historyków trzeba wspomnieć profesora Williama Rose, Kanadyjczyka, który wykładał historię Polski w latach czterdziestych, no a teraz prof. Norman Davies ma duże zasługi na polu badania historii polskiej. Ze względu na tak dawną zażyłość ze sprawami polskimi fundatorzy Polskiego Programu Badawczego powierzyli nam rolę badania polskiej emigracji.

M.P.: — Czy inne grupy imigrantów z Europy środkowo-wschodniej prowadzą podobne badania?

K.S.: — Nie słyszałem o takich. Natomiast prowadzone są finansowane przez rząd badania na temat mniejszości etnicznych w W. Brytanii, na przykład na uniwersytecie w Warwick, które koncentrują się raczej na kolorowych mniejszościach etnicznych jak Hindusach, Murzynach afrykańskich czy karaibskich. Kiedy zapytałem kierownika tych badań o materiały dotyczące europejskich grup mniejszościowych przyznał, że ma bardzo mało wiadomości na ten temat. Jedynie prowadzone są pewne badania nad mniejszością ukraińską przez indywidualnych naukowców, ale nie w formie programu badawczego. Słyszałem o pewnej młodej osobie, która na wydziale socjologii uniwersytetu w Manchester prowadzi badania nad młodą generacją Ukraińców w W. Brytanii. Jeszcze jej nie spotkałem i bardzo mnie to interesuje. Głównie ze względu na podobieństwo pomiędzy młodymi Ukraińcami i Polakami w sposobie adaptowania się w życiu brytyjskim. Obie grupy są pochodzenia słowiańskiego. W obu wypadkach potworzyły one tutaj własne instytucje czy związki. Ciekawe byłoby porównanie stopnia przekazywania tradycji narodowych i kulturalnych nowym pokoleniom. Podobną pracę do tej, którą ja robię, to znaczy badanie współczesnej społeczności polskiej w W. Brytanii prowadzi Helena Scott z Edynburga, która jest pół polskiego pochodzenia. Podobne badania w ramach departamentu socjologii uniwersytetu w Manchester prowadzi Bogusia Temple, której ojciec jest Polakiem. Napisała ona pracę doktorską na temat małej grupy Polaków z Rochdale. Jestem oczywiście w kontakcie z tymi dwoma osobami, wymieniamy zebrane materiały i spostrzeżenia.

M.P.: — Czy te badania przeprowadzane są tylko w Wielkiej Brytanii czy również w innych krajach gdzie osiedlili się Polacy?

K.S.: — Ten program zajmuje się tylko Polakami w W. Brytanii

w latach dziewięćdziesiątych. Moje osobiste zainteresowanie jest nieco szersze. Interesuje mnie także los mniejszości polskich na Wschodzie Europy, to jest na Ukrainie, Litwie i Białorusi. Istnieją także duże skupiska polskich imigrantów w Kanadzie, USA czy Australii, których losy należałoby prześledzić, ale uważam, że Polacy w W. Brytanii przedstawiają bardzo specyficzną grupę etniczną będąc w większości powojenną emigracją polityczną, pojałtańską. Dlatego trzeba na tę polską społeczność spojrzeć inaczej niż na Polaków w Ameryce czy gdziekolwiek indziej w Europie. W momencie kiedy rząd polski w Londynie przestał istnieć skończyła się też rola emigracji politycznej. Interesujące będzie obecnie śledzenie czy i jak drugie pokolenie Polaków będzie podtrzymywało i przekazywało swoje tradycje narodowe i kulturalne, swoją polskość, następnemu pokoleniu. Myślę, że pod tym względem Polacy w W. Brytanii nie będą się różnić od Polaków we Francji czy innych krajach.

M.P.: — Dlaczego zainteresował się Pan losem Polaków mieszkających na terenie Ukrainy, Białorusi czy Litwy?

K.S.: — Głównie z powodów historycznych. Kiedy skończyliśmy pierwszy nasz Polski Program Badawczy w 1986 roku zdecydowaliśmy się kontynuować badania różnych dróg, które Polacy przebyli nim osiedlili się tu, w W. Brytanii. Mnie osobiście zainteresowała „wschodnia droga” spowodowana masowymi deportacjami Polaków na tereny byłego Związku Sowieckiego w 1940 roku. Potem starałem się prześledzić losy tych deportowanych Polaków, którzy wyszli ze Związku Sowieckiego z gen. Andersem, gdyż ci ludzie stanowili załazek polskiej społeczności w W. Brytanii. Napisałem szereg artykułów, a także zorganizowałem konferencję w 1988 roku na ten temat, której wynikiem jest moja książka „Okupacja sowiecka polskich ziem wschodnich 1939-1941”. Od tej pory napisałem serię esejów na temat losów Polaków ze wschodnich terenów Polski w latach 1939-1947. To moje zainteresowanie losami Polaków deportowanych do Związku Sowieckiego rozszerzyło się na czasy Rosji carskiej, kiedy to Polacy byli przymusowo zsyłani na Syberię za udział w kolejnych powstaniach narodowych. Ta tradycja deportowania Polaków w głąb Rosji sięga XVIII wieku. Nie mogłem się więc oprzeć pokusie napisania dość długiego wprowadzenia do książki o deportacjach w 1940 roku, a także o kolejnych deportacjach członków Armii Krajowej w latach 1944-1945.

Pierwsza część Polskiego Programu Badawczego trwała od 1982 do 1986 roku i badaliśmy głównie formowanie się polskiej społeczności w W. Brytanii. Od 1986 roku do 1990 roku skoncentrowałem się na badaniach losów Polaków w byłym Związku

Sowieckim. Część związana z deportacjami rozrosła się do ogromnych rozmiarów i właśnie teraz muszę to jakoś usystematyzować i wcisnąć w formę książki, którą obiecało opublikować wydawnictwo Macmillana.

W ostatnim roku wróciliśmy znów do badania polskiej społeczności w W. Brytanii koncentrując się na współczesnych jej problemach, uwzględniając oczywiście tło historyczne jej powstania.

M.P.: — *W jakich głównych skupiskach imigracji polskiej w W. Brytanii prowadzi Pan badania?*

K.S.: — Starałem się od samego początku nie ograniczać się jedynie do południowowschodniej części Anglii ale zbadać także inne ośrodki jak Manchester, Coventry, Slough, Leicester i Edinburgh. Ponadto mam zamiar dotrzeć do mniejszych skupisk Polaków, w małych miastach gdzie ich niewielka ilość nie mogła stworzyć takich ośrodków jak parafia polska, klub czy polska szkoła sobotnia. Tam prawdopodobnie jest najtrudniej utrzymać kontakt z polskim życiem emigracyjnym i tradycjami kulturalnymi. Czasem niewielka ilość Polaków mieszkająca w małych miastach jak Haywards Heath albo Eastbourne nie może sobie pozwolić na założenie własnej parafii polskiej i polski ksiądz z Brighton jeździ tam raz w miesiącu aby odprawić mszę św. po polsku. Nawet w Brighton nie ma polskiej szkoły.

M.P.: — *Czy słyszał Pan o innych zespołach, które prowadzą podobne badania nad polską emigracją i jeśli tak, to czy planuje Pan z nimi współpracę? Myślę tu o zespole opracowującym dzieje polskiego uchodźstwa pod kierunkiem profesora Szczepanika.*

K.S.: — Oczywiście, że słyszałem, że prof. Edward Szczepanik zebrał zespół naukowców, którzy opracowują różne aspekty historii polskiej emigracji od 1945 roku aż do chwili obecnej. Opracowanie to ma być tematyczne raczej niż chronologiczne. Autorami są wyłącznie Polacy. Ja nie współpracuję z tym zespołem, choć wiem o jego istnieniu.

Co do historii polskiej emigracji to specjalnie interesują mnie późne lata czterdzieste, okres demobilizacji po drugiej wojnie światowej. Może dlatego, że miałem okazję ocenić to z dwóch stron. Ze strony polskiej poprzez badanie polskich dokumentów, pamiętników i rozmawiając z ludźmi, którzy byli demobilizowani, a także ze strony angielskiej badając brytyjskie dokumenty przechowywane w Public Record Office i rozmawiając z Anglikami, którzy brali udział w demobilizacji Polaków. Nazbierałem mnóstwo materiałów i jeśli mi czas pozwoli to chciałbym napisać jakąś monografię na ten temat.

M.P.: — *Czy to prawda, że po wojnie zdemobilizowani Polacy byli zachęcani do dalszej emigracji do innych krajów jak Kanada, Australia czy Argentyna?*

K.S.: — Tak to prawda, że Anglikom nie uśmiechało się zaabsorbowanie tak licznej obcej grupy etnicznej. Trzeba pamiętać, że to jest wyspa i sposób myślenia tutejszych ludzi był przez wieki bardzo insularny. Anglia przyjmowała imigrantów w przeszłości, ale nie widzieliśmy aż do drugiej połowy dwudziestego wieku tak dużych fal imigrantów. W latach 1933-1939 przybyło do W. Brytanii około 60.000 Żydów z kontynentu europejskiego, głównie z Niemiec i z Austrii. I to większa część tych imigrantów była tu tylko czasowo nim wyemigrowała do Ameryki Północnej. Przedtem można mówić o imigracji żydowskiej z Europy na przełomie XIX i XX wieku, no i o Irlandczykach. Nie było to jednak takim szokiem kulturalnym dla Brytyjczyków jak przybycie licznej grupy Polaków w dość krótkim okresie czasu, którzy nie wyróżniali się kolorem skóry ale obcymi mundurami i językiem. Choć polscy lotnicy i żołnierze byli stacjonowani w W. Brytanii w różnych wojskowych obozach szkoleniowych już podczas wojny, było to jedynie w kilku określonych miejscowościach podczas gdy większość Brytyjczyków nie spotykała Polaków. Ale w latach 1945-1947, kiedy żołnierze z Drugiego Korpusu, Brygady Maczka i ludność cywilna ze Środkowego Wschodu zaczęli masowo tu napływać i obozy polskie pojawiły się w całym kraju, Polscy „imigranci” stali się widocznymi. Reakcje Brytyjczyków na tę „inwazję” polską były różne, czasem nieprzychylnie, czasem przyjazne. Związki zawodowe bały się polskiej konkurencji na rynku pracy. Dużo zależało od nastawienia lokalnej brytyjskiej społeczności, a także od osobistych kontaktów jakie Polacy nawiązali w danej miejscowości. Stopniowo Brytyjczycy nauczyli się akceptować Polaków na swojej wyspie.

M.P.: — *Czy ktoś Panu pomaga w prowadzeniu badań, czy są to tutejsi Polacy, czy z Polski, historycy czy socjodzy?*

K.S.: — Właściwie ja sam zajmuję się stale tymi badaniami, a od czasu do czasu korzystam ze współpracy innych ludzi. Może najbardziej wciągnięta w te badania w tej chwili jest prof. Topolska z Poznania, która pomagała mi w ciągu ostatnich trzech miesięcy będąc na stypendium z Central and Eastern Liaison Office (CEELO) przeznaczonym dla naukowców ze wschodniej Europy. W zeszłym roku korzystałem ze współpracy z prof. Zubrzyckim z Australii. Nie można nie wspomnieć o współpracy z Instytutem Badań Polonijnych w Krakowie, choć wiązały się z tym zawsze trudności w zdobywaniu funduszy dla

naukowców, którzy by mogli tu przyjechać na badania. Teraz mamy nadzieję zaprosić wkrótce prof. Władysława Miodunkę, który miałby odczyt na temat tradycji polskiej edukacji w ramach cyklu wykładów tak zwanych „Grabowski Lectures”.

M.P.: — *Czy miał Pan jakieś hipotezy badawcze przed rozpoczęciem tej pracy, powiedzmy w kwestii integracji czy asymilacji nowego pokolenia Polaków w tym kraju?*

K.S.: — Właściwie nie, a czym bardziej się zagłębiałem w te badania sprawa ta stawała się coraz bardziej złożona. Do tego stopnia, że w pewnym momencie musiałem przerwać i spojrzeć na fragmenty badań z pewnego dystansu, aby wyłoniła się jakaś synteza. Wydawać by się mogło, że młode pokolenie Polaków może zachować język i tradycje łatwiej jeśli kontaktuje się z innymi Polakami czy należy do różnych polskich organizacji. Tymczasem spotkałem kilku młodych Polaków, którzy mówią biegle po polsku, czasami nawet w pracy zawodowej robią z tego użytek, czują się Polakami, nawet przekazują język i tradycje swoim dzieciom, a nigdy nie uczestniczyli w emigracyjnych organizacjach i mieszkają odizolowani od liczniejszej grupy Polaków. Prawdopodobnie zależy to od wychowania w domu rodzinnym.

M.P.: — *Jakie są Pana plany wydawnicze na najbliższą przyszłość?*

K.S.: — Pracuję obecnie nad książką, którą Norman Davies nazwał „Syberyjską Odyseją”, o losie Polaków deportowanych do Rosji. Będzie to wydane przez dom wydawniczy Macmillana. Mam także inne projekty. Chcę opracować i opublikować serię dokumentów brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych dotyczących Polski międzywojennej. A po zakończeniu badań nad polską imigracją mam zamiar napisać książkę, która podsumowałaby te badania.

M.P.: — *Czy informacje, które dotychczas Pan zdobył różnią się od tego co Pan przewidywał?*

K.S.: — Zasadniczo nie, choć zdarzają się różne niespodzianki. Na przykład, Polacy, już z drugiego pokolenia imigrantów, którzy mówią biegle po polsku, biorą czynny udział w polskim życiu społeczno-kulturalnym, posyłają swoje dzieci do polskiej szkoły, sami natomiast nie czytają w ogóle polskich książek, gazet czy magazynów. To mnie zaskoczyło. Młodzi Polacy tu urodzeni w rodzinach politycznych emigrantów i wychowani na mitach i tradycjach Polski przedwojennej przeżywają niekiedy rozczarowanie. Jadąc do obecnej Polski chcieliby tam usłyszeć

coś w rodzaju potwierdzenia tego czym nasiąkli w swoich rodzinach, chcieliby razem z rówieśnikami w Polsce cieszyć się niepodległością i rozmawiać na ten temat, a tam twierdzą oni, najchętniej dyskutowanym problemem wśród młodych jest jak i gdzie „zrobić pieniądze”.

M.P.: — *Według jakich kryteriów wybierał Pan ludzi, z którymi przeprowadzał Pan wywiady?*

K.S.: — Dosyć trudno mówić o jakichś ustalonych kryteriach. Większość ludzi, z którymi rozmawiałem była mi zareкомен-dowana przez innych. Interesują mnie zarówno ludzie pochodzenia polskiego, którzy odeszli od swojego środowiska i mają niewielki kontakt z życiem polskiej społeczności, jak i ci którzy można nazwać „aktywistami”.

M.P.: — *Jakie wrażenia wyniósł Pan z rozmów z Polakami z drugiego pokolenia imigrantów? Czy mają oni jakąś wspólną ocenę swojej szczególnej sytuacji?*

K.S.: — Niektórzy Polacy z drugiego pokolenia imigrantów, mający około trzydziestu czy czterdziestu lat, nigdy dotąd nie mieli okazji rozmawiać o swoim polskim pochodzeniu i tradycjach, umieszczonych w ich codziennej brytyjskiej egzystencji. Toteż rozmowy te miały czasem charakter bardzo ciekawych zwierzeń i potrafiły przedłużać się do kilku godzin. Powtarzały się niekiedy wypadki kompleksu „polskiego” pozostałego z czasów szkolnych, spowodowanego na przykład posiadaniem nie-angielskiego nazwiska, trudnego do wymówienia, albo rodziców źle mówiących po angielsku. Rzadko były to jednak kompleksy tłumaczone dyskryminacją, raczej był to ciężar dostosowywania się do zawyżonych ambicji akademickich, a potem zawodowych jakie mieli rodzice-imigranci dla swoich dzieci. Pewne znane historyczne wydarzenia anulowały to uczucie kompleksu, kiedy to Polska znalazła się na pierwszych stronach gazet. Wygrany mecz futbolowy z Anglią w 1973 roku, wybranie polskiego papieża, no i wreszcie „Solidarność” i rok 1989. Dzieci polskich imigrantów zaczęły się bardziej czuć Polakami. Po obaleniu komunizmu i odzyskaniu niepodległości część młodych Polaków zaczęła wracać do kraju swych rodziców czasem jako pracownicy przedsiębiorstw angielskich albo nawet zakładając tam własne firmy czy spółki. Ludzie ci są przeważnie z Londynu, nie orientują się czy podobne decyzje podejmują Polacy z innych części Anglii.

M.P.: — *Czy zajmował się Pan także nową, już powojenną emigracją?*

K.S.: — Oczywiście, w moich badaniach jestem również zainteresowany nowoprzybytymi polskimi imigrantami, którzy napływali tu począwszy od roku 1956 aż do okresu stanu wojennego w latach osiemdziesiątych. Niezależnie od wypadków politycznych większa część nowoprzybyłych to emigracja nie polityczna. Według oceny biura imigracyjnego przyjeżdżało tu około 600 Polaków rocznie. 70 % tych imigrantów to kobiety, które wyszły tu za mąż. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wychodziły one często za dużo starszych od siebie tu osiedlonych Polaków. Następna fala kobiet łączyła się z Polakami już tu urodzonymi, no i wreszcie zaczęły wychodzić za mąż za Anglików. Jeśli przyjmiemy, że przeciętny napływ Polaków rocznie był około 600 ludzi i pomnożymy przez około 30 lat to nowa imigracja stała się całkiem liczna. Statystyki jednak nie podają liczby tu narodzonych Polaków, a zresztą nie wiemy ilu z nich czuje się Polakami. Teraz już mamy do czynienia z trzecią generacją.

M.P.: — *Czy napotkał Pan na jakieś trudności w czasie badań?*

K.S.: — Trudnością można nazwać ogromną złożoność całego problemu, która ujawniła się w czasie badań. Różnice klasowe, geograficzne, to jest pochodzenie z różnych dzielnic Polski, a także motywacje osiedlenia się w obcym kraju. Trzeba też z ostrożnością przyjmować opinie rozmówców. W tych moich wędrówkach po miejscowościach gdzie mieszka wielu Polaków, skupionych wokół jakichś klubów czy parafii, mimo woli rozmawiam z ludźmi, którzy starają się przedstawić swoją działalność społeczną jak najlepiej, i tu jest obawa o brak obiektywnej oceny. Przekaz ten może być nieco przesadzony, a przez to wykrzywiony. Postanowiłem zastosować metodę cofnięcia się w czasie, powiedzmy o 15 czy 20 lat, spisania nazwisk dzieci uczęszczających wówczas do jednej klasy którejś z polskich szkół sobotnich i dalej śledzenia rozwoju ich kariery zawodowej czy osobistej. Zbadania: gdzie oni teraz mieszkają, z kim zawarli związki małżeńskie, co robią, czy biorą czynny udział w polskich organizacjach czy stowarzyszeniach. Niestety te szkoły sobotnie nie zawsze przechowywały dokładny rejestr nazwisk uczniów. Ciekawe byłoby zrobić przy tym porównanie pomiędzy dwoma grupami młodych Polaków z południa i z północy Anglii. Na pewno dużo łatwiej jest włączyć się w polskie życie emigracyjne mieszkając w Londynie, bowiem niezależnie czy mieszka się w dzielnicy Ealing czy Balham, można tu łatwiej utrzymać kontakt z centralnymi organizacjami społecznymi i kulturalnymi. Jeśli ktoś mieszka w Oldham albo w Rochdale nie ma tam wiele okazji do rozwijania swojej polskości, nie mówiąc o tym, że większość mieszkających tam ludzi, nie wyłączając Pola-

ków, ma trudności w znalezieniu dobrej pracy. Dlatego też zaobserwowałem tendencję migracji młodych Polaków z północy na południe Anglii. Przy okazji chciałbym dodać, że procent dobrze wykształconych Polaków z drugiego pokolenia, już tu urodzonych, jest znacznie wyższy niż przeciętny w tym kraju. Czy ta ambicja kształcenia dzieci jest typowa dla Polaków, czy w ogóle dla imigrantów, trudno jest powiedzieć. Wiele razy w rozmowach z przedstawicielami wojennej imigracji powtarzał się argument, że straciwszy wszystko w Polsce, przeszedłszy przez Rosję, osiedliwszy się w nowym kraju, jedyną szansę jaką można było dać dzieciom było wykształcenie.

M.P.: — *Czy zauważył Pan różnicę między falami imigrantów od czasów wojny?*

K.S.: — Można rozróżnić kilka odmian polskiej imigracji. Imigracja wojenna, głównie wojskowi i ich rodziny. Po roku 1956 w dalszym ciągu emigracja polityczna, głównie akademicy tacy jak Kołakowski, Brus czy Bauman. W 1968 roku przybyli Polacy pochodzenia żydowskiego, no a w 1981 roku emigracja posolidarnościowa, po stanie wojennym. Wyrażenie „fale imigracji” może się jedynie stosować do imigracji wojennej, w następnych latach imigranci z Polski nie byli tak liczni żeby nazwać to falami. Nie doszedłem jeszcze do etapu porównywania rezultatów badanych przedstawicieli tych grup. Wątpię czy późniejsi polscy imigranci, jak na przykład akademicy Kołakowski czy Brus, uważają siebie za członków polskiej społeczności w Anglii. Wchłonęli oni zostali przez angielskie środowisko akademickie. Podobnie dużo kobiet, które po przyjeździe do Anglii wyszły za mąż za Anglików. Pozostał jedynie sentyment do polskiego pochodzenia.

M.P.: — *Jak Pan ocenia drugie i trzecie pokolenie polskich emigrantów?*

K.S.: — Drugie i trzecie pokolenie doskonale zaadaptowało się w tym kraju, czego zresztą można się było spodziewać, ponieważ zostali oni tutaj wychowani i wykształceni. W wielu wypadkach można stwierdzić, że zaadaptowali się lepiej w środowisku brytyjskim niż w życiu polskiej społeczności. Prawie w każdym skupisku Polaków, które odwiedziłem, słyszałem opowiadania o wielu młodych ludziach, którzy „odeszli” od polskiego środowiska. Wydaje mi się, że istnieje kilka powodów tego „odchodzenia”. Na przykład małżeństwo z kimś spoza własnej grupy etnicznej. Jeśli współmałżonek nie jest pochodzenia polskiego, niezwykle trudno jest utrzymać język i tradycje mniejszości kulturowej, a co dopiero przekazywać je dzieciom.

To z kolei nieuchronnie wiedzie do osłabienia związków z polską społecznością i jej organizacjami. Trzeba też przyznać, że niektórzy młodzi ludzie byli „usuwani na bok”. Polskie organizacje i instytucje były zdominowane przez starsze pokolenie wojennych emigrantów przez tak długi okres, że młodzi nie mieli do nich dostępu. Za mało wysiłku włożono w „zatrzymanie” młodszego elementu jako aktywnych członków polskiej społeczności. Owszem spotyka się czasem trzydziesto- czy czterdziestoletnich „aktywistów”, ale stanowią oni drobną część młodych Polaków tu mieszkających. Większa część wtopiła się w morze brytyjskiego społeczeństwa.

M.P.: — *Czy daje się zauważyć różnicę w przekonaniach politycznych pomiędzy starszą i młodszą generacją Polaków?*

K.S.: — Często młode pokolenie Polaków buntuje się przeciwko rodzicom, którzy nakłaniali ich do brania udziału w uroczystościach patriotycznych, należenia do harcerstwa, czy nawet chodzenia do polskiej szkoły sobotniej. Jedna z młodych Polek skarżyła się, że kiedy jako czterdziestoletnia kobieta wróciła do środowiska polskiego, w którym się wychowała, to wciąż pozostawała „córką swoich rodziców” w oczach starszej generacji. Nikt nie interesował się jej własnymi zawodowymi czy społecznymi osiągnięciami. To pewno jest powodem oddalania się młodych od religijno-narodowych presji narzucanych niekiedy przez ich rodziców. Z drugiej strony ci sami młodzi Polacy stawiają bariery pomiędzy sobą, a Anglikami i opierają się kompletnemu wtopieniu w angielskie społeczeństwo.

M.P.: — *Jak przedstawia się proces integracji Polaków w W. Brytanię?*

K.S.: — W latach czterdziestych nikt prawdopodobnie nie przypuszczał, że pół wieku później będzie istniało około 68 polskich szkół sobotnich, 108 polskich księży aktywnych w polskich parafiach i wiele polskich klubów i stowarzyszeń. Często się słyszy o odchodzeniu od polskiego środowiska młodych ludzi, ale nikt nie bierze pod uwagę, że często, w późniejszym wieku, ci sami ludzie wracają i stają się aktywnymi w życiu polskiej społeczności. Często zdarza się to kiedy mają własne dzieci i chcą im przekazać polskie tradycje. Ludzie w średnim wieku są zaniepokojeni pracą zawodową czy wychowaniem dzieci, ale gdy dzieci opuszczają dom — rodzice nawiązują uśpione stosunki z polskim życiem społecznym czy kulturalnym.

M.P.: — *Czy myśli pan, że parafie są ważnymi ośrodkami kontynuowania polskości?*

K.S.: — Parafie mają wciąż szanse kontynuacji utrzymania polskości, podczas gdy wiele dawniej aktywnych stowarzyszeń powoli się rozwiązuje. Na przykład stowarzyszenia marynarzy czy lotników w Londynie, które nie przyjmują nowych członków, a starzy członkowie powoli wymierają. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów zgodziło się przyjmować nowych członków ale nie wiadomo czy znajdzie się wielu kandydatów.

M.P.: — *Gdzie mogą się spotykać i poznawać młodzi Polacy w W. Brytanii?*

K.S.: — Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich w Wielkiej Brytanii ma kilkuset członków w całym kraju. Organizują oni wspólne wyprawy turystyczne i towarzyskie w czasie weekend'ów. W ten sposób ułatwione jest nawiązywanie kontaktów z innymi młodymi ludźmi polskiego pochodzenia. Zainicjowano ostatnio stowarzyszenie „Polskie Pokolenie Powojenne”, zobaczmy jak to się rozwinie. Niektóre dawne organizacje jak harcerstwo czy Stowarzyszenie Katolickie po prostu się rozszerzają, ale właściwie nie ma wielu miejsc gdzie młodzi Polacy mogliby się spotykać. Zaczynają się rozwijać stowarzyszenia polskie o charakterze zawodowym jak „Thursday Luncheon Club”, stowarzyszenie polskich businessmenów pracujących w City lub mających własne firmy. To chyba ma szanse rozwoju, choć jest to dość nieformalna grupa. Poza tym są możliwości mobilizacji Polaków wokół akcji charytatywnych jak na przykład „Medical Aid for Poland”. Ludzie ci czują, że spełniają jakąś konkretną rolę w niesieniu pomocy Polsce, a jednocześnie spotykają się i nawiązują stosunki towarzyskie. Ciekawe, że wielu młodych Polaków lubi jeździć do Polski i doskonale się tam czują, lepiej niż na zebraniach polskich stowarzyszeń w W. Brytanii.

M.P.: — *Jaka jest różnica w charakterze wykonywanego zawodu pomiędzy imigracją wojenną a następnym pokoleniem tu urodzonym?*

K.S.: — Bardzo duża różnica, ponieważ drugie pokolenie Polaków jest wykształcone tutaj i ma dostęp do wszystkich zawodów. Pierwsze pokolenie imigrantów, którzy osiedlili się tutaj, wywodzące się ze sfery inteligenckiej, nie zawsze mogło kontynuować swoje wyuczone w Polsce zawody, mam na myśli prawników, bankierów, nauczycieli czy oficerów W.P. Wielu z nich podejmowało prace poniżej swego statusu i wykształcenia. Czasem jednak bywało odwrotnie kiedy Polacy pochodzący ze wsi, drobnicy rolnicy, po przyjeździe do W. Brytanii zaczęli pracować w przemyśle, podnosili swe kwalifikacje i tym samym podwyższali swój poziom życia. Drugie pokolenie Polaków, tu urodzo-

ne, jest przeważnie dobrze wykształcone, mówiące doskonale po angielsku, nie mające kompleksu mniejszości, mają oni tak ważną pewność siebie. Z tego drugiego pokolenia, ludzie mniej więcej trzydziesto- czy czterdziestoletni, zajmują często prestiżowe stanowiska w przemyśle, w City, wiele polskich nazwisk można wyłowić wśród naukowców, inżynierów, lekarzy, dziennikarzy, filmowców i nauczycieli szkół średnich i wyższych.

M.P.: — *Jak ocenia Pan stosunek Polaków mieszkających w Anglii do ostatnich zmian politycznych w Polsce?*

K.S.: — Młodzi przyjmują te zmiany pozytywnie, cieszą się, że Polska stała się normalnym wolnym krajem. Starsza generacja cieszy się z upadku komunizmu. Rząd emigracyjny w Londynie, przekazując insygnia władzy prezydenckiej prezydentowi Wałęsie, całkowicie zaakceptował nowe władze w Polsce. Jednocześnie jednak krytykuje się polityczne i ekonomiczne posunięcia kolejnych rządów, opieszałość Mazowieckiego, nierozumienie ważności polskiej polityki zagranicznej w stosunku do Ukrainy, Litwy i Białorusi itp. Prawdopodobnie starsza generacja imigrantów czuje, że nie jest to ta Polska, o którą walczyli. Pewien procent działaczy emigracyjnych, którzy odgrywali znaczną rolę w polskich instytucjach czy w rządzie emigracyjnym, w ciągu dwóch czy trzech lat musiał pogodzić się ze zmianą ich politycznego statusu. W najlepszym razie zeszli do roli konsultantów w sprawach emigracji. Jednak większość Polaków mieszkających w W. Brytanii nie odczuwa tak drastycznie zmiany w swoim stosunku do Polski, gdyż od dawna właściwie czuli się wygodnie w roli przedstawicieli Polonii na Zachodzie, jeździli sami do Polski i wysyłali tam swoje dzieci. Choć różnie to było przyjmowane przez ludzi zaangażowanych w emigracyjnych organizacjach. W *Kulturze* z 1962 roku ukazał się list z zażaleniem na zwolnienie ze stanowisk dwóch instruktorów harcerskich, którzy pojechali do Polski odwiedzić rodziny. Zdyskwalifikowało to ich w pełnieniu obowiązków wychowawców młodzieży emigracyjnej.

M.P.: — *Skąd zdobywa Pan fundusze na te badania?*

K.S.: — Dwa główne źródła to Fundusz M.B. Grabowskiego i Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii. Fundusze te są przeznaczone na trzyletnie badania od stycznia 1992 do grudnia 1994 roku. Co będzie dalej trudno w tej chwili przewidzieć. Mamy już mnóstwo materiałów archiwalnych z różnych dziedzin. Mamy też wiele kaset z nagraniem wywiadami z ważnymi przedstawicielami rządu emigracyjnego, na przykład z prezydentem Raczyńskim, a także z przedstawicielami brytyjskich dyplomatów, którzy byli zaangażowani w sprawy polskie w la-

tach czterdziestych. Ja obecnie dopełniam te badania nad losami drugiego pokolenia imigrantów. Mam nadzieję, że wszystkie te materiały będą mogły posłużyć do dalszych badań nad emigracją prowadzonych przez historyków, socjologów, lingwistów i specjalistów od edukacji z Polski. Wielu z nich nas tu odwiedzało i korzystało z tych źródeł. Prócz tego nasze materiały wykorzystywane są przez studentów brytyjskich, którzy piszą prace na temat polskiej społeczności w W. Brytanii. Mam nadzieję, że do roku 1994 powiększy się ilość materiałów źródłowych, które na pewno przydadzą się przyszłym badaczom polskiej imigracji w W. Brytanii.

M.P.: — *Jak podsumowałby Pan swoje osiągnięcia w prowadzeniu tych badań?*

K.S.: — Prócz zgromadzenia dość dużej ilości materiałów, które na pewno przydadzą się do dalszych badań, mam uczucie osiągnięcia pewnego poziomu ekspertyzy i wiedzy w sprawach życia polskich imigrantów w W. Brytanii. Wieloletnie zaangażowanie się w sprawy polskie pozwoliło mi nawiązać wiele ciekawych kontaktów, które staram się nadal utrzymywać.

Rozmawiała Maria PODHORSKA

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

AUKCJA OBRAZÓW POLSKICH MALARZY W NOWYM JORKU

W sumie prawie 350 lot. Oto nazwiska artystów, których prace będą licytowane: Anuszkiewicz, R. (2); Breitenwald, R. (2); Brzozowski T.; Bogdański, T.; Charyton, J. (2); Cybis, B.; Czyżewski, T.; Eibisch, E.; Epstein, H.; Herb, E.; Fałat, J. (4); Fedkowicz, J.; Gieryski, A.; Gieryski, M. (2); Gnatowski, J.; Gottlieb, H.; Grottger, A.; Hayden, H.; Hunt, H.T.; Jasiński, Z.; Kisling, M.; Kossak, Jul. (6); Kossak, W. (2); Kossak, K. (8); Kostrzewski, F.; Kowalczewski, P.; Kulczycki, J.; Lebenstein, J.; Makowski, T.; Malczewski, R. (5); Masłowski, S. (2); Muter, M.; Nieśiołowski, T.; Nikifor, (14); Ociepka, T.; Orłowski, A.; Piasecki, L.; Pikielny, R.; Podsiadecki, K.; Pankiewicz, J. (2); Przebindowski, Z.; Nacht Samborski, A.; Sichulski, K.; Starowiejski, F.; Stachiewicz, P.; Stanko, M. (3); Stanisławski, M. (7); Styka, A. (2); Styka, J.; Szczesny-Kowalski, F.; Taranczewski, W. (2); Waliszewski, Z.; Wierusz-Kowalski, A. (4); Wieczorek, E. (3); Wodzinowski, W.; Wygrzywalowski, F. (2); Wyczółkowski, L.; Żuławski, M. (2); Szanczenbach, J. (2); Berezowska Maja (3).

Wystawa i licytacja odbędą się w lokalu Polsko-Słowiańskiego Centrum, 176 Java street, Greenpoint, Brooklyn, N.Y. 11222 w sobotę 30-go października 1993 r. Wystawa od godz. 11 rano do 4 po południu. Aukcja tego samego dnia od godz. 4 po południu.

Ilustrowany (prawie 150 ilustracji) katalog, w cenie dol. US. 15.- łącznie z przesyłką lotniczą, prosimy zamawiać w:

**Pol-Art Gallery,
216 W. 252 St. Bronx, N.Y. 10471, USA.**

W katalogu instrukcja licytacji zaocznej.

Kraj

Z ukosa

Rozmowa z polskim biznesmenem. Będzie on głosował na Unię lub Liberalów, to oczywiste. Nie kocha Prezydenta, ale uważa, go za mniejsze zło. Marzy o stabilizacji politycznej, o trwałych zasadach i prawach. Jest w sumie optymistą, ale jako, że jeździ sporo po kraju, przeraża go polska prowincja, jak bardzo ona odstaje od miast, jak jest bezradna w nowej sytuacji, jak zaściankowa, ile w niej frustracji. Sam jest już niby w pełni profesjonalny, ale czasami coś mu wystaje, czasami o coś się potknie, a wtedy tak jego maniere i profesjonalność ujawniają rysy i pęknięcia. Wszystko ma prawie zapięte na ostatni guzik, ale potem okazuje się, że jednego guzika nie ma, albo zapięty krzywo. W zasadzie nie spóźnia się, ale nie wszystko robi na czas. Posiada ograniczone zainteresowania kulturalne, nie ma na to czasu, wie o tym, ale twierdzi, że jego dzieci będą ten czas miały. Potrafi też dostrzec, że pigułki komercyjne, w których dociera do nas masowa kultura Zachodu mogą być strychniną dla naszej zbiorowej duszy, a w taką duszę jest skłonny uwierzyć, lecz nie pójdzie za nią na tortury. Propozycje nacjonalistów i kleryków przenikają go dreszczem niechęci. Ma poczucie, że nie jest sam, ale, że stanowczo za mało jest ludzi, którzy myślą podobnie jak on.

Minęły już cztery lata wolności, a wśród różnych zaskożeń na czołowym miejscu postawiłbym jednak smutny fakt, że górą jest suma małych egoizmów, a dobro wspólne leży zupełnie i szczelnie nimi przysypane. Ilekroć próbowałem coś załatwić, co nie było napędzane czymś prywatnym interesem, choćby nieść mogło wiele dla ogółu, to nic z tego nie

wychodziło. Po takich doświadczeniach z przerażeniem czuję, że nabywam już odruch warunkowy, by nie narażać się na dalsze niepowodzenia. Niestety łatwo jest zebrać dowody, że moje doświadczenie jest powszechne.

Pytany o największe rozczarowanie Andrzej Celiński, wiceprzewodniczący UD, odpowiada, że tym rozczarowaniem jest „polityka, to że ludzie mają wszystko gdzieś. Widzę jak nadciągają kolejne kohorty różnych trybunów ludowych, którzy krzyczą, że są przeciwko polityce, politykom, bo ci są głupi i skorumpowani. I na moich oczach stają się dokładnie tacy sami”.

Władek Frasnikiuk, który tak sprawdził się zarówno w podziemiu jak i dzisiaj, mówi: „Nigdy w więzieniu nie byłem taki bezradny, jak teraz, kiedy patrzę na to, co wyprawia się w naszej polityce. Mam poczucie bezsilności i zmarnowania czasu”.

Znajomy biznesmen szacuje, że w Polsce jest od 10 % do 20 % supercwaniaków, a w tym całkiem spora grupa przestępców. Przyznaje, że to okropne, że właśnie ci ludzie mają zbudować w kraju kapitalizm, ale nie widzi innego wyjścia. Ten fakt, oraz nieudolność tworzenia praw oraz ich egzekwowania, gwarantuje, że jak kiedyś, tak i teraz żyją dwie gospodarki, jedna na zewnątrz, druga w podziemiu. Trzeba przyznać, że jest w Polsce wielka krzątanina, wielkie przesuwanie, wymienianie, produkowanie małych rzeczy, szeleszczenie banknotami, a zarazem kiepsko z produkcją bardziej wyrafinowanych towarów. Lecz kto wie, czy cała ta szara strefa nie buduje dzisiaj fundamentu pod prawdziwy przemysł. Ostatnie statystyki są wstrząsające. Obecne półrocze ma produkcję większą niż „to samo” w roku 1992 o 9,4 %. Jest to najwyższy przyrost w Europie. Oczywiście, dno było tak nisko, że łatwo się od niego odbić, a groźba wprowadzenia nowego podatku VAT niezwykle zdynamizowała zakupy. Ta gospodarka jest niemal w całości zanurzona w strefie szarej, pełna zagadek i niewiadomych. Wydaje się, że jeszcze wszystko może się zdarzyć, a sami ludzie w Polsce nie wierzą statystykom i najłatwiej usłyszeć, że to się załame i będzie wielka katastrofa. Ekonomisci mają problem, jak teraz tę całą szarą strefę wyprowadzić na powierzchnię. Wystarczy popatrzeć na wystawność wielu sklepów, straszny stan chodnika, bruku i jezdni tuż obok, by pojąć problem. Ta sama nierównomierność dotyczy pewnych grup społecznych, całych regionów kraju i jest groźna. Fundament na którym stoi Polska jest podmywany i pracowicie wybierany pod własny interes, a państwo marnieje w oczach.

W miejscowości Praszka podburzany przez „Samoobronę” tłum bezrobotnych wyciągnął z urzędu gminy burmistrza i począł go obwozić wokół rynku na taczce. Bardzo podobnie było w Świnoujściu tylko, że tam ofiarą gniewu ludu padł sam prezydent miasta. Zamek w Rozalinie został zajęty siłą przez zbrojnych wynajętych przez niewiastę, która uważa się za spadkobierczynię posiadłości. Przypominają się zajazdy szlacheckie. Ja to właściwie wszystko rozumiem, nieustannie odkrywam w sobie jakiś gigantyczny brak dyscypliny, przekorę wobec każdej władzy, pogardę dla siebie gdy się jej jednak posłucham.

Kiedy się myśli o naszym Prezydencie, o jego belweder-skim dziecku, o BBWR-ze, nie da się amputować w tym obrazie drugiej osoby w Belwederze, byłego kierowcy Wałęsy, czyli Mieczysława Wachowskiego.

Oto kolejny szef telewizyjnej redakcji programów informacyjnych, najbardziej czułego miejsca telewizji, wylatuje z hukiem, trzaskając drzwiami. Czasami zatrząskują je sami, czasami ktoś to robi za nich. Wszyscy opuszczają gmach telewizji ze zjeżonym włosom, chociaż niektórzy jeżyli wcześniej włos nieszczej ekipie „Wiadomości”. Karol Małcużyński, wieloletni współpracownik BBC, do niedawna szef programów informacyjnych, opisał swoje przygody, ukazując nieprawdopodobną sieć politycznych macek i nacisków, które oplatają telewizję. Jego relacja ze spotkania w Belwederze, gdzie poszedł ze swym przełożonym niejakim Gugałą, zupełnie obezwładnia. Mieli nadzieję, że spotkają się tam z Prezydentem, ale spotkali się tylko z rzecznikiem prasowym Drzycimskim i ministrem prezydenckiej kancelarii M. Wachowskim. Dziennikarz krytycznie mówił o używaniu państwowej telewizji do reklamowania głowy państwa, o formach tej autoreklamy. To się nie spodobało gospodarzom, którzy wcześniej opowiadali, jakich oficerów wymienią w wojsku, kogo na kogo poszczują w polityce. Małcużyński wspomina, „najwyraźniej chcieli stworzyć wrażenie, że są wszechwładni”. Z miejsca zaproponowali usunięcie z pracy kilku zbyt niezależnych dziennikarzy. Zdziwiony, Małcużyński zapytał.

„— Co was, dwóch tak ważnych facetów, obchodzą tak drobne sprawy?”

Rozmowa urwała się. Po chwili milczenia Gugała zaczął wygłaszać jakiś państwotwórczy tekst. Wachowski mu przerwał.

— Chłopaki, chcecie żyć? — zapytał. Gugała zamilkł i wpatrywał się w ścianę. Wachowski spojrzał na mnie.

— My tym rządźmy — wyjaśnił. — Karol chcesz żyć, funkcjonować?”

Stary komunista skarży się na emeryturę, niższą niż pensja sprzedawczyni w sklepie gdzie kupuje wodę mineralną, na którą go ledwie stać. Wielkie mieszkanie pełne jest jednak antyków i obrazów, ale nigdzie nie wisi nawet cień wyrzutów sumienia za własną przeszłość. Uważa, że ta niska emerytura jest produktem spisku jego dawnych kolegów komunistów, którzy najpierw odsunęli go od żłobu a teraz po tylu latach obcięli skrzydła emeryturze. Pytany o sytuację, od razu kupuje rolę — siebie, jako lekarza polskiego kapitalizmu — i nie negując jedynej drogi rynkowej ekonomii, krytykuje błędy i nowe grzechy. Właściwie nie spotykam ludzi, którzy są współwinni za upadek Polski, czy to są pisarze niegdyś pakujący z diabłem i dający reżimowi intelektualną legitymację, czy dawni aparatczycy — którzy dzisiaj mają wyrzuty sumienia, przynajmniej w postaci pewnej skromności. Nie chodzi mi o bicie się w piersi, ale choćby o pewną ostrożność wyrażania sądów skazujących i potępiania dzisiaj innych, za rzeczy, które nadal są drobinami piasku w porównaniu z górami ich grzechów.

Powinieneś szanować swoje nazwisko — poucza mnie M., on twórca substancji, która była wstrzykiwana przez lata w mózgi młodzieży, uważa, że jego nazwisko jest nieskazitelne, a moje jest zagrożone.

Ludzkie sumienie zbudowane jest z materiału, który gdyby dało się go wysublimować, miałby wszystkie zalety naraz stali, gumy i plastiku.

Dawny dygnitarz twierdzi, że go już nawet nie stać na wodę mineralną. A ja bogaty kupuję wodę mineralną w pierwszym lepszym sklepie i pierwszą z brzegu. W domu leję ją do szklanki, a potem między łykami czytam na etykietce, że jest z życiodajnych źródeł galicyjskich, i dalej, że jest kosher, a pod tym jest podpisany naczelny rabin RP niejaki Joskowicz, ważność koszerności tej wody opiewa do grudnia roku 94. Rozmnożenie się asortymentu w naszych sklepach jest czasami szokujące.

Ostatni rok sypnął wspomnieniami z epoki, która nieuchronnie odchodzi, a trzyma się naszego czasu tylko na siwym włosku nielicznych, którzy wkrótce odejdą. Moje poko-

lenie, tamtych lat nie pamięta, a tylko wielokrotnie słuchało wspomnień, jak było kolorowo, jak się dobrze jadło, barwnie kłócono. Ten czas zagrabiony brutalnie przez wojnę, tak nagle utracony, a potem zohydżany przez komunistyczną propagandę, musiał być idealizowany. Z przekory, z niewiedzy, z rozpaczy i mgły. A teraz dopiero odkrywamy zdumieni, że to były okropne gorzkie lata. Że Polska była biedna, zaniedbana, skłócona, bardzo kołtuńska, jak zresztą cała ówczesna Europa. Ta Europa zmieniła się, my zresztą też, ale komunizm sporo pogruchotał, nie mniej zmumifikował. Czytając dzienniki Anny Iwaszkiewicz, odnalazłem pod rokiem 1926 taki oto fragment, napisany przecież przez osobę wierzącą, a który jakoś niepokojąco dotyka współczesności:

„W każdym razie wszystko jest lepsze niż komunizm w tej formie materialistycznej, która teraz istnieje, albo z drugiej strony od potwornej strupieszkości nacjonalizmu, który obłudnie przyczepia sobie hasła chrześcijańskie, które wypacza w bezwstydnym sposób. To właśnie dla mnie jest najwstrętniejsze, że używa się słów religia, etyka, katolicyzm, do pokrycia najwulgarniejszych osobistych celów i zysków, że mówi się o chrześcijaństwie, a myśli o zabezpieczeniu własnych majątków i panowie, którzy w swoim życiu wykazali, że są zwykłymi sobkami nie krępującymi się niczym, gdy chodzi o zadowolenie własnych pragnień i nie uznającymi naprawdę żadnej 'moralności', występują z hasłami w rodzaju 'rodzina', 'nierozzerwalność małżeństwa'. O tym mają prawo mówić tylko ci, którzy wiedzą, że pewne rzeczy naprawdę są święte”.

To oczywiście nie odnosi się do naszego Prymasa, który wierzę, że wierzy, że pewne rzeczy są święte. Zaczynam się powtarzać, ale robię to w rytm powracającej fali. Zdarzyło mi się już pochyłać nad nierozwiązywalnym problemem seksu i kościoła. Tu nawet Leszek Kołakowski by nie znalazł salomonowego rozwiązania. A słowa Prymasa przytaczam, bo są one niestety miarą nienadążania polskiego kościoła za nieuchronnymi zmianami naszej cywilizacji:

„Skutki propagandy erotycznej są nieobliczalne, ponieważ erotyzm dzisiejszy stanowi część kultury śmierci. Tak jak dymy i ścieki rzucane bezpośrednio w przyrodę powodują zatrucie środowiska, podobnie erotyzm podrzucany oczom i uszom młodego człowieka, wywołuje zamglenie psychiczne”.

Prymas gniewał się na szkolny podręcznik przygotowania do życia w rodzinie, że uczy technik współżycia seksualnego. I potępił pośrednio pederastię, oraz tolerancję dla zbrodni.

Jak wiadomo tolerancję wobec słabości do tej samej płci wpisano niedawno do naszego prawodawstwa, więc Prymas się gniewa na rząd. A były już podręczniki wychowania seksualnego, które jako zbyt śmiałe poszły na przemiał, ten potępiany jest zlagodzony, ale Prymasowi to za mało. Tam trzeba mówić o miłości i kwiatach, a nie jak się zakłada prezerwatywę. Jako, że wszystko dzieje się na progu gigantycznej epidemii AIDS, to postawa episkopatu w tej kwestii jest przerażająca. Młodzieżowe Stowarzyszenie „Sami Sobie”, które zorganizowały dziewczęta ze szkół pielęgniarskich i położniczych, straciło nagle wsparcie rządu i możliwość otrzymywania dotacji. Wszystko było dobrze póki zajmowały się tylko alkoholikami, palaczami i narkomanami, kiedy zajęły się antykoncepcją i ochroną przed AIDS, zaprotestowały liczne organizacje katolickie.

Dramatyczny fakt rozejścia się erotyzmu z prokreacją jest dla polskiego Kościoła czymś nie do przelknięcia. Ale jest też prawo. I ta pokusa by dla dobra zbawienia jednak je zastosować. Jak zwykle ważyły słowa, które na ten temat mówił Leszek Kołakowski na warszawskim seminarium.

„Napięcie pomiędzy państwem liberalnym a Kościołem jest nieuchronne. Nie dlatego, że nie można ułożyć spójnej logicznie doktryny, która by te narosłe historyczne przeciwieństwa skuwała, ale dlatego, że pokusa korzystania z przymusu państwa jest bardzo trudna do usunięcia”.

W dalszej części swego wystąpienia Kołakowski wypowiada słowa, które, myślę, może zaakceptować w Polsce większość wierzących i niewierzących.

„Jestem po stronie tych, którzy nie chcą Kościoła rządzącego i wobec tego nieuchronnie podatnego na korupcję. którzy nie chcą Kościoła, co chce zastraszyć, grozić i przymuszać. Ale którzy chcą Kościoła, który uczy ludzi jak pojednać się z Bogiem, jak odnosić się do bliźnich, jak pogodzić się z nieuchronnymi porażkami żywymi, nieszczęściami i przeciwnościami życia, których każdy jest ofiarą”.

I chociaż filozof nie lubi nacisków Kościoła na polskie prawodawstwo „tym bardziej kiedy są one wysłowione w sposób mglisty, mogą znaczyć różne rzeczy...”, ale nie dramatyzuje w Polsce niebezpieczeństw. I tu, mimo wszystko, chyba się z nim zgodzimy.

Ale nie zgodzi się z nim Prymas, i nazwie go zapewne

„ujadającym kundelkiem”, jak wcześniej określał krytykujących Kościół. A jak ocenić wystąpienie Prymasa z potępieniem Rushdiego, którego książkę nazwał „jaskrawym nagrywaniem się z uczuć religijnych muzułmanów”. Rozumiem, że można tak sądzić, ale jak ten fakt dzisiaj odłączyć od kary śmierci za książkę i jawnej zachęty ze strony muzułmańskich kapłanów do skrytobójczego mordu. Prymasowi udało się to odłączyć w swoim niefortunnym orędziu.

Kościół jest dzisiaj w Polsce triumfujący, ale ma poczucie goryczy tego triumfu, bo tyle rzeczy nie da się skontrolować, bo podstępnie pełnie erotyzm i obłapuje naród, ale nie tylko on. Dawny spowiednik Wałęsy, prałat Jankowski, został skarcony przez swojego biskupa za poparcie z ambony BBWRu. W następnym kazaniu nie poparł nikogo, tylko mówił, że teraz takie czasy, że „nie wiadomo kto jest wrogiem Kościoła i narodu”. Kto zaś jest wrogiem Kościoła, jest wrogiem narodu, to oczywiste.

Powstają książki, gdzie autorzy na dwustu stronach i więcej analizują sytuację współczesnej Polski wedle spiskowego klucza. Różowi wspólnie z postkomunistami opletli kraj podstępnymi mackami, opanowali system bankowy, robią fortuny, blokują nowe prawa. I kto by pomyślał, że w formie esencjonalnej wyrazi ten sposób myślenia pisarz Jarosław M. Rymkiewicz, autor wielu ważnych książek, nieco może zbyt pokręconych stylistycznie w środku, ale mozołnie i uczciwie penetrujących polski los. Jego akces do obrońców Polski przed spiskiem różowo-lewicowo-antynarodowym jest jednak zaskoczeniem, jest też znakiem, że problem nie zasługuje jedynie na wzruszenie ramionami. Pisarz mówi jak został kiedyś oszukany przez opozycję, z którą się związał, gdzie drukował poza cenzurą. Ludzi tych nazywa różowymi, ale to przecież nie on wymyślił to określenie. Jego twórcy są politykami. Wyjaśnia, „tym, którzy rewidowali komunizm, towarzyszyła zawsze myśl, że Polacy są groźnym narodem ciemnych ksenofobicznych chłopów. Czyli takim, który trzeba przerobić na jakiś inny naród: najlepiej światły, liberalny i europejski”. Ludzie ci, wedle niego chcą dzisiaj stworzyć „zreformowane państwo komunistyczne. Takie w którym będzie wolny rynek, a komunizm będzie miał ludzką twarz”. Wedle Rymkiewicza inteligencja Polska w swojej większości, często nieświadomie, sprzyja tym zamiarom.

Tak pierwszy jak i drugi sąd, mają w sobie skrawki prawdy, ale nie wydaje mi się ona taka przerażająca, jak rów-

niez nie usprawiedliwia wiary w spisek. Owszem, niektórzy polscy politycy i intelektualiści sądzą, że niektórzy Polacy są ciemni i ksenofobiczni, zależy im, aby ich głos nie był w kraju dominujący. Politycy ci mają pewną wizję Polski bliską wizji państwa demokratycznego wedle wzorów zachodnich demokracji, i próbują tę wizję wcielać w życie. Zaś co do powielania wzorców z dawnego systemu? Ma to rzeczywiście miejsce na groźną skalę, w różnych formach prywaty, mafijności, w wielu odruchach. Kto wie czy cała nasza wolność nie mości się nieświadomie w postkomunistycznym odwłoku, rozpierając, dziurawiąc go, lecz często ulegając jego ograniczeniom. Ale folgowania tej mimowolnej słabości nie da się przypisać jednej tylko grupie, należy to przypisać nam wszystkim.

Kiedy Rymkiewicz mówi, że cała polska społeczność przesiąkła obyczajowością szlachecką, od inteligenta do przekupki i chłopów, to ja się z nim głęboko zgadzam. Natomiast widzę jak bardzo to jest jednak niepewne, jak się szybko zmienia, zgadzam się, nie zawsze na lepsze, a przede wszystkim nie widzę tu jakiegoś zasadniczego sporu z tym co on z takim uproszczeniem i niechęcią nazywa Europą. Ta antyeuropejskość zarazem sugeruje, że poza Europą, jest i był jakiś moralny raj. Pisarz oświadcza, „wszystkie morderstwa tego wieku, wszystkie poniżenia, to jest dziedzictwo europejskiego rozumu”. Jaka jest na to rada? Jedynie lekarstwo to, „braterstwo, które wynika z naszej wspólnej wiary. Bo to ona była naszym jedynym ratunkiem w tym strasznym wieku”.

Darujmy sobie dalsze komentarze, czy wypominanie pisarzowi jego własnych kiedyś upadków, w tym obszarze świata to za łatwe, przeszłością da się załatwić prawie każdego kto przeżył pół wieku. Powstrzymajmy się też przed refleksją czym to wszystko pachnie, z pewnością wbrew intencjom pisarza. Bo Rymkiewicz wielokrotnie swoją postawą udowadniał, że jest daleki od ksenofobii. Dla mnie ten głos, i nie tylko ten, to znak wielkiego zagubienia i rozpacz polskiego intelektualisty. Kto z nas nie dzieli jej w tej czy innej formie? Więc próbujmy rozmawiać zamiast rzucać w siebie kamieniem, mówię, a przecież wiem, że on moje słowa uzna za kamień.

Chodząc po Warszawie, delektuję się kawiarniami, co tak wyległy na chodniki, oraz cudownym rozmnożeniem się restauracji. Daleko nam jednak do Warszawy przedwojennej.

Miarą problemu jest gwałtowne sprowadzanie z Zachodu kucharzy. Tak, trwa do Polski import zagranicznych kucharzy, co jest znakiem jak głęboki jest upadek polskiej kuchni, niegdyś słynnej w Europie. I że nareszcie otwarto drogę eksportu fachowców, nie tylko z Polski na Zachód, że ruch jest już dwukierunkowy.

B. który pamięta przedwojenną Warszawę lepiej niż ja pamiętam to miasto sprzed stanu wojennego, opowiada z niebywałymi szczegółami, gdzie, co, za ile i w jakim towarzystwie można było zjeść.

Życie nocne było gęste i dreptało do rana. Dzisiejsza Warszawa o zmroku zupełnie pustoszeje, a po 22 po prostu strach wychodzić, żeby nie stracić złotych, pieniędzy lub życia. W codziennych opowieściach o przestępstwach jest sporo hysterii i sporo niestety prawdy. Jest pewną przesadą gdy się mówi, że podróż samochodem z Warszawy do Poznania niesie z sobą śmiertelne niebezpieczeństwo, najgorzej jak się człowiek zatrzyma, wtedy już po nim. Wszystkie nasze burze polityczne i awantury spływają po mieszkańcach Warszawy jak woda po kacze, za to ludzie przejmują się potylicami staruszek. Każdy nowy dzień przynosi wiadomość, że nowa leciwa niewiasta została uderzona w tył głowy i straciła torebkę, przytomność lub życie. Coraz więcej jest osób, które znały jakąś ofiarę, takie osoby cieszą się dużym wzięciem towarzyskim. Ale to wszystko pewnie dzieło jakiegoś szaleńca. Natomiast nie szalona jest mafia rosyjska, która wraz z włoską utworzyć miała wspólną sieć właśnie na terenie Polski, która staje się polem kradzieży samochodów lub miejscem ich tranzytu. Jak tak dalej pójdzie to na wschodzie mafię komunistów zastąpi mafia gangsterów, a rząd Jelcyna przejdzie do historii słabości jak rząd Kiereńskiego.

W Krakowie, tak pobudzonym do życia przez nowy czas, tak kolorowo rozkawiarnionym, spotykam późną nocą na chodniku znanego artystę, rysownika ironicznego M., który sztydzi nie zostawiając suchej nitki na naszych słabościach i nieszczęściach. A sprawia teraz sam wrażenie zaskakująco zafrasowanego. Podajemy sobie dłonie.

— Wie Pan — mówi — jestem nie w humorze.

Nie ukrywam, że wstrzymałem oddech, bo poczułem, że oto stoi przede mną jakiś wielki paradoks. Słynny humorysta zasmucił się jeszcze głębiej i rzecz wyjaśnił.

— Przed chwilą odkryłem, że psiakrew ukradli mi samo-

chód. Stał tu, a nie ma. Nigdy jeszcze nie byłem w takiej sytuacji i nie wiem jak się zachować.

— Niech pan to narysuj — poradziłem, ale ta rada nie spotkała się ze zrozumieniem. Bo nawet największy kpiarz ma trudność by kpić ze swoich nieszczęść, nawet gdy cudze już nie stawiają żadnego oporu.

Polskie miasta mimo zmiany są zaniedbane jakoś podobnie jak ludzie tego kraju. Oglądając miasta i oblicza miejsc, które nie doświadczały od stuleci wojny, od razu wychwyci się różnicę. Historia mieszka w twarzach ludzi a tragedie przeszłości tworzą pola napięcia, które się czuje. Rozgniewione przez historię, wyłobione przez rzeki wódki twarze rosyjskich chłopów, wyszczerbiona gęba polskiej prowincji. A tak blisko, na północy, nieskazitelne twarze Szwedów, nieco dalej oblicza Finów już nie tak zniszczone jak rosyjskie, ale mniej gładkie niż szwedzkie, bo jednak w kilku miejscach przekreślone bliźną lat braku wolności, głodu i wielkiej wojny zimowej. Szwedzkie domy są pełne pamiątek przeszłości, które łagodnie przechodzą z pokolenia na pokolenie, i zarazem powszechny jest w tym kraju brak szacunku dla przeszłości, bo nie bojąc straciła ona wagę. Polskie mieszkania wyjedzone od wewnątrz przez ogień i grabież, za to pełne tradycji, często dalekiej od prawdy, czy raczej odkształconej w niebywałe formy przez ciśnienie zdarzeń i gorliwość pamięci. To zniszczenie infrastruktury ludzkiej, przepraszam za słowo z języka techniki, jest dzisiaj największym problemem młodych demokracji wschodnich Europy. Uszkodzano tam nie tylko ciało, ale też duszę. Nie doceniamy w Polsce głębi zgnojenia naszej wsi, naszego plebsu, tak było w całej Europie, ale trwało nie tak długo jak u nas. Zdumienie przybyszy z XIX-wiecznej Europy wyglądem naszej prowincji, zezwierzęceniem chłopów, stanem bruków miejskich, jest tego dowodem. A co zdążyło się zagoić było od nowa rozdrapywane. Każda rodzina ma tu swoje okno wypalone przez ogień, ścianę przy której ktoś poległ.

Za łatwo sam krytykuję to, co jest skaleczeniem, ofiarą, a nie sprawcą.

Polska jest dzisiaj w drodze, trwa wielka przeprowadzka ze starego w nowe. Pewne rejony i dziedziny nadal tkwią po uszy w starym, kiedy inne są już niemal w nowym. Znajomi biznesmeni, a i moje własne doświadczenie, mówią jak wiele nauczono się w ciągu tych kilku lat, o ile staranniej instytucje

i firmy obsługują faksy, że jednak nauczono się gdzieśgdzie słowności i punktualności. Ale tak nowe jak i stare, jest zupełnie pozbawione stabilizacji i pewności siebie. Ta krańcowość dwóch stanów, jest przyczyną dlaczego tak dramatycznie różne są opinie i sądy o Polsce przybyszy, szczególnie naszych emigrantów. Istnieje przesąd, że którą nogą się wstanie... tak oto którą nogą się gdzie trafi, od tego zależą wrażenia. Liczni są zachwyceni zmianą, liczni zatrwożeni.

I pomyśleć, że takie rozdwojenie ludzie w kraju noszą w sobie na co dzień.

Zbadano ponownie naszą publiczną opinię, ale tym razem wyjątkowo perfidnie, bo zadano Polakom pytanie — jak oceniają działalność Sejmu i Senatu w lipcu i sierpniu? I oto 60 % obywateli ganiło, ewentualnie chwaliło nasz parlament za działalność w tych miesiącach. Czyli 60 % Polaków nie zauważyło, że został on wcześniej rozwiązany.

Wcale nie uważam, że jest to dowód na brak dojrzałości naszego społeczeństwa, czy na jego obojętność, albo broń Boże głupotę. Podobny wynik w podobnej sytuacji byłby i gdzie indziej. To tylko przypomnienie, o czym nieustannie zapominamy, że większość ludzi żyje w nierzeczywistości.

Fryzjer po druzgoczącej ocenie naszej polityki zagranicznej, a był szczególnie do tej krytyki uprawniony, bo tego dnia strzygł naszego ministra spraw zagranicznych, i dalej po zmiażdżeniu całej polskiej klasy politycznej, gdy już ostatecznie rozgromił polskich ekonomistów i wszystkie koncepcje gospodarcze, kiedy szczęki jego nożyczek szczękały niepokojąco blisko moich uszu, nagle złagodniał, przeszedł na potylicę oraz metafizykę, a wtedy oświadczył — „bo u nas wszyscy są równi, a ziemia i tak każdego serdecznie przyjmie i jednak rozłoży”. Po czym omiół mnie miotelką, czule jakby rzeczywiście wierzył, że jestem coś warty.

No i rządz tu takimi fryzjerami.

Polacy, co też wynika z badań ankietowych, nie lubią polskich partii politycznych, uważają jednak, że są one potrzebne. Jesteśmy w tej niechęci na pierwszym miejscu z krajów postkomunistycznych. My, co tak ukochali wolność?! Bo Polacy kochają demokrację, gdy jej nie ma. Kiedy ona już jest, gniewają się na jej niedogodności. Ta sprzeczność jest głęboko zakorzeniona w naszej świadomości. Jednym z błędów oceny ludzi i społeczeństw jest wiara wyniesiona z nauk

ścisłych, że światopogląd układa się we wzór matematyczny lub jest zapisem reakcji chemicznej. Można być za demokracją i zarazem pragnąć dyktatury. Dla ludzi z tej części Europy — to zapewne spuścizna szlachecka — różne formy wolności i zaspokajanie swoich postaw godnościowych, są po prostu czymś niezbędnym do życia. Taka wolność, która musi zaspokajać tyle prywatnych ambicji, tak długo nie realizowanych z powodu nieszczęść niesionych przez historię, taka wolność nie jest zdrowa, ona choruje. Ale przecież osoby, które mają tak rozbudowane JA, a tak wątłe MY, nie zaakceptują choroby demokracji, czyli skutków ubocznych wolności, oraz faktu że suma wolności daje z natury rzeczy niejedną istotną niedogodność.

Wtedy rodzi się akceptacja, by tę demokrację ktoś chwycił za szyję i nią potrząsnął jak pijanym co rozrabia. Ale gdy ten chwyt będzie za mocny, gdy demokracja pocznie się dusić, sinieć, oczy jej zaczną wychodzić z orbit, wtedy rzucimy się jej na ratunek. I z właściwym sobie poświęceniem obalimy tyrana.

SMECZ

Nowa Polska na ekranie

Już w trakcie kampanii wyborczej na ekrany warszawskich kin weszły dwa filmy o nowej Polsce. Chciałbym się dziś nad nimi zastanowić. Od razu zauważę, że jeden, „Uprowadzenie Agaty” Marka Piwowskiego, jest udany, drugiemu zaś, „Człowiekowi z...” Konrada Szolajskiego, do tego daleko. Ale nie piszę tutaj recenzji, interesuje mnie to, co oba filmy wyraziły, nie zaś to, czy zrobiły to mniej czy bardziej udanie.

Zarówno „Uprowadzenie...” jak „Człowiek z...” są filmami politycznymi w sposób nietrywialny: ich polityczność nie w tym tkwi, że ukazują polityczne postaci i zagadnienia, ale w tym, że starają się uchwycić specyficzność nowej Polski, że pozwalają widzowi zakładać, iż specyficzność ta polega na zmianie politycznej formacji u władzy i że w toku filmowe-

go przewodu założenie to podważają. Innymi słowy, Trzecia Rzeczpospolita okazuje się podobna do PRL, a przynajmniej ludzie jednej i drugiej są całkiem tacy sami (a czasem ci sami). Jednakże zawód spotyka każdego widza, który by tę polityczną konstatację chciał w sposób polityczny odczytywać, jako zawinioną przez tę czy inną partię, program czy choćby okoliczność. Winę bowiem za podobieństwo ponosi sama polityka. I Piwowski i Szolajski wyrażają swymi filmami rozczarowanie politycznością. To wymaga wyjaśnienia, bo rozczarować się polityką można na najrozmaitsze sposoby.

1. Film Szolajskiego został przez krytykę odebrany najzupełniej jednomyślnie jako parodia Andrzeja Wajdy „Człowieka z marmuru” i „Człowieka z żelaza” (nazywał się zresztą pierwotnie „Człowiek z krwi i kości”). I wydaje się to oczywiste, nie tylko z powodu tytułu: młoda reżyserka zabiera się do kręcenia filmu o bohaterze solidarnościowego podziemia Marku Mikrucie, który jakoś po zwycięstwie 4 czerwca 1989 zginął wszystkim z oczu. Zatem ewidentny trzeci odcinek Wajdowego cyklu — a zarazem jakby początek cyklu nowego: młoda reżyserka zaczyna podobnie, jak w prologu „Człowieka z marmuru”, a bohater nowego ustroju ginie wszystkim z oczu całkiem jak Birkut starszy, kiedy się definitywnie rozczarował do swojej partii, na której wezwanie bił rekordy w układaniu cegieł. Widać z tych uwag, że parodystyczna intencja „Człowieka z...” została zbyt chyba pośpiesznie uznana za oczywistą i że Konrad Szolajski broniąc się przed taką kwalifikacją był zapewne szczery. Znacznie bardziej niż parodią Wajdy, film Szolajskiego był próbą kontynuacji tamtego wątku i w tamtej poetyce, to zaś zapewne w celu dowodnego ukazania, że jest to niemożliwe i że zaowocować może tylko gorzką karykaturą. Dlaczego? W czym ta niemożność?

Najprostsza (i, jak sądzę, najtrafniejsza) odpowiedź sprowadza się do tego, co bohater Szolajskiego, w przeciwieństwie do pierwszego z bohaterów Wajdy, miałby zrobić z doświadczeniem swojego życia. Birkut starszy, po kolei wiejski chłopak, układacz cegieł, bohater pracy socjalistycznej, więzień UB, paździenikowy sekretarz partii i znów robotnik w stoczni rzuca całe swoje życie pod kule milicji w grudniu 1970 i nie ma w tym żadnego przełomu, żadnego zerwania ciągłości: ta sama sprężyna klasowego losu polskiego robotnika popycha go od początku do końca, o tym zaś, że jest to los zbiorowości właśnie, poświadczy potem fakt podjęcia

tęgo ciężaru przez syna. Ale co by zrobił Wajda, gdyby udało mu się przeprowadzić Birkuta młodszego przez stan wojenny aż do nowej Polski?

Bohater Szolańskiego, całkiem inaczej niż Birkut, nie ma za sobą żadnej historii. W stan wojenny wchodzi jak każdy, jest najzupełniej żaden i najzupełniej przypadkowy. Z naszej klasyki filmowej nie Wajda się tutaj przypomina, ale Munk z „Zezowatym szczęściem”. Tyle tylko, że ciężar tamtej historii był tak przemożny, iż ułożyła się z tego opowieść nie o wychowaniu, lecz o zmiążdżeniu człowieka, tragifarsa o absolutnym konformizmie, dzieje kameleona, w których szczęście i pech, jak szybkozmienne błyski światła służą wydobywaniu nieszczęsnego zwierzątka z tł. Źródłem komizmu w „Zezowatym szczęściu” było nienadążanie bohatera za tą zmiennością losów i wymagań.

Gdyby Szolański chciał swojego bohatera ukształtować w przebiegu fabuły, oczyścić z nijakości, musiałby historię lat osiemdziesiątych potraktować poważnie. Tego właśnie albo zrobić nie chciał albo nie umiał, a najpewniej dlatego nie chciał, że nie umiał. Szolański nie powinien się w tym miejscu obrażać: jest w licznym i doskonałym towarzystwie, ponieważ artyście jest na ogół trudno traktować poważnie o sytuacjach, w których aktorzy sami zadbali o to, by mimo doniosłości stawki i śmiertelnej powagi starcia podporządkować je pewnej konwencji. Jest to trochę tak, jakby bohaterowie opowieści sami układali ją w kształt literacki, pozostawiając autorowi drobne poprawki. Któryż mistrz krawiecki lubi dopasowywać garnitur *prêt à porter*? Tymczasem epoka stanu wojennego była tak właśnie skonwencjonalizowana. Nadto, obrana przez bohaterów tej historii konwencja najzupełniej nie pasowała do znanej z polskiej tradycji wizji walki o wyzwolenie. Była to jakaś *drôle de guerre*... Najzupełniej żalosne literacko produkty martyrologicznego piśmiennictwa lat osiemdziesiątych świadczą dowodnie o tej trudności. Autorzy niekoniecznie przecież byli grafomanami z zawodu. Ich porażka wynikała raczej z niemożności uporania się z konwencją, pod którą historia stanu wojennego ukryła własną powagę. Chcieli sięgnąć wprost do sedna...

Mały przerywnik. Rzecz działa się w sierpniu 1982, w Białolecie. Rodziny przynosiły więźniom jabłka i wszelkie inne witaminy w tym i drożdże, a specjaliści rozsiani po celach pędzili z tego bimber. Któregoś dnia internowany zwany Dziadkiem, KPNowiec z siwą brodą, niemalże Wernyhora z wyglądu i zachowania, urządził się do nieprzytomności, wszczął

bójkę z klawiszami, awantura trwała do północy. Nazajutrz zwołana została samorządna Rada Starszych ze wszystkich cel. Wygłoszono przemówienia, w których nieodmiennie powtarzało się, że Dziadek zhańbił, że na nas patrzy naród i Europa, i że nie ma innego wyjścia jak Dziadka wykluczyć ze wspólnoty, gąsiory z bimbrem potłuc, drożdże wyrzucić i złożyć ślubowanie, że póki Białoleki, póty nikt nigdy ani kropli... Dziadek płakał.

Nie będę już opowiadał, jakimi podstępными argumentami udało się uratować Dziadka i gąsiory i ocalić twarz przed Europą. Co innego jest istotne w tej gombrowiczowskiej historyjce. Sytuacja wynikała właśnie z konwencji stanu wojennego, ludzie byli bezwzględnie obezwładnieni, wydani na łaskę i niełaskę, ale zarazem jakby nie traktowani przez przeciwnika całkiem poważnie. Zgryzota i rozpacz pokonanych wydawała się nie na miejscu, trzeba było nadrabiać miną. Stąd histeryczność reakcji...

Tyle przerywnika. Gombrowiczów jest niewielu. Rozumiem więc Szolańskiego, że obrazki ze stanu wojennego, które wypełniają zasadniczą fabułę filmu, są najzupełniej niepoważną grą gestów, przypadków i obopólnej głupoty. Mniejsza o to, ile się z tego udaje wydobyć łatwej śmieszności. Ale dzieje człowieka i dzieje zbiorowe rozchodzą się w „Człowieku z...” całkowicie. Mikrut unosi z katastrofy swoją miłość, zbiorowość zaś nowy rozdział hagiografii. Jedno i drugie kalekie. Mikrut został bohaterem, ponieważ miał dziewczynę rozkochaną w prawdziwej męskości: w nowej Polsce jej wyrasta broda, jemu piersi, miłość trwa, lecz z zamienionymi rolami. Film o bohaterze powstanie, ale nie prawdziwy. Nierozszyfrowana konwencja stanu wojennego przynosi generalną kupę finału.

A konwencja stanu wojennego, to przecież nic innego, jak właściwy temu czasowi sposób uprawiania polityki. Casus Szolański odpowiada więc przypadkowi bezsilności wobec polityki. Bezsilności poznawczej i emocjonalnej.

2. W porównaniu z pokrętnością „Człowieka z...” „Uprowadzenie Agaty” jest samą prostotą. Piwowski znów sięga najpierw po „samo życie”, którego tym razem dostarcza gazeta. Sprawa Moniki. Szesnastolatka ucieka z domu do kochanka-narzeczonego, wbrew woli rodziców. Bardzo wpływowy ojciec uruchomi policję, prokuraturę i psychiatrę, aby córkę odzyskać i odizolować, ale ona znów ucieka i ku uciesze całej Polski — skutecznie. W rękach Piwowskiego „samo

życie” staje się współczesnym wariantem kilku naraz mitów literackich — od „Romea i Julii” do „Opery Żebraczej”. Powodzenie swego filmu reżyser zawdzięcza nie tyle zapewne satyrycznemu rusunkowi „elity” nowej władzy — choć Stuhr jako ojciec i Rewiński w roli pomocnego wiceministra policji grają brawurowo — ale zasadniczej i konsekwentnie przeprowadzonej opozycji: praw miłości przeciw prawom hierarchii społecznej, wolności jednostki przeciw instytucjom władzy, uczucia przeciw porządkowi. Stare to jak świat, ale dopóki świat światem — będzie budzić aplauz. Zwłaszcza kiedy dziewczyna jest tak śliczna, chłopiec tak dzielny a rodzina i władza tak ropuchowate. „Urowadzenie Agaty” jest zatem najpierw baśnią i jako taka bardzo się podoba (również piszącemu te słowa). Ale pod powierzchnią tego schematu znajdujemy takie widzenie świata społecznego, które dawniej przypisywano najchętniej anarchistom. Piwowski z pewną perfidią przeciwstawia świat solidarnościowej władzy marginesowi społecznemu, cygańskiemu taborowi i więziennej celi, i przeciwstawia właśnie za pomocą kryterium solidarności: złodzieje i Cyganie są solidarni w sposób ludzki, bezinteresownie, a promineneci współpracują ze sobą jak mafiosi lub może businessmeni, dla władzy i dla szmalu. Najmocniejszą cechą filmu jest tutaj dialog, bezlitośnie ukazujący fałsz salonowego etosu i pobożności. Zgodnie z konwencją, splatając baśń o miłości z anarchistyczną diatribą, film kończy się wielkim zgryztem. Młodzi biorą właśnie ślub, ale nie wiedzą, że już ich osacza brygada antyterrorystyczna w czarnych kominiarkach. Snajper zabija młodego w chwili wymiany obrączek. Gromki śmiech z tej najsprawniejszej formacji policyjnej, ostatniego argumentu władzy w gonitwie za dziewczyną — nagle milknie. Baśń kończy się źle. Wracamy w „samo życie”... Otóż jest to nieprawda i reżyser nie może o tym nie wiedzieć. Właśnie kiedy „Urowadzenie Agaty” wchodziło na ekrany, dziewczyna, której historia dała Piwowskiemu asumpt do napisania scenariusza, brała, już jako pełnoletnia, ślub ze swym ukochanym. Jej odtrącony ojciec, przepuszczony przez zęby wszystkich bez mała redaktorów (nawet tych bezzębnych), odepchnięty przez własną partię, nie znalazł się nawet na ostatnim miejscu na liście kandydatów do nowego Sejmu, on, wicemarszałek... Za to kandyduje jego niechciana kuma, matka pana młodego, przedtem tarmoszona przez milicję jako podejrzana o ukrywanie uciekinierów.

Nie jestem tak naiwny, by odmawiać artyście prawa do innej prawdy o świecie niż anegdotyczna zgodność z kroniką.

Piwowski zrezygnował zresztą z wiernego opowiadania przygód Moniki K. nie dopiero w finale, lecz od samego początku i to w tak ważnej sprawie jak socjalna charakterystyka „Romea”: naprawdę chłopiec był z całkiem przyzwoitej rodziny i wcale nie uciekał z więzienia. Chodzi jednak o nośność i wiarygodność owej anarchizującej krytyki społecznej. Wiadomo, że pojawia się ona w sztuce (i to całkiem niezależnie od dziejów anarchizmu), ilekroć panujący porządek odczuwany jest jako nieznośnie sztywny, dławiący i nie do ruszenia, kiedy ustaje ewolucja i wielkie grupy społeczne tracą we własnym rozumieniu wszelki wpływ na instytucje. Tak było w PRL. Czyżby Trzecia Rzeczpospolita była też w tej sytuacji? Przytoczyłem prawdziwe zakończenie przygody Moniki K. Spowodowany przez prasę i zmobilizowaną opinię publiczną upadek wicemarszałka dowodzi w sposób, zdawałoby się, namacalny, że tak nie jest. Mamy w Polsce wolną prasę, mamy opinię publiczną, mamy demokrację, mamy wybory... Dlaczego więc Marek Piwowski anarchizuje? Jest to jeszcze jedno pytanie naiwne i artysta ma, oczywiście, pełne prawo odrzec, że nie musi się zajmować całością i że z nieprzebranego mrowia historii, które się mogą przydarzyć w demokratycznym świecie wolności, wybiera to, co chce i co umie opowiadać. A rzeczywiście umie, *chapeau bas*.

Myślę jednak, że krytykowi wolno z kolei suponować, iż rzeczywistość Trzeciej Rzeczypospolitej nie dorobiła się jeszcze swojej sztuki jako sumienia krytycznego. Kiedy na ekranie snajper zabija Młodego, widzownia jeszcze się śmieje z kominiarek. Potem śmiech oczywiście milknie, ale gdy zapalają się światła, widać niedowierzające twarze. Rozrywając tkaninę baśni, ballady o miłości, strzał coś miał nam ukazać... Najwidoczniej „skończył tylko trzeci akt”. Gdzieś trzeba postawić kropkę, najlepiej efektownie, z trzaskiem. Na szczęście jesteśmy w historii niedokończonej.

Warszawa, 12 września 1993

Krzysztof WOLICKI

Kartka ze skażonej strefy

Taczki

Grymas bezmiernego upokorzenia na twarzy; wysiłek ciała człowieka bezskutecznie próbującego wyszarpnąć się z taczki i tuż obok, przy wtłaczających go do niej wielorekich ramionach — nieruchoma postać policjanta. Bijący w oczy kontrast między wielkimi emocjami prześladowanego i prześladowających a bezruchem funkcjonariusza. Jeżeli coś robił, to wciągnął brzuch, spłaszczył się we framudze drzwi, żeby taczka sprawniej wytoczyła się na zewnątrz...

Rzadko zdarza się — jak zdarzyło się w tym przypadku — aby migawka uchwycona kamerą telewizyjną ukazała syntezę szerszej sytuacji: rozwyrzenia „ulicy”, bezsilności władzy i bierności policji.

Latem 1993 r., prezydenta Świnoujścia tłum straganiarzy wywioził na taczkach z urzędowego budynku za to, że jego decyzją targowisko miejskie zostało przeniesione w inne miejsce. Samosąd na urzędniku dokonał się przy pełnym braku reakcji ze strony obecnych policjantów. Podobnie stało się niebawem w miejscowości Praszka z burmistrzem, którego obwożono po rynku, zgodnie, jak szydzono, z jego życzeniem, bo obejmując urząd, miał powiedzieć: „możecie mnie wywieźć na taczkach, jeżeli się nie sprawdzę...” Dla porządku dodam, że obwożony był kaleką.

Wywieźć na taczkach

Wydawałoby się, że zjawisko przeszło już dawno do symboliki ściśle werbalnej, gdy tymczasem warto przypomnieć, że taczki jako element dosłowny w grze politycznej wprowadziła Solidarność. Taczki zaistniały na pierwszym heroicznym, związkowym Zjeździe w hali Olivia w r. 1980. Oto solidarnościowcy pewnej kopalni wywieźli na taczkach kolegę-komucha za to, że bez ich zezwolenia... rozmawiał z prasą! Wierzyć się nie chce, ale tak było. Przybyłych wówczas na Zjazd sprawców zajścia przyjmowano z uznaniem dla brawury pomysłu i odwagi wykonania. Jeżeli kogoś trapił cień humanitarnych wątpliwości co do metody, to go chował. W końcu, w walce z wszechpotężną komuną wszystkie chwytły dozwolone.

Komuna poszła, taczki zostały.

Podjął je z powodzeniem Andrzej Lepper, przywódca ruchu o nazwie Samoobrona.

Niskie czoło, spłaszczona głowa, wtulona w krępy korpus bez szyi. Lepper stał się szybko *celebrity* w mediach, dzięki nie tylko obrazoburczym oświadczeniom, wygłaszanym złowieszczym agitacyjno-militarnym tonem, ale dlatego że jego program obiecywał „rozpędzenie złodziei i zdrajców na państwowych posadach”. Hasło nośne i miłe duszy każdego frustrata i warchoła, niezależnie od sytuacji i edukacji osoby, która nim szermuje, a szermują tak prostaczkowie, jak i inteligenci.

Narzędziem do rozpędzania stały się dla Leppera taczki. Krzyczał, że uruchomi nową ich produkcję, żeby starczyło dla wszystkich, za premierem i prezydentem włącznie.

Dobrze to sobie pomyślał. Polityk publicznie upokorzony, jest politykiem skończonym, choćby był niewinny i miał rację. Wyraz twarzy kogoś umieszczonego na taczce jest nie do zatarcia w pamięci widzów; staje przed oczyma w każdym momencie pojawienia się danego człowieka.

Między epokami

Skąd się wziął Lepper? Pierwsze głośniejsze wzmianki o nim pochodzą z czasu głodówek „zadłużenców”. Stał na czele chłopów, którzy zżaleni pożyczkami inwestycyjnymi, pobrali je i roztrwonili. Gdy banki zgłosiły się po dług, odpowiedzieli atakiem: to banki są złodziejami.

Wiosną 1993 r. lepperowcom niemal udało się rozpędzić obradujący sejm. Byłam wtedy w dolnej bibliotece sejmowej i widziałam szturm jak z łoży. Watahy mężczyzn i kobiet przełamały barierki policyjne i machając jak sztandarami szkieletami zwierząt rzeźnych ze zwisającym świeżym jeszcze mięsem, próbowały sforsować wejścia. Jeden z atakujących, rycząc jak bawół, chwycił się prętów na schodkach i nie dawał się od nich oderwać. Pracowało nad nim kilku policjantów. Patrząc na ich bezskuteczny wysiłek, zrozumiałam zasadność kajdanek, używanych tak często na Zachodzie, proceder dla nas gorszący. Tymczasem trudno wprost przecenić jego pożytek: człowiek skuty staje się niegroźny, a zarazem bezbronny. Bić skutego to tak, jakby kopać leżącego. Na kajdankach zyskują więc obie strony: zatrzymany ma w większym stopniu zapewnioną ochronę ciała, a policjant

— bezpieczeństwo własne. Bez kajdanek dochodzi do bijatyki i łamania kości.

Tak się też stało wówczas pod sejmem. Policja ledwie wstrzymała atak lepperowców, a przecież były to oddziały doborowe. O ileż mniej można oczekiwać od szarej braci policyjnej, gdzieś na prowincji!

„Jestem ślepe narzędzie...”

Przez 45 lat uczciwi ludzie omijali milicję wielkim łukiem. Znak MO i siwy uniform nie zwiastowały niczego dobrego. Tępienie przestępczości kryminalnej było — jak to w totalizmie — formalnym dodatkiem do właściwej funkcji: prześladowania nieprawomyślnych, których obecność wężono wszędzie.

Kiedyś w Londynie, sięgając po mleko, zatrzasnęłam za sobą drzwi wejściowe, pozostając na zewnątrz prawie w bieliźnie. Pamiętam swój przestrah, a potem osłupienie, gdy pierwszą osobą, która przysłała mi z pomocą, okazał się policjant. Zjawił się jak *deus ex machina*, otworzył wytrychem drzwi, powiedział, że od tego jest, a jedynym pytaniem, jakie mi zadał, było to, czy jestem na tyle *all right*, żeby sama sobie zrobić herbaty, czy też on ma mi ją przyrządzić...

Wówczas zrozumiałam, że różnica w relacji obywatel-policjant stanowi o Żelaznej Kurtynie, dzielącej Europę na dwie części, w stopniu daleko większym niż wszystko inne.

Gdy więc wolność wybuchła we Wschodniej Europie, pierwszą widomą zmianą (prócz zniesienia cenzury) było zachowanie się policjantów. W Polsce jak za dotknięciem różdżki, za pierwszego „wolnego” ministra spraw wewnętrznych, który na to stanowisko przesiadł się wprost zza biurka *Tygodnika Powszechnego* — policjanci stali się aniołami. Prawdziwy sojusz ze społeczeństwem, uśmiechy i pomocna dłoń. Anielstwo w ludziach nie trwa jednak długo, stan euforii opadł, a po pierwszych kompromitacjach w ściganiu zorganizowanej przestępczości, gangów i mafii — policję ogarnęła apatia. Zaczęto narzekać na małe pensje i zły sprzęt: to one winne ich niepowodzeń. Pensje wydatnie podniesiono, sprzęt nieco unowocześniono, apatia i niechęć zostały — z tendencją zwykłą. Wzmagają ją sprzeczne oczekiwania społeczne: raz ludzie mówią, że policja za bardzo bije (np. bezdomnych na Dworcu Centralnym, którzy bez reszty okupują poczekalnie i ubikacje), a raz — że za mało (gdy przestępca ucieknie).

Z całą pewnością policji brakuje człowieka z powołaniem, rasowego policjanta. Ci, którzy przewodzą, traktują swój fach zastępczo; ważniejsza dla nich osobista wygrana w sejmie — bo kandydują na posłów — niż stan policyjnych kadr. Jak się więc tu dziwić, że policję cechuje niepewność i dezorientacja?

Doświadczyłam jej na własnej skórze. Zdarzyło się, że podróżując po Wybrzeżu tego lata, położyłam torbę z dokumentami na dachu auta, i ruszyłam. Skutek wiadomy: przepadła. Cóż w takim przypadku robi człowiek? Udać się na policję. Tak też uczyniłam, okazuje się, niepotrzebnie. Dyżurny funkcjonariusz nawet nie ścisząc radia, zaczął powtarzać: nie, nie, nie... Na prośbę, żeby mnie zaopatrzył choćby w papierek, że złożyłam meldunek o zaginięciu, odpowiadał tępyimi unikami, jak chłopci z Mroźka: „a bo to prawda?”, a skąd to wiadomo?, a jak to udowodnić...? Na pożegnanie wyrwało mu się jednak usprawiedliwiająco: „jestem tylko ślepe narzędzie”, powiedział.

Niewątpliwie tak właśnie o sobie myślał. W niepewności zawodowej, najbezpieczniej skryć się za fasadą biurokracji.

Jeszcze jeden obrazek. W sierpniu br. w okolicach Sochaczewa nowicjusz policyjny oddał strzał do lancierki pani premier z pistoletu gazowego, na który nie miał pozwolenia. Tłumaczył się potem, że pistolet znalazł, a strzelił dlatego, bo zmylił go eskortujący wóz policyjny, który nie jechał, jak powinien, przodem, ale z tyłu, więc pomyślał, że goni przestępcę (z reguły posługującego się dobrym samochodem). Całe to myślenie jest bardzo typowe dla stanu świadomości policji, której kondycja jest, jak wiadomo, barometrem stanu państwa.

„Wziąć karabin maszynowy i szyc...”

„Państwo nie działa”, dramatyzują ludzie i winią za to nie tyle brak parlamentu, który mają w złej pamięci, ile bezprzykładną walkę o stołki wśród zżeranych ambicją, pozał się Boże, polityków. Jak w każdym uogólnieniu, i w tym jest przesada. Można zaryzykować twierdzenie, że jak na stan przełomowy, między epokami; w sytuacji pierwotnego, żarłocznego kapitalizmu; w kruchutkiej demokracji, skażonej mocno plamą mentalności spod znaku *homo sovieticus* (obawiam się, że zniknie dopiero ze śmiercią pokolenia); że w dobie małych i dużych luk prawnych i kadrowych, zwłaszcza w tym, co najważniejsze, w dziedzinie sądownictwa — otóż, że w takim to czasie państwo u nas nad podziw dobrze jeszcze

działa. W końcu, taczki w Świnoujściu i w Praszce to incydenty. Zaslugę przypisywałabym tu przywołanej już premier Suchockiej. Posiada ona rzadką i niesłuchanie dziś przydatną umiejętność gaszenia agresji. Jej wystąpienia cechuje spokój i konkret, nawet gdy emocje byłyby usprawiedliwione. Cienia egzaltowanej, populistycznej retoryki, jaką z reguły posługują się politycy wszystkich obozów. Wyrwało jej się raz prywatnie, że to opanowanie wiele ją kosztuje, bo chwilami miałaby ochotę „chwycić karabin maszynowy i szyc...”

Wyjęła to z wielu ust: niejeden rozsądny człowiek miałby na to ochotę, ale wstrzymuje się, właśnie z rozsądku. Rozsądek — słówko skromne, lecz w jakiejś powinno być dziś w Polsce cenie! Może dlatego Hanna Suchocka jako osoba rozsądna ma najwyższe notowania na giełdzie popularności. Nie spotkałam nikogo, kto mówiłby o niej źle. Nawet rywale, krzywiąc się, nie znajdują na nią haka. Co oznacza, że długo się na stanowisku nie ostałaby — nawet gdyby nie było wyborów. Ten tryb gwarantuje jej przynajmniej nieobecność tacek. Dobrze i to, ale smutne.

Sierpień 1993

Ewa BERBERYUSZ

Telewizja prywatna

We wrześniowej *Kulturze* podaliśmy informację o mającej powstać w Polsce telewizji prywatnej. Obecnie podajemy bliższe szczegóły tej afery.

O przydzieleniu tej jednej, jedynej licencji chce się ubiegać przynajmniej 10 grup. Każda z tych grup usiłuje w tej chwili znaleźć najlepsze „dojście” do poszczególnych członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji (Rada pod przewodnictwem Marka Markiewicza, wiceprezesem jest Maciej Iłowiecki) i nawet były już (też podano oficjalnie) próby przekupstwa, nacisków itp. Dziewięcioosobowa Krajowa Rada prawdopodobnie do końca roku zadecyduje, komu będzie przyznana licencja. Odbywa się to na podstawie Ustawy o Radiofonii (tej samej, w której zawarto postanowienie o „wartościach chrześcijańskich”). Od decyzji Rady nie ma odwołania. Jest to więc jedna z wyjątkowo antydemokratycznych ustaw, przyjętych przez parlament III Rzeczypospolitej. O „przydziale” prawa do

gigantycznego — być może — biznesu decydować będzie zespół kilku osób bez przeprowadzenia jakiejkolwiek otwartej publicznej dyskusji.

Do tej pory, jako konkurenci w wyścigu o „wielkie telewizyjne pieniądze” ustawili się między innymi: konsorcjum Mariusza Waltera (reprezentant amerykańskiej firmy video ITI w Polsce, wysokiej klasy fachowiec telewizyjny) wspierane przez rodzimy polski biznes. Inny konkurent do otrzymania licencji to nadający już do Polski programy satelitarne z Holandii Zygmunt Solorz i jego szef programowy Wiesław Walendziak (autor programów „Bez znieczulenia”, wywodzi się z gdańskiego środowiska Młodej Polski).

W prasie krajowej (np. w *Życiu Warszawy* i w *Rzeczypospolitej*) ukazały się informacje o kolejnym kandydacie. Jest nim grupa, która przyjęła nazwę „Antena 7”. W jej skład wchodzi Marian Terlecki, b. szef Radiokomitetu, w czasie stanu wojennego autor i producent podziemnych filmów dokumentalnych, obecnie właściciel prywatnego studia w Gdańsku — oraz Piotr Mroczyk, dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, który potwierdził tę wiadomość publicznie (na zebraniu redakcyjnym), a mianowicie oświadczył, że będzie się starał o uzyskanie licencji na nadawanie programu TV. Jako powód podał, że będzie to „kontynuacja misji RWE” i że w tej swojej telewizji zatrudni ludzi, którzy utracą pracę w wyniku likwidacji Radia Wolna Europa (lub połączenia z Głosem Ameryki).

Tymczasem fakty są takie: grupa Piotra Mroczyka weszła w kontakt z „Time Warner Brothers”, a także próbowała zainteresować swoimi planami kilka innych banków i filmowo-telewizyjnych producentów na Zachodzie.

Nastrój w zespole Rozgłośni Polskiej RWE jest grobowy. Jak wiadomo, stacji grozi rozwiązanie i redukcja personelu. Być może RWE będzie połączone z Głosem Ameryki. Zasadnicze pytanie: co uda się uratować z gigantycznego dorobku radia? Do tego dochodzi problem uwikłania programu stacji w walkę podjazdową o przydział licencji. Czy, na przykład, RWE może obecnie w swoim programie skrytykować działalność Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji skoro dyrektor RWE ubiega się u tej Rady o koncesję, mogącą mu przynieść miliony?

Wreszcie, wysoce dyskusyjna wydaje się teza Piotra Mroczyka, jakoby był kiedykolwiek „kontynuatorem misji RWE”. Na tym twierdzeniu opiera on — między innymi — swoje zabiegi o przydział ogólnopolskiej koncesji telewizyjnej. Trzeba więc sobie powiedzieć otwarcie, że za tej właśnie dyrekcji stacja utraciła swoją rolę opiniotwórczą wśród słuchaczy w Kraju. Decyduje o tym bałagan programowy i brak kompetencji kierownictwa.

Decyzje o przydzieleniu koncesji na nadawanie jedynej prywatnego programu telewizyjnego w Polsce będą znane prawdopodobnie pod koniec bieżącego roku lub na początku roku przyszłego.

TELEWIDZ

Panorama Firm

to seria
corocznie wydawanych
katalogów teleadresowych,
zawierających
pełną, sprawdzoną
i aktualną informację
o firmach działających
na terenie
poszczególnych
województw
Polski.



CENA JEDNEGO
EGZEMPLARZA
KATALOGU
WYNOŚI
RÓWNOWARTOŚĆ
10,- DM

NASZ ADRES:
02-737 WARSZAWA
ul. Niedźwiedzia 10
tel. (48) (22) 43 50 58
fax (48) (22) 43 99 21

**BIELSKO-BIAŁA
BYDGOSZCZ
CZĘSTOCHOWA
GDAŃSK
KALISZ
KATOWICE
KOSZALIN
KRAKÓW
LUBLIN**

**ŁÓDŹ
OPOLE
POZNAŃ
RADOM
SZCZECIN
TORUŃ
WAŁBRZYCH
WARSZAWA
WROCŁAW**

**USWEST®
POLSKA**

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Co jak co, ale nudno nie jest, pocieszał się udęczonego naród rosyjski. Okazuje się, że i po komunizmie niespodzianki sypią się jak z rękawa. Nie darmo na pytanie, co może być gorsze od komunizmu, ludzie odpowiadają: postkomunizm. Jest to lekka przesada, ale tylko lekka: w postsowieckim Związku życie staje się coraz trudniejsze i nieraz wspominam aforyzm Leca: „Znalazłszy się na dnie, usłyszałem pukanie z dołu”.

Poprzedni miesiąc przyniósł wiele wydarzeń — większość nie była żadną niespodzianką. Trwała walka na szczytach moskiewskiej władzy. Prezydent Jelcyn odsunął wiceprezydenta Ruckoja. Jeszcze niedawno gen. Ruckoj chwalił się, że ma jedenaście walizek dokumentów kompromitujących najbliższych współpracowników Jelcyna. Groził tymi walizkami, dopóki nie odkryto (nie wiadomo gdzie) dokumentów świadczących, że sam wiceprezydent brał łapówki i deponował otrzymane miliony dolarów w szwajcarskim banku. Dziwne dokumenty — z wyjątkiem Ruckoja występują w nich sami zmarli, zaświadczyć nie mogą.

Według konstytucji prezydent nie może zwolnić wiceprezydenta (oba zostali wybrani w powszechnym głosowaniu). Ruckoj odmówił więc podporządkowania się, stwierdzając, że jest niewinny. Gdy jednak zjawił się w pracy, ochrona nie wpuściła go do gabinetu. Rada Najwyższa przekazała sprawę do rozpatrzenia Sądowi Konstytucyjnemu. Dla równowagi Borys Jelcyn usunął pierwszego wicepremiera, Szumiejkę, którego Ruckoj oskarżył o łapownictwo.

Niespodzianką natomiast była podróż prezydenta Rosji za granicę. Rosyjskie pisma nazwały ją *Blitz tournée* Warszawa-Praga-Bratysława. Najgorzej obszedł się Borys Jelcyn z Czechami. Wpadł na chwilę, podpisał co prawda umowę o współpracy, ale oświadczył, że Rosja nie będzie się tłumaczyć z

inwazji w 1968 r., bo była to sprawa reżimu sowieckiego i sojusznicznych wojsk. Najlepiej zachował się prezydent Rosji w Polsce: pokłonił się przed pomnikiem ofiar Katynia i przekazał dwa cenne podarki. Pierwszy to archiwalne dokumenty świadczące, że Biuro Polityczne KC KPZS w 1980-81 nie zamierzało wkroczyć do Polski; drugi to zgoda na przystąpienie Polski do NATO. Sądząc po reakcji polskiej prasy, specjalnie uradował Polaków drugi podarek. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Jeśli jednak zajrzeć, to okaże się, że NATO nie zamierza tymczasem (i zapewne jeszcze przez jakiś dłuższy czas) przyjmować nowych członków. Pamiętam z dawnych lektur, że Zagłoba darował komuś nie należące do niego Niderlandy.

Jeśli idzie o pierwszy podarek, to łatwo zauważyć, że o ile ważną bronią Związku Sowieckiego była tajemnica, to dla współczesnej Rosji taką bronią jest demaskowanie tajemnic. Sekretary przekształcili się w wymienną monetę. Przedtem dowódcy sowieccy w podarku przywozili listy Lenina, a obecnie tajne dokumenty. Do Seulu Borys Jelcyn przywiózł w prezencie „czarną skrzynkę” z zestrzelonego południowokoreańskiego samolotu. Do Warszawy skrzynkę z tajemnicą „wkroczenia, którego nie było”. Gdy Koreańczycy otworzyli podarowaną skrzynkę, okazało się, że była pusta. Polacy znaleźli w skrzynce gen. Jaruzelskiego. Niektórzy zapewne będą wdzięczni za podarek, a inni nie (miłość do generała stała się zaraźliwą chorobą). Jedno jest pewne: szkielety, które wyjmują z moskiewskich szaf, wydają dźwięki.

Najczulej Borys Jelcyn obszedł się ze Słowakami. I nie bez powodu. Oprócz zarezerwowanej dla wszystkich umowy o współpracy handlowo-ekonomicznej, w Bratysławie podpisano dodatkową umowę o współpracy wojskowo-technicznej. Zasługuje ona na uwagę ze względu na poglądy prezydenta Słowacji, Mecziara, który oświadczył ostatnio, że Cyganie są narodem umysłowo zacofanym. W Słowacji żyją oprócz Cyganów Węgrzy i Czesi. Możliwe, że i ich rozwój umysłowy nie zadowala słowackiego prezydenta. Jeśli zdecyduje on podnieść poziom intelektualny w swojej republice, to może mu się przydać wojskowo-techniczna pomoc Rosji.

Główną niespodzianką miesiąca nie było jednak *Blitz tournée* po byłych bratnich stolicach, ale spotkanie Borysa Jelcyna na Krymie z Leonidem Krawczukiem. Powracając do aforyzmu Leca, można powiedzieć, że na dnie Rosji słychać pukanie z dołu Ukrainy. Wiele mówiło się i mówi o ekonomicznej katastrofie w Rosji, ale trudno ją porównywać z katastrofą gospodarki ukraińskiej. Można tylko powiedzieć, z jaką szybkością przywódcy niezawisłej Ukrainy zrujnowali swój kraj: w Moskwie dolar kosztuje 1000 rubli, a w Kijowie 19.000 karbowanów

(karbowaniec z początku był równy rublowi). Upadek karbowanica to jedno ze świadectw rozpadu gospodarczego bogatego kraju, który — wydawało się — ma wszystko, by zająć miejsce w pierwszym rządzie europejskich narodów. Do wszystkich swych bogactw Ukraina uzyskała wymarzoną niepodległość. Ilija Ilf w latach 30-tych zanotował w swoim dzienniku: Autorzy naukowo-fantastycznych powieści obiecywali, że kiedy wynajdą radio, zapanuje szczęście. Radio jest, a szczęścia ciągle nie ma. Tak i na Ukrainie: jest niepodległość, ale szczęścia ciągle nie widać.

Ukrainolodzy zapewne wyjaśnią, co zaszło. Pracując nad książką o historii Rosji doszedłem do XVII wieku, w którym wydarzenia okazały się niezmiernie aktualne. Specjalnie dotyczy to obecnej sytuacji na Ukrainie. Jak wiadomo, w 1648 r. Bohdan Chmielnicki zorganizował powstanie przeciwko polskiej szlachcie, które przekształciło się w wojnę z Polską. W 1654 r. w Perejasławiu rada wojska zaporoskiego zdecydowała się pójść „pod wysoką rękę moskiewskiego, prawosławnego cara”. Ukraina pod nazwą Małorosji podporządkowała się Moskwie. Ale bardzo szybko Chmielnicki, a potem jego następcy zwątpili w słuszność swojego wyboru. Przez następnych pięćdziesiąt lat Ukraina szukała protektora. Chmielnicki wybrał Moskwę, Iwan Wyhowski Polskę, Piotr Doroszenko oddał Ukrainę turekiemu sułtanowi, Iwan Mazepa szwedzkiemu królowi. Wypróbowano wszystkie możliwe warianty, a w tym czasie wojewodowie moskiewscy coraz dokładniej kontrolowali wschodnią Małorosję, aż wreszcie Katarzyna II ostatecznie zlikwidowała ostatki niepodległości. Położenie, ma się rozumieć, całkowicie się zmieniło. Na granicach Ukrainy nie ma dziś państw, które chciałby oderwać od niej kawałek terytorium. Podobieństwo, jak mi się wydaje polega na systemie władzy. W XVII wieku wszystkie decyzje były podejmowane w imieniu zaporoskiego wojska, czasami przez Radę, czasem przez starszyznę (hetmani i pułkownicy). W najlepszym okresie na Ukrainie było 60 tys. rejestrowych Kozaków. Ta, jak byśmy dziś powiedzieli, nomenklatura przemawiała w imieniu kraju, ale dbała tylko o siebie i swoje interesy. Coś podobnego dzieje się obecnie na Ukrainie: poprzedni gospodarze republiki — komunistyczna starszyzna — w ciągu jednego dnia stali się niepodległościowcami, dbającymi jedynie o swoje interesy i niszczącymi kraj.

Na Krymie Leonid Krawczuk jakoby zgodził się oddać Rosji „swoją” część czarnomorskiej floty i atomowych rakiet w zamian za umorzenie długów. Rada Najwyższa ma zaaprobować tę decyzję. Prawdopodobnie, mimo że część delegatów jest jej przeciwna, decyzja zostanie zatwierdzona. W wypadku odmowy Rosja grozi zakreśnieniem kurka z ropą i zahamowaniem ukraiń-

skiej gospodarki. Rozumując logicznie, Krawczuk decyduje się oddać pozory za konkret. Czarnomorska flota i rakiety to pozory niepodległości. Flota rdzewieje i starzeje się znacznie szybciej od ludzi. Po pewnym czasie, biorąc pod uwagę rozwój techniki, okręty przekształcą się w żelazne puszki, nadające się jedynie do przetopienia. Rakiety bez tajnych szyfrów, które pozwalają na ich użycie (a do tego powstaje pytanie, przeciwko komu) nikogo nie straszą. Za rezygnację z pozorów Moskwa obiecuje ropę i gaz.

Kurczowe trzymanie się władzy — którą przecież zapewnia wojsko — relikwii komunistycznego myślenia, jest jedną z przyczyn ukraińskich nieszczęść.

Dzisiaj widać coraz lepiej, że „relikty”, ślepa wiara w niepodległość jako uniwersalną drogę do szczęścia (tak jak kiedyś radio) są na rękę polityce Moskwy. Ciężar gatunkowy Rosji, znacznie przekraczający wagę wszystkich innych postsowieckich republik razem wziętych jak magnes przyciąga szczątki imperium do jądra. Związek Niezależnych Państw, stworzony na ruinach ZSSR w grudniu 1991 r., który przypominał martwego noworodka, zaczyna niewidocznie dawać znaki życia. Mimo chaosu w Moskwie, mimo braku skutecznej struktury władzy w Rosji, zaistniałe warunki — upadek gospodarki w pierwszym rządzie — pchają niepodległe postsowieckie republiki do centrum.

Sama Rosja przejawia działalność na Kaukazie i w niektórych środkowoazjatyckich republikach. Rosja pomaga mniejszościom przeciwko centralnej władzy (w Gruzji, Azerbejdżanie, Tadżykistanie), a potem występuje w charakterze pośrednika i gwaranta spokoju. Narody zmęczone wojną domową przyjmują *pax russica* chociażby dlatego, że jest to jednak pokój. Zwycięska wojna Ormian o Górny Karabach spowodowała przewrót w Baku. Prezydent Elczibej, zwolennik Turcji został usunięty, a jego miejsce zajął stary komunistyczny gospodarz Azerbejdżanu, Gajdar Alijew, który pojechał na początku sierpnia do Moskwy. Azerbejdżan jest gotowy obecnie wejść do strefy rublowej. Plan ekonomicznego związku, do którego miały wejść Rosja, Białoruś, Ukraina, Uzbekistan, Armenia i Tadżykistan, staje się rzeczywistością.

Ten związek będzie rozliczał się rublami, a oprócz tego ustalał budżet, system podatkowy, taryfy celne oraz politykę bankową. Ogromnego znaczenia nabiera centralny bank, jedyna instytucja, która ma prawo emitować ruble. Jeżeli ten plan zostanie zrealizowany, do Związku przyłączy się niewątpliwie Kazachstan, a potem pozostałe republiki, być może z wyjątkiem niektórych republik bałtyckich. W każdym razie wydaje się, że pierwszy okres burzy „niepodległościowej” zbliża się do końca. Realizowali go według schematu komunistycznego komunistycz-

ni przywódcy. Fakt, że niepodległość uzyskano bez rewolucji i bez przewrotu, wpłynął na jej charakter. Nie można dzisiaj oceniać osiągnięć nowego ekonomicznego związku. Nie można przewidzieć, czy będzie on ewoluował w stronę związku politycznego i na jakich zasadach. Można sobie tylko wyobrazić, że po okrzepnięciu ekonomicznym republiki rozpoczną nową rundę walki o niepodległość na zdrowych zasadach.

Najważniejszą rolę odgrywa w Rosji jak zawsze walka polityczna. Ścisłej walki o władzę. W połowie sierpnia Borys Jelcyn mówił, że sierpień będzie miesiącem „gorącym” i obiecywał zorganizowanie w sierpniu wyborów do parlamentu. Jednak żadnych śladów „gorąca” nie zauważono jeśli pominąć *show* z wiceprezydentem w roli głównej oraz sukcesy dyplomatyczne, jeśli za takie można uznać rezultaty *Blitz tournée* i pertraktacje z Ukrainą. To pozwala prezydentowi Rosji na czekanie. A kto wie — myślę — może Jelcyn chce przeciągnąć jeszcze półtora roku do końca mandatu Zjazdu Deputowanych, a potem przeprowadzić nowe wybory legalnie i spokojnie?

Ten ruch dośrodkowy naturalnie pobudza marzenia o imperium. Marzenia, które, nawiasem mówiąc, i przedtem istniały. Uwagę zagranicznych komentatorów zwróciła wizyta premiera Czernomyrdina na jednej z najmniejszych Wysp Kurylskich oraz jego oświadczenie: nam nie jest potrzebna cudza ziemia, ale naszej nigdy nie oddamy. Komentatorzy zagraniczni nie zauważyli w oświadczeniu rosyjskiego premiera znakomitego aforyzmu towarzysza Stalina: „Cudzej ziemi nie chcemy, ale swojej ani piędzi nie oddamy”. W mniej artystycznej formie myśl tę rozwija w powieści „Spadkobierczyni” Jurij Sergiejew, pisarz i członek Dumy Rosyjskiego Narodowego Soboru — jednej ze skrajnie nacjonalistycznych organizacji. Jurij Sergiejew stworzył kozacką utopię, rodzaj dotychczas nieznany. Wszystko zaczyna się od tego, że jakiś rosyjski bohater uratował rosyjskie złoto, które miał Kołczak. Wszyscy tego złota szukali i nie mogli znaleźć, a bohater, kiedy pieriestrojka zrujnowała Rosję, oddał ten skarb bohaterskiej Kozaczce. Tu wchodzimy w krąg tradycyjnych symboli: Rosja — dziewica — nadzieja. Ale pisarz szybko porzuca symbole i przechodzi do rzeczywistości. Kobieta przekazuje pieniądze Kozakom, którzy, powierzwszy jej przywództwo, przygotowują powstanie. Z pomocą przychodzą złodzieje, bandyci i mafiosi, rozumiejący konieczność odrodzenia narodowego. Najciekawsze wydają mi się strony, na których autor opisuje, jak „ciemnolicy Kozacy z lewobrzeża Tereka”, mający „idealny wygląd semicki”, przeniknęli jako Żydzi do rosyjskiej mafii w Ameryce. „Rosyjska mafia” posiadała rzecz jasna taką dyscyplinę, przekonanie i rozmach, że w porównaniu z nią „sycylijska mafia i miejscowe klany to mali, uliczni bandyci”.

Jeszcze niedawno chwalono się, że sowieckie tranzystory są największe w świecie. Dziś szczyć się tym, że rosyjska mafia jest najbardziej przestępcza. Powieść kończy się zdobyciem władzy. Co było później, autor „Spadkobierczyni” potraktował zdawkowo. Myślał, że wystarczy zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Dzieło Jurija Siergiejewa ukazało się w *Roman Gazetie* nr 2 z 1993 r. Nakład 900 tysięcy egzemplarzy.

Adam KRUCZEK

Kłeska Ukrainy w Jałcie

Borys Jelcyń z wolna oświadczył: „Ukraina oddaje Rosji swoją część Floty Czarnomorskiej i całą broń nuklearną”. Obok niego, o kilka metrów dalej, widniały nieruchome postacie prezydenta Ukrainy Krawczuka i premiera Kuczmy. Ta scena miała miejsce w piątek 3 września, w Jałcie. Stamtąd obiegała wnet cały świat sensacyjna wiadomość o rzekomym porozumieniu rosyjsko-ukraińskim, które wreszcie kładzie kres kłótniom o flotę i rakiety. Nikomu nie przyszło do głowy, że Jałta leży na terytorium Ukrainy, i że gospodarze spotkania nie powiedzieli słowa na temat takiej zgody.

Przyczyną nagłej zmiany atmosfery była uprzednia dramatyczna rozprawa pomiędzy obydwoma delegacjami. Ukraińska delegacja przyjechała na rokowania do Jałty w przekonaniu, że pertraktacje odbędą się zgodnie z przygotowanymi dokumentami ekspertów. Kijów przedstawił wówczas kilka wersji kompromisowych rozwiązań sporu o marynarkę wojenną na Morzu Czarnym, a mianowicie długofalowy okres realizacji dotychczasowych uzgodnień prezydentów w kwestii podziału floty. Innym wariantem uzgodnień była koncepcja zachowania wydzielonej grupy okrętów pod jednym dowództwem i wreszcie trzeci wariant: utworzenie wspólnego rosyjsko-ukraińskiego dowództwa. Rosjanie nie wysunęli podczas tych rozmów, toczących się w Moskwie, żadnych kontrpropozycji, zaznaczając tylko, że ten trzeci plan wydaje się być najbardziej realnym.

Gdy tylko obie delegacje zasiadły do stołu obrad, wystąpił Jelcyń zaczynając od tego, że zebrali się na rosyjskiej ziemi, i że w istniejącym sporze jest tylko jedyne rozwiązanie: za długi wynikłe z dostaw ropy i gazu z Rosji, Ukraina winna odstąpić rosyjskiemu dowództwu swoją część floty oraz oddać Rosji —

jako prawnemu następcy dawnego Związku Sowieckiego — całą broń nuklearną oraz wydzierżawić Rosji bazę w Sewastopolu wraz z całą przybrzeżną infrastrukturą. Na protesty Ukraińców padła groźba natychmiastowego przykręcenia kurków z ropą i gazem. Kiedy zaś generał Morozow — jako jedyny z delegacji ukraińskiej — przeciwstawił się temu energicznie, jego kolega, Graczow, zapytał go, czy Ukraina chce wojny z Rosją? Nad stołem obrad zawisło widmo serbskiego wariantu rozwiązania konfliktu. Ukraińska delegacja stanęła przed dylematem albo opuścić z protestem obrady i zwrócić się do własnej i światowej opinii z informacją o próbie pogwałcenia dotychczasowych układów i porozumień, lub pójść na drogę ustępstw. Zwyciężyła opcja na rzecz ugięcia się przed ultimatum Moskwy.

Porażenie i gorzki posmak klęski były tak wielkie, że Krawczuk dopiero na trzeci dzień po tych wydarzeniach odważył się na własną interpretację nowej rzeczywistości.

Pogłębienie kryzysu

Prezydent Ukrainy starał się ukryć przed opinią społeczną znaczenie doznanej porażki i zbagatelizować sprawę podpisaną w Jałcie tajnych protokołów. Twierdził z uporem, że niczego nie sprzedano i niczego definitywnie nie podpisano. Jest to niestety tylko część prawdy. Kijowskie pisma niezależne opublikowały w międzyczasie podrzucone im przez kogoś z delegacji teksty owych protokołów, z których wynika, że strona ukraińska zobowiązała się — i to podpisał Krawczuk — do utworzenia wspólnej komisji z Rosją, która w ciągu miesiąca ustali warunki sprzedaży Floty Czarnomorskiej przez Ukrainę wraz z całą przybrzeżną infrastrukturą. Drugi protokół dotyczy przekazania Rosji paliwa napędowego w rakietach nuklearnych w zamian za późniejsze dostawy uranu dla ukraińskich siłowni nuklearnych. Obydwa protokoły są wyjątkowo niekorzystne dla Kijowa, zwłaszcza jeśli się doda do tego ogłoszony przez Jelcyń plan wydzierżawienia na nieokreślony czas bazy w Sewastopolu, przy tym nie od państwa ukraińskiego, lecz od miejscowej gminy na Krymie. Umorzenie długów za marynarkę wojenną nie załatwia sprawy dostaw ropy i gazu na przyszłość i nie wiadomo, czego Rosja zażąda tytułem wyrównania późniejszych zadłużeń, zaś ewentualna zgoda Ukrainy na przyznanie Moskwie całej infrastruktury oznacza w praktyce utratę Krymu. Fatalne jest też, przewidziane w protokole wstępnym, oddanie paliwa z rakiet, gdyż rozbrojone zostałyby jedynie głowice, a same rakiety nośne pozostałyby w bunkrach, zaś ich usunięcie byłoby ogromnym obciążeniem dla Ukrainy.

Jałta oznacza w praktyce przekreślenie wszystkich sukcesów

dyplomacji ukraińskiej, dzięki którym Waszyngton rozpoczął rewizję dotychczasowej polityki ignorowania Ukrainy i przeszedł do koncepcji trójkąta USA-Rosja-Ukraina. Poderwano też duży sukces, którym było potępienie przez Radę Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, uchwały parlamentu rosyjskiego dotyczącej przyłączenia Sewastopola do Rosji. Była to pierwsza wielka dyplomatyczna akcja Ukrainy na międzynarodowym polu, znakomicie przygotowana i przeprowadzona przez wiceministra spraw zagranicznych, Borysa Tarsiuka, jedyne, jak mi się zdaje, wytrawne dyplomatę współczesnej Ukrainy. Strzelił sobie wreszcie do własnej bramki gola sam prezydent Krawczuk od dawna pracujący nad planem utworzenia śródkowoschodniej strefy bezpieczeństwa zbiorowego. Po odmowie Warszawy, która przestraszyła się konsekwencji ze strony Moskwy, prezydent Ukrainy schował plan do szuflady czekając lepszych czasów. Miejmy nadzieję, że idea takiego regionalnego paktu państw położonych między Rosją i Niemcami odżyje przy następcach Krawczuka lub znajdzie kontynuatorów w Warszawie lub w Budapeszcie, gdy tam dojdą do głosu ludzie większego formatu i o szerszych horyzontach, niż dzisiejsi politycy nad Wisłą i Dunajem.

Jeszcze gorsze są konsekwencje tej nowej Jałty w samej Ukrainie, przy czym nie jest ważne czy podpisane tam kapitulacyjne protokoły zostaną zrealizowane czy nie. Wystarczy aby w międzyczasie opublikowane materiały i kapitulacyjna postawa delegacji ukraińskiej dokonały kolejnych spustoszeń w dopiero powstającej tkance kultury politycznej. Samoblokada trójki, stojącej na czele urzędu prezydenta, rządu i parlamentu, czyli Leonida Krawczuka, Leonida Kuczmy i Iwana Pluszcza, przeszła obecnie w nową fazę „walki na górze”, jak ongiś miało to miejsce w Polsce między Wałęsą i Mazowieckim, z wiadomymi skutkami. Zresztą, mimo kunktatorstwa i braku decyzji Krawczuka, kompletnego chaosu się nie uniknie. Leonid Krawczuk był dotychczas bodaj jedynym rasowym politykiem z kunsztem łączenia i pośredniczenia pomiędzy bardzo różnymi regionami i mniejszościami narodowościowymi, które przecież tworzą jedną trzecią ludności. Wątpię, by po wrześniowej klęsce w Jałcie Krawczuk mógł jeszcze odzyskać swój dawny prestiż i autorytet. Zresztą, padło już z ust przywódcy Ruchu, Władysława Czornowiła oskarżenie prezydenta o zdradę stanu. Na zebraniu 9-go września powstał wspólny front większości partii politycznych i związków zawodowych przeciwko całej trójce przywódców. Jako pierwszy wyciągnął z tego konsekwencje premier Leonid Kuczma i 10 września podał się wraz z całym gabinetem do dymisji. Zresztą od czasu odejścia wicepremiera, Ihora Juchnowskiego, a ostatnio głównego architekta przygotowanych, ale nie zatwierdzonych re-

form gospodarczych, Wiktora Pynzenyka, był to już rząd kadłubowy. Kto i jak skleci nowy rząd — nie wiadomo. Ale nawet jeśli uda się komuś powołać nowy gabinet, będzie to rozwiązanie prowizoryczne. Tylko nowe wybory mogą doprowadzić do utworzenia rządu odzwierciedlającego rzeczywisty układ sił politycznych. Czym szybciej to nastąpi, tym większa rękojmia, że młode państwo ukraińskie nie stoczy się w otchłań katastrofy.

Czego chce Rosja

Nagły zwrot w polityce Rosji Jelcyna wobec Ukrainy stawia na porządku dziennym kwestię, jak do tego doszło, jakie są przyczyny i co z tego może wyniknąć. A tym bardziej, że Krawczuk był jedynym wpływowym partnerem dla prezydenta Rosji, co w jego skomplikowanej sytuacji z parlamentem, ugrupowaniami staro i nowokomunistycznymi, jak też ultraprawicowymi i ruchami odśrodkowymi w większości prowincji Federacji Rosyjskiej, nie powinno chyba było być sprawą obojętną. A chyba i dla Jelcyna jest jasne, że jeśli Ukraina pogrąży się w wirze destabilizacji, musi się to tak czy inaczej odbić na losach jego państwa. Skąd więc to uderzenie w partnera, który na wiosnę, w okresie nasilenia kryzysu władzy w Moskwie, udzielił mu publicznie poparcia. Żadnego klucza do rozwiązania tej zagadki na razie nie ma, ale istnieją w Moskwie, w kołach dziennikarskich, rozmaite wersje interpretujące kulisy przemian. Jedna z nich wynika z bardzo prostej przesłanki, że Jelcyn w walce z brunatno-czerwoną opozycją, musiał sobie pozyskać na okres przejściowy poparcie armii i marynarki, a generalicja rosyjska jest nastawiona wrogo do suwerenności Ukrainy i domaga się ograniczenia jej samodzielności, zwłaszcza na polu militarnym. Według tych spekulacji antyukraińskie zagranie Jelcyna było czysto taktycznym manewrem. Prezydent Rosji nie zdawał sobie rzekomo sprawy z tego, że taka polityka może osłabić prez. Krawczuka i wywołać nastroje antyrosyjskie na Ukrainie. Niejako potwierdzeniem tej tezy mogłoby być widoczne zakłopotanie Jelcyna po wybuchu fali protestów przeciwko Krawczukowi na Ukrainie. Rząd rosyjski poszedł też w międzyczasie na ustępstwa w kwestii dodatkowych dostaw ropy naftowej oprócz przewidzianego w umowach międzypaństwowych kontyngentu. Zaś po eksplozji w Zakładach Metalurgicznych w Dnieprodzierżyńsku, gdzie zginęło kilku robotników, Jelcyn skierował do Krawczuka orędzie z wyrazami współczucia w niezwykle serdecznym tonie. Czyżby gest ten miał świadczyć, że stosunki rosyjsko-ukraińskie nabrały innych wymiarów? Praktycznie Jelcyn pozbawił się sam solidnych i wpływowych partnerów w Kijowie.

Niechęć i gniew w stosunku do Rosji wzmożyły się też na skutek okoliczności niezależnych od Jałty. Najpierw stało się to podczas sesji wyjazdowej Światowej Rady Ukraińców, zrzeszającej około dwóch milionów emigrantów na Zachodzie i około pięciu milionów w Rosji, Azji Środkowej i krajach bałtyckich. Narady odbywały się w Kijowie i w starej stolicy Kozaczyzny, Czyhirynie. Wyjazd do tej miejscowości związany był z przygotowaniem do jubileuszu czterechsetlecia urodzin hetmana Bohdana Chmielnickiego, przypadającego w 1995 roku. Zniszczenie wszystkich śladów państwa kozackiego, pałacu, cerkwi, fortyfikacji a nawet grobu i szczątków hetmana uprzytomniło uczestnikom rolę Rosji w okupowanej Ukrainie.

A zaraz potem, bo w dniach pomiędzy 10 i 12 września cała Ukraina okryła się żałobą w 60-ą rocznicę masowego głodu zorganizowanego przez Stalina w latach 1932–33. Na sesjach naukowych z udziałem uczonych z zagranicy po raz pierwszy rozpatrzono wszystkie aspekty tej zbrodni. Moskwa niestety nie udostępniła badaczom archiwów Politbiura i NKWD. Ale na podstawie dostępnych obecnie na Ukrainie dokumentów i ze świadectw żyjących jeszcze ofiar, wyłonił się pełniejszy niż dotychczas obraz tamtych lat. Krawczuk w przemówieniu inauguracyjnym powiedział, że chodziło o złamanie kręgosłupa i głównej narodowej substancji Ukrainy. Prezydent obliczył, że ogólna liczba ofiar trzech okresów zorganizowanego na rozkaz Moskwy głodu w latach 1922, 1932–33 i w 1946 roku wyniosła 15 milionów. W dzień później odbyło się odsłonięcie pomników-kurhanów. Największy kopiec usypano koło Połtawy, inne koło Żytomierza i w stepach naddnieprzańskich. Zaś 11 września w Kijowie odbył się symboliczny trybunał na wzór procesu norymberskiego z udziałem żyjących świadków zbrodni. Skazano w nim Politbiuro moskiewskie ze Stalinem, Mołotowem, Woroszyłowem i Kaganowiczem na czele. A w niedzielę, 12 września, ulicami Kijowa i innych miast przeszły procesje żałobne. I chociaż te dni żałoby narodowej przebiegały w dyscyplinie i godności, bez jakichkolwiek szowinistycznych antyrosyjskich wybryków czy haseł, to jednak przywrócenie historycznej pamięci o jednej z najstraszniejszych zbrodni przeciwko ludzkości ożywiło refleksje i dyskusje o roli Rosji jako głównego winowajcy katastrof i nieszczęść Ukrainy aż po Czarnobyl i po nową Jałtę. Daremnie czekano na jakiś gest Jelcyna lub przynajmniej grupy demokratów rosyjskich. Tylko prezydent Clinton przysłał wyrazy współczucia i słowa nadziei, że epoka nieszczęść już raz na zawsze dla Ukrainy minęła.

Milczenie Moskwy w dniach narodowej żałoby pogłębiło równieufności i podejrzliwości Ukraińców. Umocniło obawy wynikające z zupełnie odmiennej, niż wspomniana wcześniej, wersji o genezie i przyczynach zmiany kursu Jelcyna. Polega ona na przekonaniu obserwatorów w Kijowie, że Moskwa przystąpiła do realiza-

cji planu odbudowy imperium rosyjskiego. Pierwsze kroki w tym kierunku stawiane były przed kilkanaście miesięcy, kiedy to Jelcyn wystąpił z żądaniem, aby państwa zachodnie dały Rosji *placet* na przewodnictwo i kontrolę nad całym terytorium dawnego Związku Sowieckiego. Ukraina była wówczas pierwszym państwem, które oficjalnie zaprotestowało przeciwko tym apetytom. Za nią poszły kraje bałtyckie. I zdaje się nikt więcej. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to Polska dyskretnie przemilczała widmo nowej zaborczości. Potem nastąpiło milczenie, ale za to armia rosyjska rozpoczęła dzieło interwencji w krajach ościennych pod płaszczykiem misji pokojowych. Ale wraz z kontyngentami wojsk generał Graczow tworzył nowe bazy, a premier Czernomyrdin przygotowywał nową koncepcję więzi ekonomicznych i przywrócenia jednolitego obszaru płatniczego na bazie rubla, zaś specjaliści doradcy prezydenta Rosji, jak Kostikow i Stankiewicz, opracowali plan regeneracji sojuszu politycznego i wojskowego. Główną przeszkodą na tej drodze były państwa w basenie Morza Czarnego i Kaspijskiego: Ukraina, Gruzja i Azerbejdżan. Drogą umiejętnego podsycania wojen regionalnych między Ormianami i Azerami oraz pomiędzy Gruzinami i Abchazami, Rosja włączyła się jako pośrednik, osłabiając tym samym suwerenność Tyflisu i Baku. Na placu boju pozostała właściwie tylko Ukraina, którą należało najpierw izolować a następnie sterroryzować wojną ekonomiczną. Przedtem jednak Jelcyn postanowił — jak mu doradzali jego zausznicy — przeciąć rzekomą oś polsko-ukraińską. Stąd przyspieszenie podróży do Warszawy i zalecanki do Wałęsy, stąd „zezwolenie” na udział Polski w NATO i stąd hojna propozycja w sprawie rurociągu gazowego do Niemiec via Polska z pominięciem Ukrainy. Drugą operacją było wysłanie do Stanów Zjednoczonych premiera Czernomyrdina dla wzmocnienia pozycji Rosji przeciwko Ukrainie w Białym Domu. Obydwa pociągnięcia zostały przeprowadzone bez najmniejszych podejrzeń w Warszawie i Waszyngtonie. Ani polski wywiad, ani amerykańscy agenci nie mieli najmniejszych informacji o zbliżającej się batalii przeciwko Ukrainie w Jałcie. Pani premier Suchocka zdaje się przeczuła na co się zanoszi i w swoim wykładzie w Ośrodku Studiów Wschodnich 31 sierpnia wyliczyła 4 priorytety polskiej polityki zagranicznej w takiej oto kolejności: 1. Grupa Wyszehradzka, 2. linia Warszawa-Berlin-Paryż, 3. Polska-Ukraina, 4. Polska-USA. Czy była to świadoma kontra przeciwko nowemu rusofilstwu w Belwederze? Tak przynajmniej odczytano to w Kijowie, uznając jednocześnie, że tzw. Rada Konsultacyjna Wałęsy z Krawczukiem przemieniła się istotnie w fikcję. Tylko obawiam się, że oferta pani Suchockiej spóźniła się w czasie.

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: Według Instytutu Gospodarki Niemieckiej IW Niemcy zajmują nadal pierwsze miejsce w ilości czasu wolnego i najmniejszej liczby godzin roboczych rocznie (1647) i w porównaniu do Wielkiej Brytanii pracują mniej o 107 godzin, do Francji 116 i Japonii 528 godzin. Absencja robotnika niemieckiego wynosiła w ciągu roku 148 godzin, a japońskiego 36 godzin. Osłabia to konkurencyjność gospodarki niemieckiej. ■ Kilkanaście niemieckich koncernów zawarło umowy z krajami WNP na modernizację i rozbudowę tamtejszego przemysłu energetycznego. ■ Według analizy Caritasu niemieckiego, przed 20 laty biedą zagrożeni byli głównie renciści, dziś głównie rodziny wielodzietne i osoby samotnie wychowujące dzieci. ■ Zdaniem federalnego ministra gospodarki Rexrodta, konkurencyjność gospodarki niemieckiej cierpi głównie z powodu zbyt dużych wydatków na świadczenia socjalne dla pracowników rządu 37 % sumy kosztów osobowych. Godzina pracy robotnika przemysłowego w Niemczech kosztuje 42 marki, w Japonii 30 a w USA 25 marek. Rexrodt zażądał też zwiększenia możliwości pracy w soboty i niedziele. ■ Z powodu złych doświadczeń na terenie nowych landów inwestorzy azjatyccy wycofują się z planowanych tam inwestycji. Odstraszają ich głównie wysokie koszty produkcji, niewyjaśnione stosunki własnościowe i zła infrastruktura. ■ W ciągu 4 pierwszych miesięcy br. liczba założeń nowych firm w Niemczech Wschodnich zmalała o 16 %. Założono w tym okresie 67 800 a zlikwidowano 42 200 firm. ■ Koncern Volkswagena podpisał umowę o założeniu firmy *joint venture* „Volkswagen-Polen” z zakładami produkcji ciągników rolniczych „Polmo”. Przewidziano możliwość przejęcia ponad 50 % udziału w tej firmie przez Volkswagena. ■ Niemieckie inwestycje w Rosji wynoszą obecnie 140 milionów marek, z których połowa oparta jest o gwarancje federalne. Wzajemna wymiana handlowa między Niemcami a krajami WNP zmalała w roku 1992 o 28 % w porównaniu do roku poprzedniego. ■ Co trzeci mieszkaniec nowych landów uczestniczy w kursach kształcenia zawodowego. ■ Zdaniem instytutu „Prognos” z Bazylei wyrównanie dochodów w landach wschodnich i zachodnich nastąpi dopiero w roku 2010. ■ Mimo zwiększenia efektywności produkcji pracowników w Niemczech Wschodnich wynosi ona tylko 37 % efektywności robotników zachodnioniemieckich. ■ Wartość wymiany handlowej między Polską a Niemcami zwiększyła się w ciągu ostatnich

2 lat o połowę do 16,5 miliarda marek. Zwiększył się polski eksport do Niemiec, zmniejszył natomiast import towarów niemieckich: w roku 1991 o 65 %, a w roku 1992 ponownie o 50 %. ■ Na tle rosnącej liczby bezdomnych w Niemczech (dane szacunkowe: ok. 1 miliona) rozważa się możliwość budowy tanich mieszkań o najprostszym wyposażeniu. ■ Podczas światowego kongresu nt. AIDS poinformowano, że Berlin znajduje się na 1 miejscu w Niemczech pod względem liczby osób zarażonych wirusem HIV (8700) i co piąta osoba jest w stadium chorobowym. Przyczyn tego stanu rzeczy doszukuje się w fakcie, że żyje tam 200 000 homoseksualistów i 10 000 osób uzależnionych od narkotyków. ■ **POLITYKA:** Zdaniem niemieckiego ministra ochrony środowiska wojny o wodę są na całym świecie coraz bardziej realne. ■ Po raz pierwszy w historii RFN powołano do życia dwa mieszane niemiecko-amerykańskie korpusy wojskowe, które minister obrony Rühe określił mianem „centralnego elementu nowej struktury obronnej NATO”. ■ Według wyników reprezentatywnej ankiety holenderskiego Instytutu Clingedael w Den Haag opublikowanych w Niemczech, 71 % młodych Holendrów między 15 a 19 rokiem życia uważa Niemców za „żądnych panowania”, 60 % za aroganckich, 47 % twierdzi, że Niemcy chcą panować nad światem, a 46 % sądzi, że Niemcy pragną wojny. ■ Z ostrą krytyką antysemityzmu polskiego wystąpił przewodniczący Centralnej Rady Żydów w Niemczech Inatz Bubis, który uważa, że „Polacy są większymi antysemitami, niż Niemcy”. Jego zdaniem prawie 1/3 Niemców jest zdecydowanie antysemicka. ■ Przedstawicielstwo Ambasady Polskiej w Berlinie przeniesione zostało na ulicę Unter den Linden w centrum miasta. ■ Zdaniem Niemieckiej Służby Ochrony Konstytucji ugrupowania neonazistowskie w Niemczech są coraz lepiej zorganizowane i coraz bardziej koordynują swoje akcje. ■ Centrum Szymona Wiesenthala w Los Angeles ostro skrytykowało rząd RFN za rzekome pomniejszanie wymiaru sceny neonazistowskiej w Niemczech. Opinię swą Centrum opiera na danych zebranych przez dziennikarza izraelskiego Jarona Svoraya, który pod przybranym nazwiskiem działał przez 6 miesięcy we wschodnioniemieckich organizacjach neofaszystowskich. ■ W Moguncji zlikwidowano tzw. „Narodową centralę informacji telefonicznej” prowadzoną przez neofaszystów. Przez telefon można tam było uzyskać m.in. informacje na temat planowanych marszów, spotkań i koordynacji demonstracji. ■ 80 % sprawców ekscesów skrajnie prawicowych w ub.r. było poniżej 21 lat. ■ Niemieckie kraje związkowe wyasygnują 10 milionów marek na prace konserwatorskie w obozie-muzeum Oświęcimiu-Brzezince. ■ Decyzją Bundestagu, cudzoziemcy, którzy padli w Niemczech ofiarą aktów przemocy, będą mogli otrzymać — podobnie jak Niem-

cy — odszkodowanie finansowe, o ile żyją tam legalnie co najmniej trzy lata. Poniżej trzech lat odszkodowanie jest niższe, co ma zapobiec nadużyciom. ■ Zdaniem prezydenta Bundestagu, pani Rity Süsmuth, od roku 1945 Niemcy zmienili się żyjąc w stabilnej demokracji, co udowodniły m.in. masowe demonstracje na rzecz cudzoziemców i przeciw faszyzmowi. ■ Rząd RFN planuje wprowadzenie ułatwień w przyznawaniu obywatelstwa niemieckiego dla cudzoziemców żyjących w Niemczech, odrzucając równocześnie generalną możliwość posiadania podwójnego obywatelstwa. ■ Parlamentarzyści izraelscy zażądali od Bonn, by Niemcy przyjmowały mniej Żydów z krajów WNP, którzy mieli pierwotnie wyjechać do Izraela. Niemiecki ambasador w Izraelu oświadczył w odpowiedzi, iż „moralna wina Niemców w stosunku do Żydów zabrania odrzucania emigrantów żydowskich. ■ Największa gmina żydowska w Niemczech znajduje się obecnie w Berlinie, gdzie żyje 10 000 z ogółem ok. 42 000 Żydów w Niemczech. ■ Nagrodę im. Immanuela Kanta fundacji F.V.S. z Hamburga przyznano w tym roku Edwardowi Szewardnadze za jego wkład do polityki europejskiej. ■ Według danych opublikowanych przez drugi program telewizji Niemieckiej ZDF tajne plany NATO przewidują udział Bundeswehry również na terenie Bośni. ■ Od stycznia do końca czerwca br. niemiecka służba graniczna schwytała na granicy niemiecko-polskiej 11 747 nielegalnych imigrantów. ■ W czerwcu w miejscowości Preschen w pobliżu granicy z Polską powołano do służby Luftwaffe Myśliwski Szwadron Lotniczy nr 73, latający na 24 samolotach Mig-29 przejętych od byłej armii NRD. ■ 60 % Niemców wypowiada się przeciwko wprowadzeniu waluty europejskiej. ■ Z sumą 103 milionów marek w ub.r. Niemcy przodują w prywatnych składkach na rzecz UNICEF-u. ■ Chrześcijańscy Demokraci (KDS) w Czechach dyskutują nad możliwościami ponownego nadania obywatelstwa czeskiego wypędzonym Niemcom Sudeckim. Jednym z głównych warunków ma być znajomość języka czeskiego. ■ Związek Niemców w Czechach powrócił do swej dawnej nazwy „Związek Kulturowy Obywateli Niemieckich w Republice Czeskiej”. Obecnie liczy on 6000 członków. ■ Prokuratura niemiecka prowadzi dochodzenia w sprawie wywozu przeważnie wysokotoksycznych odpadów przemysłowych z Niemiec do Rumunii, Albanii i na Ukrainę. ■ Rząd krajowy Dolnej Saksonii podpisał umowę kooperacyjną z władzami województwa poznańskiego i wrocławskiego w zakresie ochrony środowiska, gospodarki oraz wymiany młodzieżowej i kulturalnej. ■ KULTURA: Medal im. Theodora Heussa przyznano w tym roku organizacji polsko-niemieckiej o nazwie „Fundacja Krzyżowa-Kreisau”. ■ Nie przyniosły efektów nowe rokowania na rzecz zjednoczenia PEN-Klubu zachodnio i wschodniemieckiego. Obok

nich istnieje też emigracyjny PEN-Klub niemiecki założony w roku 1933 w Londynie. ■ W Lubece otwarto Centrum Thomasa i Heinricha Manna znajdujące się w słynnym „domu Budenbrooków”. ■ Po zjednoczeniu Niemiec organizacja wymiany stypendystów Deutscher Akademischer Austauschdienst DAAD przejęła 11 000 stypendystów z byłej NRD pochodzących z 78 krajów. ■ Nowym prezydentem Instytutu Goethego w Niemczech został Hilmar Hoffman. ■ Przewodniczący organizacji Serbów Łużyckich „Domowina” Bernhard Ziesch skrytykował przeprowadzoną przez rząd Saksonii reformę administracyjną, która jego zdaniem rozrywa historyczne więzi terytorialne i zagraża integralności oraz swobodnemu rozwojowi żyjących w tych regionach ogółem 60 000 Łużyczan. ■ W lipskich targach książkowych wzięło udział 800 wydawców z kraju i z zagranicy. W ich ramach odbyło się również spotkanie 2000 bibliotekarzy niemieckich i zagranicznych. ■ Teatry w Berlinie z liczbą 3,2 miliona rocznie mają więcej widzów niż wszystkie spotkania piłkarskie Bundesligi w roku 1990. ■ Senat założycielski Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą wydał decyzję utworzenia fakultetu kulturoznawczego w semestrze zimowym 1993/94. ■ W gronie 26 wybranych spośród 200 kandydatów do stypendium dla żyjących w Berlinie autorów znalazł się m.in. Aleksander Wirpsza. ■ Na początku czerwca we Frankfurcie nad Odrą i w Słubicach odbyło się drugie niemiecko-polskie „Święto Odry”. ■ Ukraina zwróciła Niemcom 32 dzieła sztuki, które znalazły się tam w czasie II wojny światowej. ■ W izraelskim miejscu pamięci narodowej Yad Vashem i w Germańskim Muzeum Narodowym (GNM) w Norymberdze otwarte zostały równocześnie biblioteki z literaturą na temat holocaustu, faszyzmu i neofaszyzmu wydaną w Izraelu i w Niemczech. ■ W wyniku cięć oszczędnościowych władze Berlina postanowiły zamknąć kilka dużych ośrodków kulturalnych, w tym również renomowany Teatr im. Schillera „Schiller Theater”.

Andrzej STACH

Niemieckie wydanie „Dekady Literackiej”

W Krakowie ukazał się niemieckojęzyczny numer wydawanego w tym mieście pisma *Dekada Literacka*. Sponsorami niezwykle starannej edycji są: Fundacja Stefana Batorego, konsulat austriacki w Krakowie, krakowski oddział Instytutu Goethego oraz Fundacja Roberta Boscha. Warto przy okazji zauważyć, że jest to już druga tego rodzaju inicjatywa krakowskiego pisma — ma ona, podobnie jak poprzednia służyć ożywieniu dialogu środkowoeuropejskiego. Cokolwiek by to mogło znaczyć, jest to pomysł cenny już choćby dlatego, że pozwala czytelnikom niemieckojęzycznym poznać nie tylko teksty prezentowanych tu autorów polskich — m.in. debiutanckie wiersze Mariusza Baryły, niezłe zresztą — lecz także sposób bycia jednego przynajmniej środowiska literackiego w Polsce: oczywiście sposób bycia wyrażany w redagowaniu *Dekady*.

Obecna edycja poświęcona jest przede wszystkim problemom związanym z eksplozją nastrojów nacjonalistycznych, bodaj więc centralnym sprawom kontynentu, także jego kultury, dla której eksplozja ta stanowi wyzwanie. Temu zespołowi zagadnień poświęcony jest esej Władysława Bartoszewskiego „Patriotyzm — nacjonalizm”, którego zakończenie nie brzmi zbyt optymistycznie — pisząc o perspektywach ale i trudnościach integracji środkowowschodnich i zachodnich obszarów kontynentu podkreśla autor, że trapią go obawy o to czy proces integracyjny będzie dostatecznie szybki, by zakończyć się sukcesem: „Niewiele da odwoływanie się do wspólnych korzeni, co często sam robię. Wspólna przeszłość temu nie zaradzi a pęknięcie przebiegające przez środek Europy — jeżeli nie zaczniemy go już teraz zasypywać — będzie się nadal poszerzało, dzieląc nas niedługo bardziej skutecznie, niż kiedyś żelazna kurtyna”. Sąsiadujący z esejem Bartoszewskiego szkic wiceprezydenta Austrii Erhardta Buska „rekonstrukcja Europy” także wskazuje na zagrożenie wynikające z braku ogólnoeuropejskiej perspektywy — szczególnie w polityce krajów postkomunistycznych.

Niezwykle interesujący jest w tym numerze *Dekady* wywiad z żyjącym na Litwie pisarzem Grigorijem Kanowiczem. Odpowiadając na pytanie czy jest autorem żydowskim, rosyjskim, czy litewskim, stwierdza: „Wielokrotnie już powtarzałem, że nie jestem pisarzem żydowskim, ponieważ piszę po rosyjsku. Nie

jestem pisarzem rosyjskim, gdyż piszę o Żydach. Nie jestem pisarzem litewskim, ponieważ piszę o Żydach po rosyjsku, a rosyjski jest obecnie traktowany na Litwie jak każdy język obcy, podobnie jak szwedzki, swahili czy angielski. Jestem więc we własnej ojczyźnie pisarzem obcym”. Przykład Kanowicza ukazuje więc w niezwykle ostrym świetle problem europejskiej tożsamości i splątanych losów mieszkańców kontynentu.

I jeszcze jeden wywiad w *Dekadzie* uznać należy za niezwykle ważny. Jest nim rozmowa z niemieckim poetą Rainerem Kunze, tłumaczonym zresztą w Polsce przez Ryszarda Krynickiego i Jakuba Ekierta. Kunze, pozbawiony swego czasu obywatelstwa NRD, ze szczególną uwagą obserwuje rozwój sytuacji w zjednoczonych Niemczech. Odpowiadając na pytanie o źródła obecnej fali wystąpień nacjonalistycznych stwierdza jednoznacznie, że jest ona w Niemczech przede wszystkim spadkiem po wychowaniu w komunizmie. Wychowanie to oduczyło całe społeczeństwo, w tym głównie młodzież, życia w wolności i poczuciu odpowiedzialności za siebie. Dziś duża część społeczeństwa byłej NRD poszukuje więc jakiejś namiastki autorytarnych instytucji, podejmujących decyzje za obywateli a jednocześnie gruntujących poczucie bezpieczeństwa. Znajduje je w ruchach nacjonalistycznych. Ta refleksja wydaje się niezwykle trafna i więcej wyjaśniająca niż zestawienia z nazizmem.

Ważny jest też artykuł Jana Prokopa o antynacjonalistycznej linii paryskiej *Kultury*, w szczególności jej redaktora, Jerzego Giedroycia. Podkreśla Prokop, że właśnie temu piśmu zawdzięczać należy, iż w polskich elitach istnieje dziś tak duża otwartość i gotowość do dialogu z sąsiadami.

Pismo przynosi jeszcze szereg innych ważnych i interesujących materiałów, między innymi dość kompetentnie zestawiony przegląd intelektualnych periodyków środkowoeuropejskich — z konieczności jednak niekompletny. Wśród pism niemieckich brak mi pisma o szczególnie ważnej roli — *Europäische Ideen*, a także świetnie redagowanego kwartalnika literackiego, *Akzente*. Polską prasę reprezentują *Zeszyty Literackie* i *brulion* — szkoda, że nie znalazło się dość miejsca dla *Kresów*, których „środkowoeuropejskość” jest chyba bardziej czytelna niż *brulionu*, a także dla warszawskiego miesięcznika *Res Publica Nowa*.

Leszek SZARUGA

posunięciach prezydenta Clintona — w Polsce bowiem nastąpiła wprost monstrualna rozbudowa biurokracji. Przykładem jest chociażby kancelaria Prezydenta licząca kilkaset osób, albo ostatnia decyzja Min. Obrony Narodowej, który rozbudowuje nieprawdopodobną ilościowo służbę prasową w wojsku.

Notatki Redaktora

Komitet Społeczny Rady Ministrów przedstawił rządowi projekt, który przewiduje likwidację Urzędu Rady Ministrów. Urząd Rady Ministrów ma być podzielony na 4 instytucje: Sekretariat Generalny Rządu, Dykcja Generalna Administracji Publicznej, Dykcja Generalna do Spraw Wyznań oraz Urząd do Spraw Integracji Europejskiej. Przewiduje się również utworzenie Gabinetu Premiera. Obsada tych funkcji będzie miała charakter polityczny, natomiast pozostali urzędnicy mają być apolityczni i nie podlegający zmianom politycznym. Został także przedstawiony projekt ustawy o państwowej Służbie Cywilnej. Najważniejszą w tym projekcie jest zasada, że kierownik resortu nie będzie miał wpływu na politykę personalną swego urzędu. Minister będzie mógł tylko stworzyć własny gabinet, złożony z pracowników dobranych według kryteriów politycznych. O zatrudnieniu urzędników ma decydować apolityczny Sekretarz Generalny. Urzędnikom zabrania się manifestowania swoich poglądów politycznych. By otrzymać statut urzędnika państwowego będą wprowadzone odpowiednie egzaminy. Projekty te są niewątpliwie dużym krokiem w organizowaniu aparatu państwowego. Natomiast wydaje mi się, że to musiałoby być połączone również z reorganizacją samego rządu. Należy zlikwidować Ministerstwo Kultury jak również Ministerstwo Edukacji Narodowej, a na ich miejsce powołać do życia, na wzór przedwojenny, Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, z dwoma podsekreterzami Stanu: od spraw kulturalnych i religijnych. Przewidywana Dykcja Generalna do Spraw Wyznań przeszłaby automatycznie do tego Ministerstwa. Najważniejsza jednak jest konieczność drastycznej redukcji urzędników państwowych wzorując się chociażby na

Rządowe projekty nowego podziału terytorialnego, ogłoszone w czerwcu br. wydają mi się bardzo przedwczesne. Projekt jest nie dopracowany, nie mówiąc już o ogromnych kosztach tego rodzaju reformy. Należałoby go odłożyć do chwili przedyskutowania i przeanalizowania go przez nowy sejm.

Kampania przedwyborcza była prowadzona z całkowitym nieliczeniem się z interesami państwa i przyniosła wręcz nieobliczalne szkody. Przeworsowano akceptację Konkordatu w chwili kiedy parlament został rozwiązany a rząd był przejściowy, nie mówiąc już o tym, że treść Konkordatu była do ostatniej chwili traktowana jako tajemnica. Naturalnie prezydent liczył, że uzyska w ten sposób poparcie Kościoła dla swego BBWR.

Telewizja została całkowicie podporządkowana Belwedrowi dla akcji wyborczej Prezydenta. Artykuł Małcużyńskiego, jr. jest niesłychanym dokumentem — jego zarzuty nie spotkały się z żadnymi wyjaśnieniami.

Nie oszczędzono również wojska i policji dopuszczając kandydatury wojskowych i policjantów. Kandydaci ci prowadzili wręcz oficjalną propagandę wykorzystując aparat wojska i policji. Te przywileje dotyczyły tylko kandydatów BBWR-u; minister MON-u posunął się nawet tak daleko, że zapowiedział sankcje dla wojskowych którzy kandydowałiby z list antyprezydenckich!

Szczytem wszystkiego było wystąpienie min. Sprawiedliwości Jana Piątkowskiego, który zadecydował o prowadzeniu przez Polskę samodzielnego śledztwa w sprawie zbrodni katyńskiej, domagając się m.in. ekstradycji żyjących jeszcze rosyjskich sprawców zbrodni. I to zrobiono w chwili wizyty Borysa Jelcyna w Polsce, która przez nas była traktowana jako sukces. Decyzję tę p. Piątkowski podjął bez wiedzy czyn-

ników rządowych. W normalnym kraju taki minister byłby z miejsca usunięty i odpowiadałby przed Trybunałem Konstytucyjnym.

Do akcji wyborczej zostały wciągnięte nawet trumny, jak sprowadzanie zwłok gen. Sikorskiego czy prezydenta Mościckiego. To wszystko da chyba skutek wprost odwrotny.

Jak lekceważąco traktuje się społeczeństwo przykładem było przyjęcie organizowane przez wojewodę warszawskiego w rocznicę bitwy pod Radzyminem. Jak daleko znieczulica jest posunięta świadczy udział w tej imprezie: prezydenta, prymasa, a nawet córki Marszałka Piłsudskiego. Koszta tej imprezy zostały zatajone przed opinią publiczną.

Najwyższy czas skończyć z tak zwaną „lustracją”, która zatruwa życie polityczne w Polsce. Należałoby, moim zdaniem, uchwalić analogiczną ustawę do tej jaką uchwalił parlament czeski 12 lipca br., która precyzuje pociągnięcie do odpowiedzialności za wszelkie zbrodnie i przestępstwa popełnione w okresie rządów komunistycznych.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Scalanie literatury kresowej

Kresy mają literaturę bogatą, lecz w gruncie rzeczy nieuporządkowaną. Są sprawą emocji raczej niż rozumiejącego namysłu, co skądinąd wydaje się oczywiste. Są także obdarzone równie skomplikowaną historią jak refleksja o nich — refleksja, która dziś dopiero może swobodnie i bez przemilczeń dojść do głosu. Publikacji Kresom poświęconych w ostatnich latach wciąż przybywa i można mieć nadzieję, że to dopiero początek szerszego nurtu. Wśród książek, które w ostatnich latach poświęcone zostały tej problematyce wymienić przede wszystkim należy „Huculszczyznę w literaturze polskiej” Jana A. Choroszego oraz przez niego i Jacka Kolbuszewskiego zredagowany zbiór szkiców „Świat Vincenza”. Oczywiście — nie wolno zapominać o olbrzymim, choć rozproszonym dorobku badań nad literaturą kresową na emigracji czy choćby nie wspomnieć o tomie szkiców Włodzimierza Paźniewskiego „Życie i inne zajęcia”, który co prawda tylko dotykał tej problematyki, ale wskazywał zarazem najczulsze jej miejsca.

W chwili obecnej można już chyba mówić o powstaniu książki, która musi stać się jednym z najważniejszych punktów orientacyjnych dla tych wszystkich, którzy chcą się w przyszłości poświęcić badaniom literatury związanej z Kresami. Jest nią monografia Bolesława Hadaczka „Kresy w literaturze polskiej XX wieku”*, praca będąca owocem żmudnych i cierpliwych rozpoznań tego tematu. Dwa pierwsze rozdziały tej pracy mają charakter ogólny: w pierwszym autor przedstawia, w nieunięzionym skrócie, Vorgeschichte XX-wiecznej literatury kresowej; w drugim zajmuje się charakterystyką poszczególnych gatunków

* Bolesław Hadaczek: *Kresy w literaturze polskiej XX wieku. Szkice*, Szczecińskie Wydawnictwo Archidiecezjalne „Ottonianum”, Szczecin 1993, s. 224, ISBN 83-7041-096-0.

i tematów tego pisarstwa. Przytaczając sąd Estreichera, że powstaje „nowa gałąź literatury, jakiej żaden inny naród posiadać nie będzie” ma Hadaczek niewątpliwie rację w odniesieniu do okresu Dwudziestolecia, jednakże już dziś, po II wojnie światowej, owa wyłączność Polakom nie przysługuje: podobna literatura od niemal półwiecza powstaje w Niemczech, przy czym zresztą ma ona często „punkty wspólne” z naszym pisarstwem — jak w twórczości Grassa, Bobrowskiego czy Lentza. To jednak zagadnienie osobne, wspominam o nim jedynie dlatego, iż warto to akurat doświadczenie literackie, jakim jest pisarstwo poświęcone Kresom, rozpatrywać dziś w szerszym niż polski kontekście. Przy czym nie można wykluczyć, że podobne wątki mogą się z czasem pojawić w literaturach narodów wyzwolonych spod sowieckiej dominacji i przede wszystkim w samej Rosji.

W omówieniu literatury kresowej sprzed roku 1918 autor w jednym z przypisów sygnalizuje sprawę niesłychanie interesującą i szkoda, że nie zanalizowaną szerzej. Píše: „Na Kresach występowało zjawisko bilingwizmu: pisarze polscy tworzyli również w języku ukraińskim, białoruskim, litewskim, rosyjskim, np. T. Padurra, W. Syrokomla, W. Sieroszewski, B. Leśmian, L. Gomolicki”. Rzecz domaga się tym bardziej szerszego rozpatrzenia, iż np. Tymko Padurra — w odróżnieniu od pozostałych, których Hadaczek przywołuje — ma nie do końca określone miejsce w przestrzeni między literaturami polską i ukraińską, jest też przez to twórcą i tłumaczem niemal całkowicie zapomnianym i chyba niesprawiedliwie pomniejszonym.

Dwa kolejne rozdziały książki Hadaczka poświęcone są dwóm nurtom literatury kresowej ukazany w twórczości konkretnych pisarzy. Pierwszy to kontynuacja „szkoły litewsko-białoruskiej” w dziełach Miłosza, Konwickiego, Żakiewicza i Mackiewicza. Interesujące wydają się sądy autora o ostatnim z autorów zawarte w rozdziale „Demityzacja Kresów Józefa Mackiewicza”. W jego zakończeniu czytamy: „Mackiewicz zdemityzował Kresy północne, ów rzekomy 'polski raj'. Jego Kresy nie są wyspami szczęśliwości. (...) Wilno to wprawdzie „miłe miasto”, ale jego mieszkańcy nieraz tłukli się pałkami i kamieniami, awanturowali po ulicach i świątyniach — to miasto zawiści, nietolerancji i wzajemnych pretensji. Autor ukazał końcowe fazy rozjątrzonej wojnami i zdeintegrowanej przez komunizm wspólnoty kresowej. Demontując literacki mit, Mackiewicz odważnie wygarnął całą swoją zbrutalizowaną prawdę o Kresach”. Dziś, gdy mit Kresów znów odżywa, te uwagi odwołujące się do twórczości pisarza tyleż z Wilnem związanego, co drapieżnie realistycznego — wydają się szczególnie godne uwagi. Mit Kresów jest mitem z wielu względów ufundowanym na sentymentalnym samooszustwie Polaków. Mechanizm owego samooszu-

kiwania siebie jest zrozumiały, lecz to nie znaczy, że winien być w pełni aprobowany. I ma rację jeden z pisarzy omawianych przez Hadaczka w kolejnym rozdziale — poświęconym „szkole ukraińsko-podolskiej” — Włodzimierz Odojewski, gdy się szkicu pomieszczonym w jednym z ostatnich numerów *Odry* nakazuje „zastanowić się nad nie tylko naszym charakterem narodowym, ale i nad mitami, które na temat tego charakteru przez dziesięciolecia, ku pokrzepieniu serc, tworzyliśmy”. W tym samym rozdziale zajmuje się autor „Kresów” także pisarstwem Vincenza, Kuśniewicza, Buczkowskiego, Chciuka, Strykowski, Wittlina i Stojowskiego. Szczególnie ważne wydaje się tutaj przypomnienie dorobku Andrzeja Chciuka, pisarza jakby wciąż nie dość widocznego w panoramie współczesnego pisarstwa. „W twórczości swej — czytamy — Chciuk upamiętnił mikroświat, który zatonął jak owa tajemnicza Atlantyda (choć jeszcze tak niedawno istniała). Była nią międzywojenna Małopolska Wschodnia, drohobycki kraj. Opisał jego niepowtarzalną urodę i osobliwości, mieszkańców z ich bałakiem. Opowieści o Wielkim Księstwie Bałaku to przykład triumfu pamięci nad zapomnieniem”. Czy do końca? Wykaże to późniejsza recepcja pisarstwa Chciuka.

Przy tej okazji wszakże — bez pretensji do autora omawianej pracy — warto wydobyć pewną osobliwość polskiej literatury kresowej powstającej na emigracji. To, co Niemcy określają mianem „Heimat”, a co po polsku niezbyt precyzyjnie nazywa się „małą ojczyzną” pojawia się w tej twórczości jakby w dwóch planach. Można tu mówić o niejako podwójnej emigracji Kresowian, których mała ojczyzna znalazła się poza granicami państwa, które opuścili. Polska — mogli w ubiegłych dziesięcioleciach zakładać — swą suwerenność kiedyś odzyska. Nie odzyska jednak — to było w zasadzie przesądzone — owych małych ojczyzn, które wyrzucone zostały przez historię z obszaru polskości. To doświadczenie wydaje się szczególnie ważne i ocalająca pamięć literatury odgrywa tu w kulturze narodowej rolę niesłychanie ważną. To jednak sprawa, która winna być podjęta w szczegółowych omówieniach. Nakładają się tu na siebie warstwy doświadczeń, z których pierwsza to utrata ojczyzny, druga to zagłada unikalnego świata małej ojczyzny.

Książkę Hadaczka zamyka rozdział poświęcony ekspatriacji z Kresów i twórczości Trziszki. Píše autor: „Nostalgia zmusza ekspatriantów do ciągłego porównywania dawnego życia kresowego z aktualnym. Tam wszystko było lepsze i piękniejsze”. To prawda, lecz warto może powiedzieć, że prawdziwej literatury — wyjąwszy może prozę Konwickiego — tej problematyce poświęconej nie mamy. Zbyt tu wiele było cenzuralnych tabu, zbyt wiele niemożności. Jeśli jeszcze były możliwe opisy ziem

utraconych, to już niemal niemożliwe było rzetelne pisanie o ziemiach, na które wygnańcy zostali rzućeni. Konwicky z jego opisami górującego nad idyllą Wileńszczyzny warszawskiego Pałacu Kultury był tu w sytuacji wygodniejszej od tych, którym przyszło zakorzeniać się na ziemiach poniemieckich, a którym zabronione było eksponowanie ich niemieckości. Przykładem twórczość szczecińskiej pisarki Katarzyny Suchodolskiej, pominiętej niestety w tej książce.

Otrzymaliśmy pierwszą na taką skalę zakrojoną monografię literatury wywodzącej się z Kresów. Udało się autorowi dokonać niejako rekapitulacji i scalenia dotychczasowych cząstkowych rozpoznań — w tym względzie jest to bez wątpienia jedna z prac pionierskich. Na zakończenie jedna tylko uwaga. Szkoda, że nie poświęcił Hadaczek nieco uwagi fenomenowi, jakim jest pojawienie się literatury kresowej w twórczości autorów, których życiowe doświadczenie z Kresami nie ma nic wspólnego. Myślę tu nie tylko o powieści Paźniewskiego „Krótkie dni”, lecz także o takich utworach jak „Lida” Aleksandra Jurewicza, „Album rodzinny” Liniewskiego — cykl wierszy pomieszczony na łamach *Pulsu*, czy — by przy tych przykładach pozostać — wiersz Zagajewskiego „Jechać do Lwowa”. Szkoda też, że umknął uwagi autora wątek lwowski w twórczości Zbigniewa Herberta — może nie specjalnie rozbudowany, niemniej ważny.

Leszek SZARUGA

Refleksje o narodzinach fitosocjologii

Pomimo jakże niesprzyjających dla naszego kraju warunków polscy botanicy wnieśli znaczący wkład do światowej nauki dziewiętnastego wieku. Zesłańcy, osadnicy, wojskowi i lekarze opisywali florę wschodniej części Imperium Rosyjskiego, wystarczy wspomnieć Benedykta Dybowskiego, Aleksandra Czekanowskiego, Ferdynanda Karo. Emigranci i podróżnicy przyczyniali się do poznania roślinności wszystkich kontynentów, często przeżywając najdziwniejsze przygody. Madagaskarski okres życia Beniowskiego, gwinejski czas służby przyrodnika-oficera armii portugalskiej Józefa Chelmskiego czy prace botaniczne pierwsze-

go w Algierii balneografa Edwarda Landowskiego mogłyby dopełnić setki stron przygodowych powieści.

Polscy biologowie wnieśli także wkład do poznania podstawowych procesów żywego świata. Hrabia Leszczyński-Sumiński, botanik amator, potomek senatorskiej rodziny Rzeczypospolitej, artysta malarz i ziemianin, rozwiązał zagadkę płciowego rozmnażania roślin niższych. Opis i ilustracje rozmnażania paproci zostały zauważone i docenione przez botaników z Berlina i Paryża. Leon Cienkowski, profesor Petersburskiego Uniwersytetu, nie tylko opisał kilkadziesiąt nowych gatunków pierwotniaków, ale także stworzył teorię o wspólnym pochodzeniu wszystkich organizmów jednokomórkowych. Jakże często w obecnym stuleciu, zwanym niekiedy wiekiem genetyki, zapominamy, że pierwszym uczonym, który zaobserwował, opisał, a także nazwał chromosomy był pracujący na niemieckich uczelniach polski botanik Strasburger. Oczywiście tych kilka nazwisk, które wymieniałem, nie wyczerpuje jakże długiej listy twórców „polskich zasług” dla biologii.

W historii nauki rzadko zdarza się, aby narodziny nowej nauki można było w tak znacznym stopniu przypisać jednemu uczonemu, jak ma to miejsce w przypadku fitosocjologii i profesora Józefa Paczoskiego. Wprawdzie pojęcia oznaczające zespoły roślinne takie jak „bór”, „las”, „oles” istniały w botanice ludowej przynajmniej od kilkuset lat, pewne koncepcje grupowego traktowania roślin prezentowali Linneusz i Humboldt, a w Rosji pracowano nad nimi już od połowy dziewiętnastego wieku, to jednak trudno mówić o powstaniu fitosocjologii (nauki o zespołach roślinnych), zanim w 1892 Paczoski nie zaproponował wyodrębnienia tej części wiedzy z ogółu nauk przyrodniczych, a w 1896 nie nazwał jej fitosocjologią. Nazwa ta szybko zrobiła ogromną karierę, w 1898 roku użyto jej po raz pierwszy po rosyjsku (także Paczoski) i po francusku, w 1917 roku pojawiła się po raz pierwszy w USA, a w 1918 w Skandynawii (jednocześnie w Szwecji i Norwegii). Józef Paczoski jako pierwszy w historii wyklądał także ten przedmiot na Politechnice w Cherso- niu, był również autorem pierwszego fitosocjologicznego podręcznika. Fitosocjologia zawdzięcza mu także zdefiniowanie wielu elementarnych pojęć i stworzenie wielu do dzisiaj podstawowych dla niej koncepcji. Gdy po parudziesięciu latach przeglądam prace Paczoskiego, nasuwa mi się wiele refleksji. Pierwsza z nich to zdziwienie, jakiego doznać musi każdy, kto jest przyzwyczajony do zinstytucjonalizowanej nauki drugiej połowy XX wieku, na myśl, że jeden z najwybitniejszych przyrodników naszego stulecia aż do momentu nadania mu w 1926 roku tytułu doktora *honoris causa* przez Uniwersytet Poznański nie posiadał żadnego oficjalnie uznawanego dyplomu ani tytułu naukowego. Historia

nie pozwoliła Paczoskiemu na pracę w zaciszu uniwersyteckiej katedry, wielokrotnie brutalnie ingerując w jego życie. Urodzony na Wołyniu, uczył się w gimnazjum w Równem, potem w Szkole Rolniczo-Ogrodniczej w Humaniu, a następnie pracując jako ogrodnik laborant w Zakładzie Botaniki Uniwersytetu Kijowskiego. Kustosze w Ogrodzie Botanicznym w Petersburgu, asystent w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublinach, twórca muzeum przyrodniczego w Chersoniu, wykładowca Politechniki Chersońskiej, organizator i kierownik rezerwatu stepowego Nowa Askania w Guberni Taurydzkiej. Wojna i rewolucja niszczyły prowadzone uprawy i doświadczenia. Paczoski przechodził gehennę Polaków repatriowanych z Rosji Sowieckiej do Niepodległej Polski, gdzie dociera w 1923 roku. Kierownik Rezerwatu Białowieskiego, autor kilkunastu monografii, w tym szczególnie cennych *Lasów Białowieży* i uznanych w 1925 przez Komisję Bibliograficzną Ligi Narodów za jedną z 20-tu najlepszych publikacji polskojęzycznych *Szkiców Fitosocjologicznych*, w 1925 roku zostaje profesorem zwyczajnym i wykładowcą systematyki i geografii roślin Uniwersytetu Poznańskiego. W 1931 roku wbrew swojej woli i pomimo starań uczelni Paczoski zostaje przeniesiony w wieku lat 66 na emeryturę, a kierowany przez niego zakład ulega rozwiązaniu. Decyzję tę interpretowano wówczas jako zemstę administracji za podpis złożony pod listem protestacyjnym, dotyczącym procesu brzeskiego. Rok później, aby móc kontynuować badania botaniczne, Paczoski zakupił dziesięciomorgowe gospodarstwo Sierosław koło Poznania, gdzie zasadzone przez niego tysiąc drzew owocowych dostarcza materiału do studiów nad ekologią i mrozoodpornością roślin. Hitlerowcy wywłaszczają profesora z jego majątku, a on sam wraz z rodziną pracuje jako robotnik rolny w dawniej swoim gospodarstwie. Umiera na atak serca wkrótce po rewizji, pobiciu i aresztowaniu przez Gestapo najbliższych członków rodziny. Śmierć przerywa pracę nad kolejną książką, *Walka o byt czy uspołecznienie*. Polskie Towarzystwo Botaniczne w 1932 roku, w trzydziestolecie pracy naukowej poświęciło mu specjalny tom *Acta Societatis Botanicorum Poloniae*, w stulecie jego urodzin w 1964 odbyła się na UAM sesja poświęcona profesorowi Paczoskiemu. W 1959 roku przeniesiono jego grób z Lusowa pod Poznaniem na Cmentarz Zasłużonych na Poznańskiej Skalce, a jedną z sal wykładowych nazwano jego imieniem. W 1981 roku dzięki akcji społecznej mieszkańców Poznania jego grób wraz z całym cmentarzem uratowany został przed zniszczeniem.

W ubiegłym roku minęły dwie rocznice, 100-lecie powstania fitosocjologii i 50-lecie śmierci prof. Paczoskiego, i z zażenowaniem należy zauważyć, że pomimo tak dużej mody w Polsce na fetowanie różnych jubileuszy w 1992 roku nie zrobiono praktycz-

nie niczego, aby przypomnieć sylwetkę tego wielkiego Polaka i uczonego. Jakże często w okresie mody na ekologię jesteśmy świadkami nieświadomego często odwoływania się do dorobku, a czasem nawet „ponownego odkrywania” przemysłów profesora Paczoskiego. Koncepcja nieodwracalności zmian przyrody dokonanych przez człowieka, badania nad stepowaniem i sukcesją roślinności, postulat „kompleksowego charakteru” ochrony przyrody i racjonalnego rolnictwa, prace nad ostatnimi dziewiczymi lasami Europy w Białowieży i Górach Bośni, prognozy zamierania lasów w Karpatach to zaledwie niewielka część jakże bogatego dorobku Józefa Paczoskiego.

Piotr DASZKIEWICZ

Nagrody

Fundacja Mieczysława Pruszyńskiego przyznała tegoroczne nagrody Leonowi Bójko i Kazimierzowi Traciewiczowi.

Nagrodę im. Jana Strzeleckiego otrzymał Ireneusz Krzemiński.

Nagrodę stypendialną Fundacji Czesława Seiferta przyznano Erwinowi Krukowi.

Nagrodę im. Leona Schillera otrzymał Rafał Węgrzyniak za książkę pt. „Wokół „Wesela”” (Wrocław 1992).

Nagrody miesięcznika *Literatura na świecie* za przekłady otrzymali: Andrzej Szuba za tom poetycki Walta Whitmana, Ireneusz Kania za przekład „Historii erotyzmu” Georges’a Bataille oraz „Na szczytach rozpaczy” Emila Ciorana, Katarzyna Skawina za debiut translatorski „Pamięć Abrahama” Marka Haltera.

Nagrody Fundacji Piotra Büchnera przyznano: za twórczość poetycką Ewie Lipskiej, za twórczość prozatorską Piotrowi Wojciechowskiemu i za dzieło eseistyczne — Stanisławowi Stommie.

Włoskie Stowarzyszenie Dziennikarzy Filmowych przyznało nagrodę im. Filippo Sacchi za rok 1992 Katarzynie Jabłońskiej za pracę „Wariacje na temat Dziesięciorga Przykazań czyli Dekalog wg K. Kieślowskiego i K. Piesiewicza”. Nagroda ta jest przyznawana za najlepsze prace dyplomowe z dziedziny krytyki filmowej. Nagrodzona praca została napisana pod kierunkiem prof. Jerzego Toeplitza na Wydziale Polonistyki U.W.

Jury Nagrody Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie przyznało za rok 1992 dwie nagrody *ex aequo* — Danucie Mostwin za książkę „Tajemnice zwyciężonych” i Eugeniuszowi Kruszewskiemu za pracę „Akcja kontynentalna w Skandynawii 1940-1945”.

Klub Złotej Karty ustanowił nagrody, po 100 mln złotych każda, ufundowane przez polski kapitał. Dostaną je w br. Magdalena Abakanowicz, Witold Lutosławski, Julian Strykowski, Stefan Sutkowski i Janusz Warmiński. Głównym fundatorem nagród jest T-wo Ubezpieczeniowe WARTA, pozostałymi: Jaguar, Harlequin, Unilever, DHL, Pol Kaufring i Rank Xerox. Klub, który zrzesza ok. 70 biznesmenów organizował dotąd zawody tenisowe i golfowe, a obecnie chce odrodzić mecenat kulturalny w Polsce.

Nagrody zostaną wręczone w styczniu, na razie laureaci i sponsorzy zjedli uroczyste kolację w warszawskiej restauracji „Belvedere”. Przyznano je w 4-ch kategoriach artystycznych: plastyka, muzyka, literatura, teatr-film; piąta dla St. Sutkowskiego jest wyróżnieniem specjalnym za wybitny wkład w życie kulturalne, a szczególnie za stworzenie Warszawskiego Festiwalu Mozartowskiego. Kapitułę nagrody tworzą: Andrzej Wojtyński (prezes Warty) — przewodniczący oraz Izabella Cywińska (prezes Fundacji Kultury), Maciej Englert (dyr. Teatru Współczesnego w Warszawie), Jan Kluk (ICL), Nina Kowalewska (Harlequin), Artur Międzyrzecki (prezes polskiego PEN-Clubu), Zbigniew Niemczycki (Curtis Int.), Ludwik Opieła (Overseas Marketing Corp.), Edward Pałłasz (kompozytor), Paweł Sosnowski (Towarzystwo Przyjaciół „Zachęty”), Andrzej Szczypiorski (pisarz), Mariusz Walter (ITD) i Andrzej Zakrzewski (sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta).

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Ci, co odeszli

Strażnik Złotego Rogu

„Polonus, szlagon całą gębą, dumny i
honorny. Gdy mu cesarz nadał order,
Tetmajer odznaczenia nie przyjął. Odesłał
do Wiednia. Widziałem go raz, ubranego
w kontusz, przy karabeli. Wyglądał pa-
radnie. I jakież to był orator! Ile miał
swady, fantazji, dowcipu!”

Z. Nowakowski, „Lajkonik na wygnaniu”.
Folieton sto i jeden (1950-1962). Londyn 1963

W ostatnich latach życia Włodzimierz Przerwa-Tetmajer, brat przyrodni poety Kazimierza, namalował swój autoportret, zupełnie inny od autoportretów malowanych przez kolegów po pędzlu. Oto widzimy postarzałego, mocno już osiwiałego mężczyznę, z twarzą odwróconą, na obrazie widnieje tylko tył głowy. Artysta jak gdyby odwracał oblicze, nie chcąc może pokazywać ruiny swej dawnej tężyzny i zbyt szybko nadeszłej starości. Tryskał radością życia na towarzyskich spotkaniach, witał w bronowickim dworku gości zdobnymi w staropolskie i łacińskie słowa oracjami, śpiewał przy biesiadnym stole, zastawionym kielichami, przepyszne „kurdesze”. Może też chciał pokazać, że odchodzi w jakiś daleki, tajemniczy cień, który wkrótce zakryje go całkowicie.

Ten nietypowy, nie spotykany autoportret jest niejako symbolem ostatnich lat zbyt krótkiego życia artysty, który od monumentalnych kościelnych polichromii potrafił przerzucić się w odmienne od malarstwa nastroje i techniki, pisząc dramaty, poezję, prozę artystyczną, społeczno-polityczną publicystykę, prowadząc ruchliwe życie polityczne. Działal np. w tajnej Lidze Narodowej, w Polskim Stronnictwie Ludowym, po-

słował do parlamentu austriackiego, spotykał się ze znanymi politykami, których zapraszał również do Bronowic, wśród nich Piłsudskiego, Daszyńskiego, Limanowskiego, Witosą, Hallera; był tu także Sienkiewicz, Reymont i podobno nie znany jeszcze szerzej De Gaulle w 1920 r. W 1915 r. w towarzystwie Witosy i Władysława Długosza odbył „pielgrzymkę” do Szwajcarii, aby spotkać się z Sienkiewiczem i tamtejszymi polskimi działaczami. W 1917 r. wpadnie już całkowicie w objęcia polityki i jako pierwszy bez niedomówień upomni się z ław parlamentu o wolną i niepodległą Polskę z dostępem do morza, nie bojąc się przykrych następstw, jakie mogły mu wtedy grozić. Bruliony historycznej rezolucji, kreślonej pod dachem bronowickiego dworku pozostały do dziś. Józef Rączkowski pisze, że tetmajerowska rezolucja „była czynem politycznym, za który można było być posądzonym wręcz o zdradę stanu i iść pod sąd wojskowy. I gdyby to było w Niemczech, to prawdopodobnie tak by się było stało z wnioskodawcą i tymi, którzy za nią głosowali. Austria jednak była już państwem zbyt słabym i na krok taki pozwolić sobie już nie mogła”. Niestety, historycy często pomijają rolę Tetmajera w akcie odrodzenia Polski lub też ograniczają się do skąpej tylko wzmianki o tym fakcie (Tetmajera pomija całkowicie Paweł Zaremba w swojej „Historii dwudziestolecia 1918–1939”, podobnie i Henryk Wereszycki w „Historii politycznej Polski 1864–1918”). Gdy rezolucję zgłosił na posiedzeniu Koła Polskiego w Krakowie, zdobył olbrzymi aplauz społeczeństwa, a „swoją wielką, a może największą dzień w życiu — jak odnotował Witos w „Moich wspomnieniach” — przeżywał w wielkim, podniosłym skupieniu (...) Czuł się kapłanem przy tym wielkim narodowym obrzędzie”.

Koniec austriackiej okupacji i usunięcie się Austriaków z Krakowa 31 października 1918 r., nakłada na Tetmajera nowe obowiązki, toż to prawie pierwszy minister wojny czy obrony narodowej, gdyż w Polskim Komitecie Likwacyjnym w Krakowie pełni funkcję szefa wydziału wojskowego. W 1919 r. przebywa w Paryżu, biorąc udział w konferencji pokojowej, jako ekspert od zagadnień politycznych i dyplomatycznych, ceni się zatem chyba wysoko jego polityczne umiejętności. Czyżby to wszystko było spełnieniem czy chęcią spełnienia misji, którą wyznaczył mu Wyspiański w „Weselu”? W każdym razie autor przeprowadzonych jaskrawymi kolorami wiejskich strojów płócien, stał się strażnikiem Złotego Rogu. Jeżeli nie zawsze słuchano jego dźwięku i nie przejmowano się płynącymi od niego wezwaniami, to może

dlatego, że Tetmajera traktowano jako artystę, a nie polityka, aczkolwiek ona stała się głównym polem jego poczyną.

Nie można Tetmajerowi zarzucić, że zgubił Złoty Róg, „Wesele” nie jest odzwierciedleniem prawdy, autor naszkicował w dramacie raczej negatywną krytykę, satyrę postaw współczesnych, nie ominęła ona i Gospodarza, będącego tu postacią pełną tragizmu i sprzeczności, nie umiejącym się wywiązać ze zleconej mu misji. Odda Złoty Róg i podkowę, przeprowadzi krytykę głoszonych przez siebie poglądów i idei. W „Weselu” została wydrwiona deklamacja Gospodarza o patriotyzmie, chłopie, wsi, a więc czy podtrzymywać opinię Boya o dyskretnej tonacji satyry?

W 1974 r. Leokadia Pośpiechowa w pracy o „Twórczości literackiej Włodzimierza Tetmajera” pisze, że „Tetmajer wyraził własny negatywny stosunek do rewolucji a przede wszystkim jej niezrozumienie”. Inaczej wprowadzić nie mogła wtedy napisać, ale i tak warto to sprostować. Tetmajer wcale nie był taki naiwny i głupi, gdy krytykował bolszewickie wyczyny, zdając sobie doskonale sprawę z ich następstw. W autografie wypowiedzi na temat wsi polskiej i bolszewizmu czytamy święte słowa:

„Bolszewizm bowiem nie jest tym, czym się być opowiada: dyktaturą proletariatu. Proletariat jęczy dziś w takiej samej niewoli i nędzy, jak za osławionego «władztwa kapitału», które nb. wcale nie znikło z ludzkich stosunków, ale przeszło w inne, przynajmniej gorsze, ręce.

Bolszewizm jest anarchią burzącą wszystko co było przedtem, ale nie stawiając na miejscu gruzów niczego pozytywnego. (...) Niesie on tylko śmierć i zniszczenie (...)”.

Podobne spojrzenie na bolszewizm, tylko w innej formie literackiej wyraził w dramacie „W noc wigilijną” (wydanym po raz pierwszy w 1992 r. przez niżej podpisanego nakładem Prowincjonalnej Oficyny Wydawniczej „Exartim”), w którym wracający z niewoli rosyjskiej chłop Bartek, przesiąknięty bolszewickimi hasłami, najważniejszy cel widzi w burzeniu i niszczeniu tego, co rzekomo jest wrogiem chłopu, a wrogami są „panowie” i kmiecie. Czy Bartkowi marzy się tylko powtórzenie krwawych scen petersburskiej rewolucji, czy również galicyjska rzeź 1846 r.? W każdym razie artysta wydarzenia 1917 r. rozumiał wcale nie gorzej niż oceniający je dziś negatywnie historycy i potępiający je naród rosyjski, czczący prochy zamordowanego cara i jego rodziny, a nawet domagający się ich kanonizacji!

Nic dziwnego, że Tetmajer czynami chce potwierdzić włas-

ne poglądy, stając w 1920 r. w Krakowie na czele Komitetu Obrony Państwa, przeżywając dramat tych dni, składając jakby w ofierze odrodzonej Ojczyźnie ukochanego syna, Jana Kazimierza, walczącego w szeregach 8 Pułku Ułanów im. Księcia Józefa Poniatowskiego.

„A był — pisał w swoim notatniku artysta — od młodości jakby przeznaczony na śmierć rycerską. (...)”

Poszedł z ósmym Pułkiem Ułanów pod Kijów. (...)”

Chodziłem rano do kościoła Panny Marii i prosiłem Boga, aby mi go pozostawił. Wszelako wołałem by zginął, niż żeby się dostał do niewoli bolszewickiej”.

Dramatyczny akt rozegrał się na polach bitwy pod Stanisławczykiem w okolicach Lwowa. Tadeusz Śmigieński w „Zarysie historii wojennej 8-go Pułku Ułanów Ks. Józefa Poniatowskiego” (wyd. w Warszawie w 1929 r.) pisze, że artyleria bolszewicka w przeciwieństwie do polskiej, pozbawionej większego zapasu amunicji, „prażyła dotkliwym ogniem bezkarnie, gdyż polskie działa wciąż jeszcze milczały”. Dowódca pułku zarządził odwrót, straty wyniosły ponad 20 zabitych i 90 rannych. „Padł waleczny podporucznik Pokładnik oraz dzielny podchorąży Tetmajer”.

3 sierpnia 1920 r. do Tetmajera pisze rotmistrz Lucjan Bochenek:

„Jako dowódca jego i przyjaciel piszę ten list nie tylko żeby opisać przebieg walki w której zginął, ale także żeby wydać świadectwo tej pięknej młodej duszy, którą może najlepiej poznałem, bo w najcięższych chwilach. (...) W ciężkich trzechmiesięcznych walkach z Budionnym okazał się Janek tak dzielny, pełnym poświęcenia oficerem, szlachetnym chłopcem, że zdobył wkrótce serca i szacunek całego pułku. Ja poznałem najlepiej ten idealny, palący się do boju, kochający swój kraj charakter i on wiedział jakiego miał we mnie przyjaciela. (...) 27 poszliśmy na Styr do Stanisławczyka (...) Rano 28 zaatakowali nas bolszewicy w kilka tysięcy z artylerią — nasze działa nie strzelały, bo nie miały pocisków. Mój szwadron obsadził okopy i jednej ich części Janek był dowódcą. Ja z obowiązku chodziłem wzdłuż okopów i nie wiem ile razy wołałem: «Tetmajer — kładź się — nie stój, ja potrzebuję cię zdrowego przy szwadronie». On odpowiadał: «Panie poruczniku, kiedy nie mogę obserwować leżąc». Koło południa dostaliśmy rozkaz cofnąć się na lewy brzeg Styru, co dokonaliśmy w porządku i obsadziliśmy wzgórze nad rzeką, które trzymaliśmy do piątej wieczorem w strasznym ogniu. Tam dostał Janek kulą karabinową w serce i umarł na

miejsu, krwią swoją na granicach kraju wylaną kończąc swoje młode a szczerne życie. (...)”

Ciało Janka wyniesiono w ogniu i odesłałem je o kilkadziesiąt kilometrów do Chołoniewa do ciężkich taborów z rozkazem pochowania go na najbliższym katolickim cmentarzu. Komendant taborów wysłał ciało pod eskortą do Sokala. Tymczasem po drodze bolszewicy napadli i rozbili eskortę, a co się stało z ciałem nie wiadomo. My byliśmy dalej dzień za dniem w ciężkich walkach, otoczeni, bez łączności z taborem i dopiero kiedy położenie się poprawiło i bolszewicy wycofali się zza Stojanowa, dostaliśmy połączenie z taborem i dowiedziałem się o tym, że biedak nawet po śmierci nie miał spokoju. My jesteśmy koło Brodów, ale posyłamy podoficera dla wynalezienia ciała.

Straszne to jest pisać te rzeczy Ojcu, ale znam Kochanego Pana i jego bezgraniczną miłość dla kraju i wiem, że z bólem łączy się u Niego przeświadczenie, że Janek spełnił swój obowiązek i że nie mógł robić inaczej”.

10 grudnia 1920 r. pisze jeszcze Bochenek do córki artysty, Klementyny Rybickiej, z Ostróżca koło Łucka, donosząc o poszukiwaniu zwłok: „W parę dni potem dowiedziałem się od jadących do Krakowa, że pogrzeb Janka już się odbył. Tak więc spoczął ten ukochany chłopak w swoich stronach, których był tak dobrym synem! Pułk podał go do Virtuti Militari, tak że to tak bardzo należne odznaczenie choć jego grób zdobić będzie”.

Adam Grzymała-Siedlecki, wspominając zaraz po śmierci artystę na łamach *Rzeczypospolitej*, pisał o spotkaniu z nim w Zakopanem w 1921 r. i o jego starczym wyglądzie, tak że trudno było go poznać. Powiedział do Grzymały, że syn zginął na wojnie i zaczął płakać, wreszcie szeptem zwierzył się:

„— Ale czy ty wiesz, że są chwile, kiedy ja równocześnie z bólem, jakby się cieszę, że on zginął za Polskę?!”

A wszystkie swoje przeżycia i ból przelał Tetmajer na papier, pisząc treny na śmierć syna w tomiku wydanym po 1923 r. pt. „Przeznaczenie. Syna mojego pamięci”. Znalazły się tu strofy o umiłowanym 8 Pułku Ułanów, ale przede wszystkim podkreślona została miłość do syna i oprócz dumy, że zginął za Polską, ogromne cierpienie:

*Bolesna cisza dom zaległa stary,
Do tego domu już nie wrócisz nigdy!...*

*Chyba z pradziadów ułańskimi mary
przyjdiesz w rocznicę tych krwawych miesięcy,
gdy, w ukraińskie zabłąkany jary,
na śmierć patrzałeś młodzieńców tysięcy,
na mękę rodzin, na krew i pożogę,
krzyżową Polski przebiegając drogę!...*

Słowa głębokiego żalu przeplatają się wyraźnie z radością z poskromienia wroga, uderzającego w rodzący się organizm niepodległej Polski:

*Aż wieść z wołyńskich stepów przyleciała,
że tam ułańskie atakują pułki,
że rozgromiona czerwona nawala,
że uciekają szatańskie pachołki,
że spod stolicy dzicz się wycofała...*

Ojczyzna zresztą nie odpłacała zbyt hojnie Ojcu bohatera, wpłątany w przedwyborcze rozgrywki partyjne i pono podburzony przez ks. Ferdynanda Machaya, że chcą go wybrać do Sejmu nie z Krakowa, ale nowotarskiego, rzekł się kandydatury. Jedyłą nagrodą miał być udział w kapitule Orderu Odrodzenia Polski, do której powołał go Piłsudski, którego podpis widnieje na zachowanym akcie nominacyjnym. On sam próbował kształtować obraz odrodzonej, podkreślając m.in. w swej wypowiedzi w 1923 r. (jakże to przypomina dzisiejsze partyjne rozgrywki!), że „nienawiścią nic nie zbudujemy, a wszystko zburzymy. Zaprzepaścimy interes pracującego ludu, interes wszystkich stanów i politycznych partii, bo zaprzepaścimy Ojczyznę! (...)

Zrozumiemy, że albo będziemy wielkim narodem, który w Europie będzie miał głos rozstrzygający albo... zginiemy... ale już teraz bez ratunku!”

W obecnej sytuacji, gdy kulturę spycha się na ostatnie miejsce i obserwuje coraz mniejsze zaangażowanie rządu w te sprawy, warto przypomnieć memoriał o ministerstwie kultury, skierowany przez Tetmajera do Prezydenta RP, w którym pisał m.in.:

„(...) ani kultura, ani jej ministerstwo zbytkiem nie są (...) Stopień kultury danego państwa rozstrzyga o jego stanowisku między innymi państwami, w równym stopniu, jak jego finanse i siła jego wojska”.

Nadszedł rok 1923. Nikt chyba nie spodziewał się, że koniec życia bronowickiego artysty jest tak bliski, że to

ostatnie promienie słońca, które złościły kolory jego płócien. Kulminacyjnym punktem stają się wypadki krakowskie w dniu 6 listopada, które jeszcze nieraz nazywa się — niesłusznie — powstaniem krakowskim. Na marginesie tych wydarzeń i buntu robotników przeciwko polityce rządu pisze P. Zaremba, że „Rewolucji i wojny domowej chcieli tylko pozabawieni wpływów komuniści. Z tych samych powodów, dla których jej pragnęli, zapobiec jej chciały wszystkie stronnictwa polskie i cały naród. Bo rewolucja służyć mogła tylko i wyłącznie interesom Rosji. Miała osłabić państwo polskie, naruszyć jego granice, by z kolei zlikwidować niepodległość na rzecz federacji ze Związkiem Sowieckim. Były to cele zupełnie obce strajkującym robotnikom”. Najsmutniejszym wydarzeniem była walka z ułanami, właśnie z 8 Pułku i śmierć dowódcy Jana Kazimierza, Lucjana Bochenka. Jak przeżył te chwile Tetmajer nie ma potrzeby pisanie o tym szerzej, wiadomo, że były dla niego tragiczne. Na pogrzebie poległych ułanów wygłosił na cmentarzu mowę, w której oczywiście mówił o Bochenku: „Nie poległ na froncie rosyjskim ani czeskim, ale padł na bruku rodzinnego miasta w walce z wrogiem wewnątrz kraju zdradziecko ukrytym. (...)

Ci ukochani i świeżo polegli jako ofiary — nie wojny zewnętrznej, ale tej ohydnej wojny, która nasz naród wewnątrz rozdziera!

Padli ofiarą zaciętości stronnictw, która żołnierzem Polski wstrząsa. (...)

Stronnictwa polityczne walczą zawzięcie słowami w bezpiecznych kuluarach Sejmu, ale za tę ich walkę płacą krwią i ranami, najlepsi synowie Narodu! (...)

Niech z tej mogiły wyrośnie drzewo pojednania w imię Ojczyzny! Niech przyjdzie opamiętanie, przebaczenie w imię Ich śmierci i w imię Tej, za którą w chwale polegli!!!”

Wiadomo, że to było gwoździem do trumny artysty, którego dni były odtąd policzone. Zmarł na udar serca 26 grudnia 1923 r. i spoczął na cmentarzu w Bronowicach Wielkich 29 grudnia; to o tym cmentarzu pisał kiedyś:

*Tu spać będę spokojnie przez wieczność ogromną,
Tu ludzie snu nie zmacą, tu i wnet zapomną!*

Mija 70 lat od dnia zgonu krakowsko-bronowickiego artysty, rocznica o której z wielu względów nie powinno się zapomnieć.

Rydłowe i Tetmajerowe Bronowice Małe już nie istnieją, zostały po nich tylko ślady, z tych najważniejsze dwa na mapie bronowickiej. Jeden to dworek najpierw Tetmajera, następnie odsprzedany Rydlowi (tu odbyło się pamiętne wesele), drugi to dworek w pobliżu, w którym artysta spędził ostatnie lata życia i przeżył swoje dramaty. Do śmierci (w 1970 r.) mieszkała w nim córka Tetmajera, Klementyna Rybicka i wnuczka malarza Anna Klimczykowa (zmarła w 1991 r.), obie serdeczne i pełne życzliwości dla ludzi, i bliskich, i obcych (w Krakowie mieszka jeszcze najmłodsza córka artysty, Krystyna Skąpska, zaś w Wadowicach syn Tadeusz, również ułan, jak jego brat). W domu weselnym, dzięki wysiłkom dyrektora Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Stanisława Wąłtosia, otwarto 21.XI.1969 r. Muzeum Regionalne Młodej Polski „Rydlówkę” (kustoszem jego jest wnuczka poety Anna Rydlówna), w tym też dniu w rocznicę historycznych czepin, odbywa się uroczystość osadzania chochoła na krzewie róży przed oknem izby weselnej. W Muzeum wśród wielu bezcennych eksponatów zobaczyć można portret młodego Rydla, pędzla Wyspiańskiego. Już nie muzealny, ale prawdziwy autentyzm przeżyje się w Tetmajerówce, będącej obecnie własnością prawnuczki Tetmajera, Elżbiety i jej męża Zbigniewa Konstantych, którzy stali się wielkimi mecenasami i dworku, i Bronowic. Założona przez nich Fundacja im. Włodzimierza Tetmajera (prezesem jest praprawnuk Marcin Konstanty) ma na celu wspieranie odnowy zabytków kultury polskiej jak też i promocję kultury polskiej za granicą. Pierwszym zamierzeniem Fundacji jest gruntowna restauracja dworku. Odbudowano już zdewastowaną pracownię artysty, która w latach PRL została odebrana przez ówczesne władze potomkom Tetmajera i przekazana obcym osobom, które — wstyd powiedzieć — zrobiły z niej stajnię. Prawowici właściciele zmuszeni zostali — już w 1991 r. — do odkupienia swojej własności! Przewiduje się następnie rekonstrukcję ogrodu i konserwację dworku, który do dziś zachował swój dawny charakter i autentyczne wnętrze, wypełnione meblami Tetmajera, zdjęciami, a przede wszystkim jego pięknymi obrazami, wśród których wybija się na czoło portret żony Anny z Mikołajczyków i syna Jana Kazimierza oraz Uniwersał Połaniecki. W tym wnętrzu przeżywa się naprawdę czasy Młodej Polski i legendę tych lat. Tu już po raz trzeci w 1993 r. zostały wręczone nagrody Fundacji, która wspiera twórców pielęgnujących pamięć o dawnych Bronowicach i roli jaką odegrały w

życiu wybitnych malarzy, poetów, prozaików. W 1994 r. okazja do przypomnienia dawnej wsi, a obecnie jednej z dzielnic wielkiego Krakowa nie była jaka, gdyż Bronowice obchodzić będą 700-lecie swego istnienia.

Józef DUŻYK

Małgorzata Targowska i Jacek Bierezin

W związku z niedawną śmiercią Jacka Bierezina, pragnę odnotować epizod z jednej z moich podróży do Polski. Był to luty 1979 roku. Przyjechawszy na krótki pobyt z Ameryki, przywiozłem, jak zwykle, kilka egzemplarzy *Kultury*. Ostatecznym ich odbiorcą był zawsze mój wuj, Adam Nagórski. Oddawałem mu przywiezione *Kultury* dopiero przed samym wyjazdem, a przedtem starałem się je udostępnić jak największej liczbie przyjaciół. Było to swego rodzaju obowiązkiem, ale i przyjemnością. Kiedyś podjechałem pod gmach Polskiego Radia i zostawiłem kilka numerów *Kultury* tylko na kilka godzin. „Zmarła praca na całe popołudnie”, stwierdziła potem moja znajoma, Jolanta Szawiel, wyrzucona z radia po stanie wojennym. W gronie przyjaciół, którzy korzystali z przywożonej *Kultury* była Małgorzata Targowska, absolwentka anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego, młoda ale już popularna tłumaczka. Zwróciła uwagę, że na okładce najświeższego numeru *Kultury* jest nazwisko Anki Kowalskiej. Obie pracowały wtedy w Instytucie Wydawniczym PAX i naturalnie Małgosia chciała tę *Kulturę* pokazać Ance. Umówiliśmy się telefonicznie w księgarni PAX'u przy ul. Pięknej. Anka Kowalska nie wiedziała, jaka ją czeka niespodzianka. Numeru tego jeszcze nie widziała. Była bardzo przejęta, dziękowała i zapytała: „Czy to dla mnie?”. Przykro mi było, że musiałem ją rozczarować, że mogłem jej tylko na parę dni te egzemplarze pożyczyć.

Pojechaliśmy z Małgosią odebrać *Kulturę* do willi na Saskiej Kępie, gdzie mieszkała Anka. Było szare zimowe popołudnie, duży mróz, zaśnieżona, wymarła uliczka. Przed willą stała furgonetka służb miejskich, dwóch mężczyzn na przednim siedzeniu. Wydało mi się to trochę podejrzanym i zasugerowałem, że-

by przejechać nie zatrzymując się, spróbować później. Zawsze odważna moja towarzyszka wyśmiała ten pomysł. Zatrzymałem się za furgonetką i Małgosia poszła do mieszkania Anki. Anka nie była sama. Na podłodze siedział młody mężczyzna, trochę obdarty, w pomiętych dżinsach. Wyglądał na hydraulika, który przyszedł coś zreperować. Małgosia bardzo ostrożnie zwróciła się do Anki, wspominając o pożyczonych książkach. Anka odpowiedziała: „Nie musisz się obawiać. Ten pan jest również na okładce tego samego numeru *Kultury* co ja”. Domniemanym hydraulikiem był Jacek Bierezin.

Po jakimś czasie Małgosia wyszła z niezwracającą uwagi torbą pod pachą. Była bardzo podniecona tym spotkaniem — dwie osoby z okładki *Kultury*! Furgonetka dalej stała na swoim miejscu, ale odjechaliśmy nie molestowani. Nie wiem, czy był to przypadek, czy obstawa; prawdopodobnie to drugie, lecz widocznie nie interesowano się każdym kto wchodził do willi, w której było szereg mieszkań. Mój samochód, wynajęty w „Orbisie”, łatwy był do rozszyfrowania, ale nie miały miejsca żadne konsekwencje.

Dwoje z tych trojga młodych ludzi, którzy przypadkiem spotkali się na zaśniewanej Saskiej Kępie, a których łączyła więź opozycji, zginęło przedwcześnie tragiczną śmiercią. Po ogłoszeniu stanu wojennego, Anka Kowalska i Jacek Bierezin byli internowani, a potem wyjechali do Francji, gdzie Anka miała być operowana. Stan jej zdrowia był bardzo poważny i nie mogła już podróżować sama. Małgosia Targowska została w Polsce, pomagała w dystrybucji paczek z zagranicy, udostępniała w swym domu lokal dla druku tygodnika *Mazowsze* i dla podziemnych przedstawień teatralnych. W czerwcu 1982, w czasie jednego z moich pobytów w Polsce, braliśmy wspólnie udział w manifestacji przy krzyżu z kwiatów na Placu Piłsudskiego. „Otwierają torebki — powiedziała w pewnym momencie Małgosia, wręczając mi plik podziemnej prasy — Tobie nic nie zrobią”. Schowałem do kieszeni gazetki (tak się mówiło w czasie okupacji) i błyskawicznie zdecydowałem jak zareaguję na ewentualne trudne pytanie: od kogo to dostałem — powiem, że znalazłem w tramwaju, wziąłem jako ciekawostkę. Szczęśliwie, nie byłem rewidowany.

Zabawny incydent, ilustrujący stosunki jakie wtedy panowały, spotkał Małgosię tamtej wiosny. Robiła korektę swego tłumaczenia na ławce w Parku Skaryszewskim. W pobliżu był pomnik Armii Czerwonej, pod strażą dwóch żołnierzy. Jeden popatrzył na jej papiery i zapytał: „Bibuła?”. „Ależ skąd, to tekst literacki”. Żołnierz zmienił temat: „Czy nie popilnowałaby nam Pani tego cholernego pomnika? Czas się napić”. Można przypuszczać, że zwracając się do młodej kobiety, użył najdelikat-

niejszego w swym słownictwie przymiotnika. Żołnierze odeszli, a Małgosia kontynuowała pracę i pilnowała cholernego pomnika.

Śmierć przyszła niespodziewanie. Małgorzata Targowska (wtedy Grabińska) zamordowana została w biały dzień, 9 maja 1985, w swym mieszkaniu, również na Saskiej Kępie. Właśnie skończyła 33 lata. Sprawców nieudolnie poszukiwano i nigdy nie wykryto. Podłoże polityczne nie ulega wątpliwości, a poszlaki wskazują na związek z procesem morderców ks. Popiełuszki.

Śmierć Jacka Bierezina przyszła później i równie niespodziewanie, na paryskim bruku.

Marek RUDZKI

Jan Ekiert

W dniu 20 kwietnia 1993 roku w godzinach wieczornych zmarł w swojej pracowni Jan Ekiert, nestor polskich artystów malarzy w Paryżu.

Urodził się w Komborni w południowej Polsce 10 grudnia 1907 r. Bardzo wcześnie obudziła się w nim muza sztuki. Pozostały z dawnych lat obrazy małego formatu, które już wtedy zapowiadały jego przyszłość artystyczną. Następnie uczył się malarstwa w zakładzie księży michalitów u Jana Narcyza Korybuta Daszkiewicza, artysty malarza, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie z czasów Jana Matejki.

W roku 1928 Ekiert zdał egzaminy wstępne do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Druga wojna światowa pokrzyżowała dalsze plany. W roku 1939 w sierpniu został powołany do wojska. Dostał się do niewoli niemieckiej w Żółkwi pod Lwowem. Przebywał w różnych obozach dla jeńców, najdłużej w Ternbergu, bo od roku 1942 do 1944. Sam pisał o tym okresie w liście z dnia 12 listopada 1985:

„[...] Parę miesięcy przebywaliśmy pod namiotami: zimno, głód i nędza. Podczas pobytu w obozach trochę rysowałem i malowałem. Powstała seria rysunków i portretów akwarelowych współwięźniów, sceny obozowe i pejzaże. Pod koniec mojego pobytu w obozie byłem jednym z organizatorów „teatru jenieckiego”, w roku 1944 jako dekorator. Wszystko to odbywało się na terenie Austrii koło Linzu”.

W roku 1945 przebywał czasowo w amerykańskim obozie repatriacyjnym w Hersfeldgrund koło Linzu. Następnie na krótki okres czasu powrócił do Polski i przebywał w Krakowie do września. Lecz 4 października był już w Paryżu i od razu rozpoczął dalsze studia w Akademii de la Chaumière, które otworzyły mu drogę do znanej uczelni „École Nationale des Beaux Arts”. Studiował sztukę w Atelier profesora Narbonne do roku 1949. Tu poznał swoją przyszłą żonę, Eleonorę Reinhold, również artystkę malarzkę.

Dyscypliny uprawiane przez niego, to: akwarela, olej, pastel. Poglębiał jeszcze do roku 1950 swoją sztukę w Akademii André Lhote'a, która mu dała „dobre pojęcie o kompozycji obrazu, barwnej gamie, o rytmie plastycznym, uczyła patrzeć...” (W. Banach).

LEM pisał o jego pierwszej wystawie indywidualnej w Domu Polskiego Kombatanta w Paryżu:

„Podczas gdy w drugiej sali widzimy obrazy jeszcze pod wpływem francuskiego impresjonizmu i postimpresjonizmu, to w pierwszej sali są już obrazy, oparte na zdobyczach kubizmu, ale zupełnie wyzwolone spod wpływów obcych. Obrazy, w których artysta znalazł swój własny styl [...] Mam na myśli przede wszystkim dwie jego kompozycje o treści religijnej, jak np. „Pietà” i „Pietà z Aniołem”, „Matka z dzieckiem” o rytmie i kolorystyce, wyrażającej powagę i skupienie. „Zniewiarki” o rytmie wirowym i gorącej kolorystyce. „Notre-Dame de Paris” o przyciszonej gamie, dającej nastrój wysoce poetycki. Spotykamy tu obrazy o folklorze czysto polskim, w którym artysta daje wyraz tęsknocie za Krajem” (*Słowo Polskie*, 3 IV 1953).

W roku 1962 *Kultura* paryska przyznała Ekiertowi nagrodę plastyczną za rok 1961. J. Czapski pisał później o Ekiercie:

„Ciekawa jest ewolucja tego malarza. Artysta w pierwszym okresie pracuje z natury, maluje także kompozycje o naturę oparte, tylko że coraz silniej przestylizowane. Tamta epoka nie wydaje się jeszcze przekonująca, ma ona jednak tę zaletę, że artysta, od etapu do etapu, pogłębia swój stosunek do formy, swoją wiedzę kolorystyczną. Dopiero na ostatniej wystawie dominujące miejsce zajmują nieduże obrazy, już zupełnie abstrakcyjne. Prawie że miniatury abstrakcyjne, jeżeli porównamy te płótna z parometrycznymi kompozycjami, które dziś nagminnie spotykamy w Galeriach. W tych płótnach, już zupełnie oderwanych od wyobrażenia natury, artysta zdaje się mówić pełnym własnym głosem. Dopiero tu jest prawdziwie i do końca malarstwo”. (*Kultura*, Paryż, 4/174, 1962. Cytujemy za W. Banachem).

W roku 1984 zmarła żona Ekierta, Eleonora Reinhold. W tym samym roku Ekiert przekazał w darze bogaty zbiór obrazów w rodzinne strony: do Muzeum Okręgowego w Krośnie i

do Muzeum Historycznego w Sanoku, w którym urządzono stałą wystawę prac jego i jego żony. (Galeria Sztuki Współczesnej im. M. i F. Prohasków). Pozostałe w jego pracowni obrazy Jan Ekiert przekazał polskim muzeom, które nie posiadają jeszcze jego prac.

Ekiert od roku 1953 do 1990 miał 12 wystaw indywidualnych. Brał również bardzo często udział w wystawach zbiorowych w różnych miastach, od europejskich poprzez Jerozolimę do Kalifornii i Quebecu.

Ekiert zmarł w chwili, kiedy w Krakowie, w salonie Sztuki Polonijnej, przygotowuje się na jesień wystawę jego obrazów.

Aleksander GOŁDA

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najsmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Książki

Dzieje Romerów na Litwie

W końcu roku 1992 ukazały się w Warszawie dwa tomy pod wspólnym nagłówkiem „Z dziejów Romerów na Litwie”*. Książka wydana nieco wcześniej, w opracowaniu Danuty Komolowej, nosi tytuł „Nie ustawajmy więc w ochocie pisania...”, a druga „Pasma czynności ciągiem lat idące...”, przygotowana przez Annę i Andrzeja Rosnerów. Oba uzupełniające się tomy zawierają wybór przyczynków do historii rodu Romerów, zacierpniętych z niezwykle bogatych i dotychczas zachowanych archiwów rodzinnych, obejmujących 15 pokoleń i blisko 350 lat. W burzliwych dziejach ziem polsko-litewskich ocalenie tak bogatych zbiorów jednej rodziny należy do niezmiernie rzadkich wyjątków.

Początki historii Romerów, saskiego pochodzenia, sięgają czasów osiedlenia się niemieckich Kawalerów Mieczowych w Inflantach. Romerowie należeli więc do tzw. szlachty inflantkiej, która osiadła na Litwie. W polskiej historiografii nie mamy monograficznego opracowania określającego dokładnie znaczenie i wpływ jakie wywarła na dzieje Polski i Litwy ta grupa rodów, chociaż istnieje szereg drobniejszych przyczynków poruszających ten temat.

* *Z dziejów Romerów na Litwie. Nie ustawajmy więc w ochocie pisania... Z listów i dzienników trzech pokoleń.* Wybór, opracowanie i wstęp Danuta Komolowa. Str. 202, aneks i 18 ilustracji na kredowych wkładkach. (Wyd. Krag, Warszawa, 1992).

Z dziejów Romerów na Litwie. Pasma czynności ciągiem lat idące... Wybór, opracowanie i wstęp Anna i Andrzej Rosnerowie. Epilog Andrzej Romer. Str. 344, 7 ilustracji w tekście i 48 na kredowych wkładkach, 4 luźne tablice genealogiczne i mapa. (Wyd. Krag, Warszawa, 1992).

Na tle olbrzymiej masy około 23 tysięcy rodzin szlachty polsko-litewsko-ruskiej Inflantczycy stanowili grupę małą, która odegrała jednak znaczną rolę w dziejach Polski i jej kultury. Można wymienić bez trudu około 50 nazwisk spolonizowanych rodów, ale wystarczy wspomnieć takie jak Plater, Tyzenhaus, Zyberk, Reytan, Weyssenhoff, Manteuffel, Rosen, Mohl, Walden, Borch, Hylsen, Puttkamer, Korff.

Tom redagowany przez Rosnerów jest obszerny i zawiera wiele zaskakujących rozmaitości. Pierwszy rozdział „Pasma czynności”, stron 27, to lekko naszkicowane tło historyczne rodziny, ilustrowane cytatami i fragmentami rękopisów. Rozdział drugi, kończący się na stronie 90, obejmuje głównie wiek XIX. Mamy tu prawdziwy las rzeczy, od spisów bielizny i wypitych butelek szampana, poprzez listy miłosne, testamenty, uwagi agronomiczne, aż do spraw politycznych i historycznych dużej wagi. „Pasma czynności” zawiera też przebogatą galerię postaci, charakterów i sylwetek, które trudno wszystkie uwzględnić w krótkim omówieniu. Trzeci rozdział, poświęcony losom Eugeniusza Romera (1871-1943) i jego żony Zofii z Dembowskich (1885-1972) oraz ich dzieci, liczy prawie 200 stron i dotyczy czasów XX stulecia. Książka ta, wbrew początkowym pozorom, nie jest studium genealogicznym, ale dzięki tej redakcyjnej asymetrii czynności wypełniają ją zagadnienia i świadectwa jak najbardziej współczesne, należące do historii najnowszej.

Podstawą opracowań obu tomów są części archiwów rodzinnych Romerów, złożonych przed II wojną światową w Bibliotece Krasieńskich, w Warszawie, gdzie prawdziwym cudem uniknęły spalenia w r. 1939 i podzielenia losów spopielonych zbiorów Platerów z Muzeum w Rapperswilu. Zbiory znajdujące się obecnie w Bibliotece Narodowej w Warszawie liczą blisko 300 jednostek katalogowych. Niezmiernie bogate zbiory Romerów znajdują się też w Wilnie, w dawnej Bibliotece Wróblewskich. Niestety są tam wciąż jeszcze trudno dostępne, a zawierają ponad dwa tysiące pozycji katalogowych. Opierając się nawet tylko na zbiorach warszawskich redaktorzy obu tomów mieli prawdziwie trudny wybór wśród setek dokumentów.

Historia polonizacji rodziny zaczęła się na początku XVII stulecia, gdy Romerowie, co najmniej od czterech pokoleń, wrosli już w ziemię Kurlandii. Stefan Romer (1560-1635), syn Szymona i Zofii von der Wenge Lamsdorff, wnuk Bernarda i Katarzyny von Pfeilen von Piel, był wielkorządcą wszystkich ziem księcia Gotarda Kettlera w Inflantach. W na-

grode za wierną służbę książę znacznie powiększył już dość zasobne majątki ziemskie Romera w Kurlandii. Piętnaście lat później król szwedzki Gustaw Adolf zdobył większą część Inflant. Stefan miał do wyboru albo zostać w Kurlandii na swoich majątkach, uznając zabór Szwecji, albo opowiedzieć się po stronie króla polskiego i utracić całe bogactwo. Wybrał to drugie i w r. 1620 uszedł z rodziną do Wilna. Środki materialne wystarczyły mu tam zaledwie na kupienie małego dworku. Bezwzględna lojalność i wierność Rzeczypospolitej stała się od tej chwili jakby dewizą rodową Romerów, utrzymaną aż do czasów II wojny światowej.

Stefan Romer był żonaty z Elżbietą von der Ropp i zostawił sześciu synów, z których najwybitniejszym okazał się Mateusz (1606-1699). Dla niezamożnych synów rycerzy jedyną otwartą drogą do sukcesów była służba wojskowa, toteż Mateusz wstąpił do pułku wojewody Pawła Sapiehy. Życie Mateusza przypadło na burzliwe lata powstania Chmielnickiego, „potopu” szwedzkiego i nieustannych bojów. Jakkolwiek był on wyznania ewangelickiego, stał wiernie przy królu polskim, gdy szlachta polsko-litewska przechodziła masowo na stronę Szwedów. W roku 1662 otrzymał z rąk Pawła Sapiehy królewski patent na pułkownika, a w trzy lata później król Jan Kazimierz nadał mu tytuł podkomorzego parnawskiego. W r. 1673 został mianowany generałem-majorem wojsk litewskich. W tymże roku król Jan Sobieski awansował Romera na generała artylerii W. Księstwa Litewskiego. Nie mógł rozstać się ze swoją ukochaną artylerią, na którą wyłożył z własnej kieszeni blisko 400 tysięcy złotych; toteż z funkcji wojskowych zrezygnował mając 90 lat, na trzy lata przed śmiercią, przeżywszy sześciu królów na tronie Polski.

W swoim testamencie, pisany mieszaniną łaciny i polszczyzny, polecał synom i wnukom „aby uczciwą, z ojca na syna, czystą, wierną miłość w domu naszym nigdy nieodmienną ku Ojczyźnie niewzruszoną zawsze pielęnowali i w największych razach onej nie odstępowali. Biorąc sobie i przed oczy kładąc świetlany przykład i cnoty Dziada Swego, który wolał wszystkie dobra i fortuny mieć za nic i stracić w Inflanciech, a wiarę i cnotę Panu swemu i Rzeczypospolitej dotrzymać”.

Generał Mateusz Romer, żonaty z Barbarą von Weindte, był patronem i seniorem kościoła ewangelickiego na Litwie, ale jego trzech synowie przeszli na katolicyzm i pożenili się z pannami z rodów litewsko-polskich. Z portretu Mateusza, ju-

niora (zm. 1718), widać, że nosili już kontusze i przyjęli polski styl podgalańców, gdy generał nosił się jeszcze z cudzoziemską, z puklami włosów sięgających do ramion. Wszyscy trzej synowie generała objęli urzędy starostów, a wybitniejszy z nich Mateusz, junior, nabierał najwięcej tytułów, jak podstoli inflancki, sędzia ziemski, chorąży i podkomorzy trocki, oraz poseł na Sejm. Zatem polonizacja rodu Romerów nastąpiła szybko, już w trzecim pokoleniu od wejścia w służbę królów polskich.

Okres kariery podkomorzego Mateusza, juniora, przebiegał u schyłku panowania Jana III i początku epoki saskiej. Rosnerowie, redaktorzy tomu „Pasma czynności”, zauważyli iż tradycyjnie potępiane czasy saskie miały jednak „jaśniejsze punkty”, a „pierwsza połowa XVIII wieku nie była dla Rzeczypospolitej okresem straconym” całkowicie. Można tu dodać nawiasem, że stanisławowska epoka oświecenia nie spadła z nieba, ale wyrosła z epoki poprzedniej, mimo jej głębokich cieni. Za panowania Augusta III ukazała się pierwsza polska encyklopedia księdza Benedykta Chmielowskiego, „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencji pełna”, wydana w 1746. Rok później otwarto zbiory Załuskich, największą w owym czasie bibliotekę publiczną na kontynencie europejskim.

Żyjący w czasach saskich syn podkomorzego Mateusza, Stefan Jerzy (1687-1773), piastował urzędy wojskiego, chorążego, podwojewódzkiego i sędziego grodzkiego w województwie trockim. Romerowie, będąc rodziną pochodzenia niemieckiego z domieszką krwi duńskiej, odznaczali się talentami gospodarczymi i organizacyjnymi; toteż w ciągu zaledwie trzech pokoleń, zaczawszy właściwie z niczego, po utracie włości w Kurlandii, osiągnęli znaczne zasoby materialne i majątki ziemskie. Prawnuk generała Stefan Dominik (1721-1793) tak jak jego ojciec otrzymał urzędy chorążego, sędziego ziemskiego i podkomorzego województwa trockiego. Ożenił się z Barbarą Wołodkowiczówną, a później z Anną Pacówną z magnackiej rodziny. Córkę z pierwszego małżeństwa wydał za księcia Puzynę, potomka Rurykowiczów, a syn z drugiego małżeństwa poślubił księżniczkę Puzyniankę. Tak rodzina Romerów weszła w związki krwi z najznakomitszymi rodami Litwy. Potem doszły jeszcze pokrewieństwa z Platejami, Białozorami, Wańkowiczami i Tyszkiewiczami.

Wiek XIX był tragicznym zmaganiem zniewolonego narodu, który za wszelką cenę chciał znowu „wybić się na niepodległość”. Ziemiaństwo i szlachta ponosiły ogromne straty

biologiczne i materialne przewodząc tej walce, znaczonej powstaniem kościuszkowskim, wojnami napoleońskimi, powstaniem listopadowym i styczniowym. Losy tych zmagañ nie oszczędziły Romerów, których trzy pokolenia przeszły zesłania w głąb Rosji. Romerowie nie tylko umierali na zesłaniu, ale nawet tam rodzili się w domu niewoli.

„Dynastię zesłańców” rozpoczął Michał Józef (1778-1853), przewodniczący działu Wileńskiego Sądu Głównego w r. 1803, potem członek Komisji Sądowej Edukacyjnej Wileńskiej. Gdy Napoleon mianował w Wilnie, 1 lipca 1812, tymczasowy Rząd W. Księstwa, Michał Romer został prezydentem miasta. Drakońskie kontrybucje wymagane przez Francuzów, jak i rabunki zuchwałych żołnierzy, szybko ostudziły zapał i uwielbienie Litwinów okazywane Napoleonowi. Po kilku miesiącach Michał Romer ustąpił z prezydentury Wilna. W tymże 1812 związał się z ruchem masonskim, szerzącym idee patriotyczne i liberalne. Z ruchu tego wyrosły też w Wilnie studenckie organizacje Filaretów, Filomatów i Promienistych. O popularności Michała świadczy fakt, że został wybrany na marszałka szlachty powiatu trockiego w r. 1814. Pod wpływem loży masonskiej sejmik wileński opowiedział się za zniesieniem pańszczyzny. Romer, jako marszałek szlachty, pojechał do cara z delegacją przedkładającą petycję o uwłaszczenie chłopów. Car nie wyraził zgody i sprawę odłożono na wiele lat. Michał Romer był też współtwórcą Wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności oraz prezesem Towarzystwa Patriotycznego na Litwie. W latach 1820-1822 pełnił funkcje mistrza katedry litewskiej loży masonskiej „Doskonała Jedność” w Wilnie. Po śmierci Aleksandra I i wprowadzeniu nowych porządków przez cara Mikołaja I, został aresztowany w roku 1826. Więziono go w Warszawie i Petersburgu aż do lutego 1830, ale po wybuchu powstania listopadowego ponownie zesłano na dwa lata do Woroneża.

Pamiętniki i korespondencja Michała Romera oraz jego syna Edwarda (1806-1878) z zesłania w Woroneżu, Wołodzie i Ustiugu, obejmujące łącznie lata 1826-1852, wypełniają tom „Nie ustawajmy”, pod redakcją Danuty Komolowej, bibliotekarki i archiwistki wyspecjalizowanej w rękopisach. Autorka opracowania miała trudny wybór, co zamieścić na 200 stronach, gdy dzienniki i listy Michała liczą 780 stron, a jego syna Edwarda 3.234 strony z lat 1840-1852. Komolowa wybrała najciekawsze fragmenty, ale obraz życia na wygnaniu jest dość monotony. Życie to było dużo lepsze niż późniejszych więźniów z czasów komunizmu. W wieku XIX nie za-

brano Romerom majątków, tak że pieniądze płynęły z Litwy i urządzali sobie życie na zesłaniu w sposób mniej więcej normalny. W wypadku Edwarda, po przybyciu żony, nawet w gronie dzieci. Pamiętniki, chociaż wyprane przez cenzurę z komentarzy politycznych, dają jednak wiele cennych wiadomości o losach licznych zesłańców z Litwy.

Wracając do kart „Pasma czynności” trzeba powiedzieć w skrócie, że w czasie powstania styczniowego, wyżej wspomniany Edward, wraz z synem Izydorem, przebywał w areszcie domowym; natomiast najstarszy syn Edwarda, Alfred, został zesłany do Rosji na trzy lata. Los obszedł się z rodziną Romerów względnie łaskawie. Izydor (1843-1910), urodzony na zesłaniu, żonaty z Celiną Przeciszewską, osiadł w majątku swej małżonki na Żmudzi, w Cytowianach. Była to niegdyś posiadłość Wołłowiczów, potem Radziwiłłów i wreszcie Przeciszewskich odznaczająca się pięknym modrzewiowym dworem. W Cytowianach urodził się i wyrastał syn Izydora, Eugeniusz (1871-1943). Kształcił się w Warszawie, Wilnie i Rydze, a potem na wydziale ekonomii w Berlinie, ale doktorat nauk politycznych zdobył w Monachium. Po powrocie na Litwę administrował swoimi majątkami, obejmującymi ponad 7.500 hektarów.

W r. 1907 Eugeniusz Romer poznał Zofię Dembowską, córkę znanego wileńskiego lekarza, kobietę o wielkim talencie malarskim i wybitnej osobowości. W poprzednim roku, podczas pobytu w Krakowie i Warszawie, Zofia przeżyła swą pierwszą miłość. Uczucia swoje kierowała ku Bronisławowi Malinowskiemu, który odwzajemniał się również głębokim uwielbieniem. Malinowski, później światowej sławy uczony, w tym czasie pochłonięty studiami i przygotowywaniem doktoratu oraz wyjazdami na Wyspy Kanaryjskie dla ratowania wątłego zdrowia, pisywał do niej długie listy, ale obopólna miłość nie spełniła się.

Ślub Zofii i Eugeniusza odbył się po pięciu latach, dopiero po śmierci Izydora Romera, który sprzeciwiał się małżeństwu. Ważyły tu jeszcze przesady klasowe z XIX stulecia, gdyż dr Dembowski, jakkolwiek szlachcic, był według Izydora „człowiekiem, który pracował na życie”, a więc stojącym poza klasą właścicieli ziemskich. W owych czasach ubogi szlachcic, dzierżawiący jakiś kiepski folwark, jako „ziemianin”, miał dużo większe szanse zdobycia ręki panny z wielką fortuną, niż najbogatszy kupiec czy znakomity lekarz. Młoda para zamieszkała w Cytowianach. Zofia miała już za sobą studia malarskie w Krakowie i w Monachium oraz pełne

sukcesów wystawy w Krakowie i w warszawskiej Zachęcie.

Po roku 1918 Romerowie zdecydowali się na pozostanie w rodzinnych Cytowianach, pod rządami litewskimi, a Eugeniusz stał się przedstawicielem mniejszości trwającej przy polskich tradycjach. Po konfiskacie tysięcy hektarów, postanowił trwać jak na placówce w starym dworze, z małym kawałkiem ziemi o 80 hektarach. W Cytowianach napisał obszernie studium o stosunkach litewsko-polskich z końca XIX i początku XX stulecia, gdzie jest wiele interesujących spostrzeżeń. Według Romera ruch odrodzenia litewskiego, wzrastający od lat 1880-tych, nie był dostrzegany przez ziemianstwo, które w większości nie znało języka litewskiego, łączyło go z niepopularnym w tej warstwie socjalizmem i lekceważyło, nazywając go „litwomanią”.

Niestety ruch zaczął z czasem nabierać charakteru antypolonizmu, gdy głównie prowadzący go księża poczęli odpychać od konfesjonatów spowiadających się po polsku lub rugować polskie pieśni i czytanie ewangelii w kościołach. Można tu dodać, że po r. 1918 poczęto przymusowo zmieniać końcówki nazwisk -wicz i -owski na -vicius i -auskas, jeśli nawet były czysto polskie i nie miały nic wspólnego z Litwą. Powstawały takie dziwolągi jak Remeris, Plateris, Korsakas lub Lanckorońskis. Litwa straciła wtenczas kilku zdolnych ludzi, którzy nie mogli się pogodzić by jakiś urzędnik zmieniał im nazwisko, mające za sobą setki lat tradycji. W Warszawie nikomu nie przeszkadzało jeśli ktoś nazywał się Gregolajtis, Januszajtis czy Jasiuvenas. Romer daje przykład, gdy rodzina nosząca niegdyś prastare nazwisko Raszymas, zmienione na Herasimowicz, zamiast wrócić do oryginalnego brzmienia, zaczęła zwać się Gerasimowiczus.

W latach 1880-tych po litewsku mówił tylko lud zachodniej i północnej Żmudzi. Reszta Litwy w większości używała polskiego, czego przykładem, jak pisał Romer, że jeszcze w r. 1927 na 91 osób w departamencie leśnictwa, poddanych egzaminowi z języka litewskiego, tylko 6 wykazało jego dostateczną znajomość; wśród 15 urzędników ministerstwa rolnictwa tylko 3 osoby zdały ten egzamin. Romer był zdania, iż ziemianie powinni byli znać litewski, chociaż nie było podręczników, ani okazji do mówienia. Uważał też, że polska inteligencja powinna była włączyć się w ruch odrodzenia i pokierować nim.

Zmarły w Sydney, nieodżałowany Edmund Jakubowski, potomek opisanej przez Sienkiewicza szlachty laudańskiej, świetny dziennikarz, w latach 1930-tych redaktor *Dnia Kowień-*

skiego, który potem drukował w *Kulturze* paryskiej prowadził „Kronikę litewską” jako E. Żagiell, przedstawił w *Tygodniku Polskim* (Melbourne, 22-12-1979) metody depolonizacji Litwy. Jakubowski stwierdził m.in., że gdy w niemieckim spisie ludności z r. 1916, 42% mieszkańców Kowna podawało się za Polaków, to po 50 latach było ich tam 1%, gdy w odległej Rydze jeszcze 3%.

Interesującym punktem tomu „Pasma czynności” jest list, na czterech przeszło stronach, Michała Piusa Romera (1880-1945), kuzyna Eugeniusza, do Józefa Piłsudskiego. List ten był odpowiedzią na przemówienie Piłsudskiego po zajęciu Wilna, w maju 1922 roku, przez „zbuntowanego” Żeligowskiego. Trzeba tu zaznaczyć, że Michał Pius Romer służył w Legionach i początkowo był wielkim entuzjastą Komendanta, a Piłsudski chciał mu powierzyć tworzenie rządu w Wilnie, złożonego z Litwinów i Polaków. Nie ma tu miejsca na zacytowanie całego listu, ale może warto wyjąć z niego chociaż kilka fragmentów:

„...Mową swoją, Panie, stwierdziłeś, że należysz do historii nie tylko Polski, ale i do Litwy czyni Twoje należą i w nich przeto Litwie wobec historii winienes odpowiedzialność. Polak takiej mowy o Wilnie, jak Twoja, wygłosić by nie mógł, a gdyby wygłosił to zaprzeczyłby zasadzie, na której Polska opiera swe roszczenia. Pierwsza część mowy, zawierająca hołd głęboki dla prastarej Litwy, której twórczym dziełem jest Wilno, symbol zaklęty litewskiej woli i czynu, wielka stolica narodu — jest pełna siły i piękna. Właściwy wniosek jej streszcza się w jednym powiedzeniu, zawartym w mowie Twojej: nie było nas — był las, nie będzie nas — będzie las. W mowie Twojej, w związku z tym coś powiedział o stolicy i Litwie, słowa te nie mogą być inaczej zrozumiane, jak że była tutaj w Wilnie Litwa przed nami, zanim myśmy (czytaj: Polacy) tu przyszli; i będzie tu Litwa cokolwiek byśmy usiłowali zrobić (albo — gdy odejdziemy). Innymi słowy: Wilno — Litwy dzieło i stolica — jest i pozostanie takim, a nie innym, bo takim go wielka wola pokoleń i narodu stworzyła. (...) Nie będzie nas — będzie las: Wilno odzyszcze swoje stanowisko, wróci do związku z Litwą, jako prawowita też stolica, przez nią stworzona. Moc tego stwierdzenia Litwy w Wilnie jest w mowie Twojej, Panie, niezrównana. Żaden Litwin nie potrafiłby wyrazić tego lepiej i głębiej. (...)

Pojmuję tragedię Polaków litewskich, którzy nie są ani wyłącznie Litwinami, ani wyłącznie Polakami. Sam nim jesteś. (...) I dlatego Ty, Panie, któryś był wielki tworząc Polskę Nie-

podległą, i któryś miał złoty róg czynu twórczego w Polsce, w sprawie litewskiej słaby jesteś i zwyciężony zawsze. Twoja polityka wschodnia zbankrutować musiała i Twoje wielkie pomysły federacyjne są w wykonaniu nie lotem orła, lecz stapaniem karła. Twoje czyny w tej sferze, siłą rzeczy, wbrew może Twoim zamiarom, nie tworzą tego, czego Ty pragniesz, lecz są narzędziem tego, czego chcą Polacy, pospolici nacjonałści polsko-etnograficzni, a Ty służą ich się stajesz i sankcjonować musisz ich kombinacyjki i spekulacje Twoimi czynami wykonywane. (...) Nie zwyciężysz, Panie, i w dziejach Litwy nie zapiszesz się zgłoskami imion wielkich bohaterów, o ile... Wallenrodem nie jesteś. O ile nim nie jesteś, dzieło, które tworzysz w Wilnie nie jest ani wielkim, ani Twoim. Jest ono dziełem przemocy i panowania, dziełem elementarnego nacjonalizmu Polski. Jest ono dziełem nawet nie Dmowskich, lecz arcybiskupów Teodorowiczów i jemu podobnych... (...)

Walczyłem, Panie, pod Twoim przewodem o niepodległość Polski. Wierzyłem, że ta niepodległość jest drogą do niepodległości i mojej ojczyzny, Litwy, i jej gwarancją. Wiary tej osobście nie straciłem dotychczas, pomimo wszystko co zaszło. (...) Czcilem Cię, Panie, w wojnie o niepodległość, boś był w niej wielki. Nie jesteś nim jednak w dziejach Litwy. Ścierp, że Ci to mówię ja, jeden z Twojego szeregu. Mówię Ci to, boś sam Litwinem się nazwał i litewskim słowem przemówił, więc przez Litwę sądzony będziesz.

Pojmuję, że związek Wilna z całością Litwy, który się nieodwołalnie przywrócić musi, dokonać się nie może pod hasłem *ausrotten* nas, Polaków litewskich, to znaczy tej części narodu krajowego, która z biegu dziejów Litwy nie tylko przyjęła, ale przetrwała w sobie kulturę polską, wytwarzając szczepek psychicznie nowy. Ten szczepek, z którego wyrastają ludzie jak Kościuszko, jak Mickiewicz, jak nawet Ty, Panie, tak różny charakterem i wolą od etnograficznego szczepu polskiego, nie może zginąć i ma prawo do bytu i do wydawania nadal owoców w Ojczyźnie. Odradzająca się Litwa będzie syntezą całości, w której i ten szczepek wyraz swój znajdzie. Wilno będzie tej syntezy czynnikiem głównym i koniecznym”.

Autor tego listu, Michał Romer, człowiek nieprzeciętnie inteligentny, prawnik kształcony w Petersburgu, Krakowie i Paryżu, odegrał dużą rolę w tworzeniu się państwowości litewskiej, jako członek Najwyższego Trybunału, profesor i rektor uniwersytetu w Kownie i przedstawiciel Litwy przed Trybunałem Haskim, broniący praw litewskich do Kłajpedy. Mylił się jednak bardzo wierząc, że Litwa niepodległa wytworzy wymarzoną przez niego „syntezę” kultury polsko-li-

tewskiej, gdy pod rządami Voldemarasa i Smetony bliższa była hasła *ausrotten*. W latach 1918-1938 nastąpiła gwałtowna i celowa depolonizacja Litwy. Michał Romer sam się do tego przyczyniał, wbrew temu co pisał do Piłsudskiego w poprzednio wymienionym liście. Podobno do końca życia utrzymywał żywe stosunki z Polakami i pielęgnował idee zbliżenia polsko-litewskiego.

Rozważania historyczne z kategorii — Co by było gdyby? — nie mają wiele sensu. Wspomniany list nasuwa jednak myśl jak potoczyłoby się koło historii gdyby Piłsudski nie kazał Żeligowskiemu wykonać ostatniego zajazdu na Litwę? W Polsce II Rzeczypospolitej uważało się, że Piłsudski dobrze zrobił wysyłając Żeligowskiego, gdyż nikt prawie nie wątpił, że ówczesne Wilno, z dwoma procentami Litwinów, było nie tylko miastem polskim, ale jednym z głównych ośrodków twórczej kultury narodowej. Można przy tym wtrącić, że było również promieniującym na cały świat ośrodkiem kultury żydowskiej. Z drugiej strony od czasów Giedymina Wilno było zawsze stolicą Litwy, a nie prowincjonalne Kowno. Pewne jest też, że mieszkańcy Wilna i okolicznych powiatów w r. 1922 nie życzyli sobie rządów nacjonalistów litewskich. Czy można było dojść do porozumienia z narodem prowadzonym przez ludzi o mentalności Voldemarasa i Smetony, gdy analfabetyzm rdzennych Litwinów sięgał 45 %? Czy polskie Wilno w granicach państwa litewskiego wywarłoby wpływ i wytworzyłoby inną atmosferę współpracy i serdeczności na Litwie z roku 1922? Czy zniknęłyby preteksty do rugowania i prześladowania Polaków? Czy Piłsudski niepopularny w Wielkopolsce mógł sobie pozwolić na zrażenie kresowiaków? Z perspektywy 70 lat można się spytać co dało utrzymanie Wilna w granicach Polski przez kilkanaście lat? Wychowano pokolenie patriotów wileńskich, które zapełniło szeregi Armii Krajowej i męczenników II wojny światowej. Z drugiej strony Litwa wychowała pokolenie pełne nienawiści do Polaków i polskiej kultury.

Wróćmy do dworu w Cytowianach. W ostatnich miesiącach niepodległości Litwy i początkach okupacji sowieckiej 1940-1941 Eugeniusz Romer jako członek Związku Walki Zbrojnej współpracował z polskim podziemiem. Przez krótki okres istnienia Litewskiej Republiki Radzieckiej Romerowie byli pozornie tolerowani. Powstał projekt stworzenia w Cytowianach muzeum, do którego zaczęto zwozić przedmioty sztuki z opustoszałych dworów. Kustoszem zbiorów miała zostać Zofia Romerowa, która uzyskała wśród Litwi-

nów wzięcie, prestiż i uznanie jako wybitna artystka malarka. Niestety na tydzień przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej, dnia 16 czerwca 1941, NKWD zabrało Romerów z Cytowian, włączając ich do transportu zesłańców, skierowanego do Syktywkaru w północnej Rosji. Tam Zofię Romerową posłano do fabryki zabawek jako artystkę. Oboje pisali dzienniki na wygnaniu, które doskonale obrazują drogę i pobyt wysiedleńców w Rosji. Te pamiętniki zajmują około 150 stron, prawie pół książki „Pasma czynności”. Karty dzienników przeplatają się i uzupełniają wzajemnie, Eugeniusza nieco filozoficzne, a Zofii bardziej literackie i malarskie w opisach.

Na szczęście wkrótce przyszło zwolnienie i oboje Romerowie dostali pracę w delegaturze ambasady RP w Syktywkarze. Szczególnym trafem stryjeczny brat Eugeniusza, zawodowy dyplomata, Tadeusz Romer (1894-1978), poprzednio ambasador RP w Tokio, został ambasadorem w Kujbyszewie. Tam też przenieśli się Eugeniusz i Zofia. Książka kończy się śmiercią Eugeniusza Romera w Kujbyszewie i opisem pogrzebu w dniu 4 maja 1943 r.

Epilog zamykający „Pasma czynności”, napisany przez Andrzeja Romera, syna Eugeniusza i niedoszłego dziedzica Cytowian, daje zwięzły obraz dziejów jego własnych i rodzeństwa w czasie wojny. Najciężej losy doświadczyły starszą jego siostrę, Zofię Hemplową, która uciekając z Litwy przed Rosjanami trafiła do Warszawy, gdzie z małym synkiem przeszła piekło powstania i obozu w Pruszkowie, zanim połączyła się z mężem drem Janem Hemplem w Anglii, skąd wyjechali do Australii. Smutną refleksję nasuwa fakt, że nie ma już Romerów w męskiej linii ani na Litwie, ani w Polsce, jakżeby oni się tam teraz przydali. Potomkowie rodziny żyją w Anglii, Australii, Belgii, Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych, ale z młodszego pokolenia nie wszyscy znają polski język.

Wypada jeszcze podkreślić bogactwo materiału ilustracyjnego w reprodukcjach i fotografiach na kredowym papierze, jakie zdobią oba tomy. „Pasma czynności” liczy ich 54, w tym kolorowych 26, a „Nie ustawajmy...” 15 czarno-białych i 5 kolorowych. Wśród cennej galerii portretów jest podobizna generała artylerii pędzla Juliusza Kossaka i pastel Zofii z Dembowskich Romerowej wykonany przez Witkacego, jak również jej własne rysunki i obrazy, stawiające przed oczyma Wilno oraz dawną Litwę. Obecnie Litwini uważają słusznie Zofię Romerową za najwybitniejszą malarkę litew-

ską, obok słynnego Mikołaja Cziurlonisa (1875-1911). Jej wielka wystawa zbiorowa objechała w ciągu ostatnich dwóch lat galerie Kowna, Wilna i Szawel, a w czerwcu 1993 r. otwarta została uroczystie w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Zamykając omawiane książki „Z dziejów Romerów na Litwie” nasuwają się myśli, że jesteśmy świadkami zanikania kultury polsko-litewskiej, niepowtarzalnej symbiozy tradycji bojarów litewskich i szlachty polskiej, jakże wymieszanej węzłami krwi. Ile krwi polskiej płynie w żyłach Litwinów, a ile litewskiej w żyłach Polaków, nikt nie zgadnie. Ta kultura, jedyna w swoim rodzaju, która wydała Kościuszkę, Mickiewicza, Platerów, Piłsudskiego, Narutowicza, Witkiewiczów, Miłosza, zetraca się w pamięci i świadomości ludzkiej.

Polska II Rzeczypospolitej nie była już, pomimo oficjalnych pozorów, krajem tolerancyjnym w pełnym tego słowa znaczeniu. Piłsudski marzył jeszcze o federacji z północno-wschodnimi sąsiadami i spodziewał się, że na Litwie uda się wytworzyć współżycie obu kultur, ale plany te rozbiły się o świeżo wyrosły nacjonalizm Polski i Litwy. Kultura, która z niemieckich Platerów i Romerów potrafiła na Litwie ukształtować najwierniejszych patriotów, w Poznaniu z rodziny von Unruh polskich Unrugów, a nawet pod zaborami z von Pohlenburga — Wincentego Pola, z von Winklera — Wojciecha Kętrzyńskiego, stała się odpychająca dla sąsiadów.

Sprawy te są trudne do zrozumienia gdy rodzeni bracia reprezentowali dwie narodowości: Stanisław Narutowicz zasiadał w litewskiej Tarybie, a Gabriela wybrano na prezydenta Polski. Do zrozumienia tego nie pomógł niżej podpisanemu fakt, że jego dziad urodzony na Żmudzi, z matki Litwinki, ochrzczony przez litewskiego księdza w kościele w Gawrach, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Cytowian, uważał się za Litwina, który miał dwie ojczyzny: Polskę oraz Żmudź i zamieniał je jak pokoje we własnym mieszkaniu.

Lech PASZKOWSKI

Europejczycy

Książka, którą zamierzam omówić*, ma ambicję scharakteryzowania narodów tworzących formację geograficzno-kulturalną zwaną „Europą” w terminach tzw. typowych cech. Metodologicznie jest to pojęcie wątpliwe, zwłaszcza jeśli jest stosowane w sposób absolutny (np. „każdy Szkot jest skąpy, każdy Polak jest lekkomyślny”), niemniej ułatwia ono orientację w różnorodności obyczajów na naszym kontynencie. Przypuszczalnie właściwszym ekwiwalentem pojęcia „charakter narodowy” o nieco rasistowsko-deterministycznym posmaku byłoby określenie „narodowy *savoir-vivre*”, gdyż chodzi tu raczej o odruchy i skalę wartości nabyte przez wychowanie, niż o dziedzictwo genetyczne. Faktem w każdym razie jest, że pewne typowe zachowania grupowe istnieją. Inaczej żarty, przytoczone przez autora we wstępie nie byłyby ani zrozumiałe, ani zabawne. Oto dwa dla przykładu. Co to jest niebo i piekło? Niebo — miejsce gdzie policja jest brytyjska, kucharze francuscy, mechanicy niemieccy, kochankowie włoscy, a wszystko zostało zorganizowane przez Szwajcarów. Piekło: kucharzami są Brytyjczycy, mechanikami Francuzi, policjantami Niemcy, kochankami Szwajcarzy, a organizacja jest włoska. Jaki winien być idealny pracownik w międzynarodowej firmie europejskiej? Powinien mieć brytyjski zmysł internacjonalizmu, francuską skromność, niemiecki urok, belgijski styl prowadzenia samochodu, hiszpański talent lingwistyczny, holenderską szczodrość, szwajcarską pogodę, skandynawską lotność i grecki takt.

Autor jest Anglikiem mieszkającym od lat w Brukseli czyli siedzibie Wspólnego Rynku i z racji zawodu — określonego w notce na obwołucie jako *communications specialist* (w praktyce: pośrednik w negocjacjach między firmami) — ma wiele kontaktów z ludźmi rozmaitych narodowości. Jego książka nie jest oczywiście pierwszą pracą na ten temat (Hill sam odwołuje się często do poprzedników; warto tu odnotować dwie pozycje: Luigi Barzini, *The Europeans*, London 1983 i Flora Lewis, *Europe — A Tapestry of Nations*, NY 1987), ani nie stanowi ostatniego słowa na ten temat. Jest jed-

* Richard Hill, „*We Europeans*”, Europublications, Brussels 1992, str. 354, ISBN 90-74440-01-0.

nak interesująca, ponieważ daje dość dobry obraz aktualnej wypadkowej spostrzeżeń, stereotypów i prób ich rewizji w dziedzinie, którą można by nazwać „etnosocjologia ogólnikowa”.

Praca składa się z 10 rozdziałów, ale najważniejszym (i najdłuższym — ponad 150 stron) jest eponimiczny rozdział 3, pt. „My Europejczycy”. Samo uszeregowanie omawianych w nim nacji daje pojęcie o współczesnej ocenie ich ciężaru gatunkowego i roli w Europie. Kolejność ta jest następująca (kwalifikacje po myślniku są odautorską próbą uchwycenia odpowiedniej „esencji narodowej”): Brytyjczycy — społeczeństwo sentymentalne; Francuzi — dociekliwi indywidualiści; Niemcy — metodyczni mistycy; Hiszpanie — egocentryczni egalitaryści; Włosi — urodzeni esteci; Belgowie — oportuniści bez przesądów; Holendrzy — demokratyczni dogmatycy; Szwajcarzy — cwani pacyfiści; Austriacy — sentymentalni schizofrenicy; Pogranicze celtyckie (tzn. Irlandczycy, Szkoci, Walijczycy) — przedziwne zjawisko na Zachodzie; Nordycy — nieśmiałość i eksperymenty socjalne; Portugalczycy — bierni romantycy; Grecy — inteligentni improwizatorzy; Słowianie — bigos kulturalny. Dodajmy od razu, że autor sam przyznaje, iż podział ten ma raczej charakter terytorialny i kulturowy, a nie ściśle antropologiczny czy językowy (np. „Słowianie” obejmują też Węgrów, Rumunów i kraje bałtyckie), oraz że umieszczenie Brytyjczyków na pierwszym miejscu wynika nie z faworyzowania, tylko z racji pochodzenia naród ten interesuje go najbardziej.

Byłoby oczywiście zbyt nużące streszczać wywody Hilla grupa po grupie, ograniczę się więc do krótkich komentarzy dotyczących proponowanych przezeń „esencji narodowych” (o ile nie rozumiem się same przez się) i do wyrywkowych cytatów.

Zacznę od tego, że określenie Anglików z przyległościami mianem „społeczeństwa sentymentalnego” wydaje mi się trochę dziwne. Hillowi chodzi tu zapewne o wielokrotnie przezeń podkreślany fakt, że na brytyjskiej skali wartości wciąż jeszcze pojęcie „jakości życia” dominuje czyste (!) „bogactwo”. Przez „jakość” rozumie on nie tyle wartości ekologiczne (choć te też się liczą), co kwestie wyznaczników statusu człowieka w społeczeństwie. Naczelnym takim wyznacznikiem w Anglii jest przynależność klasowa, która — w przeciwieństwie do takich krajów jak Belgia czy Szwajcaria (nawiasem mówiąc *bête noire* autora) — nie ma charakteru wyłącznie materialnego; „klasę” brytyjską określa cała gama im-

ponderabiliów, z których najważniejszymi są akcent (czyli wykładnik wykształcenia), ubranie i pochodzenie. Za drugą cechę tej wciąż jeszcze cenionej „jakości życia” autor uważa przywiązanie Brytyjczyków do pojęcia *fairness*, czyli uwzględniania racji innych. Jego zdaniem to właśnie przyczyniło się do rozpowszechnienia stereotypu „brytyjskiej hipokryzji”: tradycyjne wychowanie nakazujące wstrzemięźliwość w sformułowaniach i oszczędzanie uczuć innych prowadzi do tego, że gdy przebierze się miarka i dany Anglik w końcu się „postawi”, spotyka się z zarzutem, że był obłudnikiem przez cały czas. Z drugiej strony Hill nie idealizuje swych współrodaków; zarzuca im, że o ile są wrażliwi w kontaktach indywidualnych, o tyle też przejawiają niezwykłą nieczułość kulturalną w sensie ostentacyjnego podkreślania swej odrębności. Z tej racji Niemcy powiadają o Anglikach: „Sycylijczycy Północy”.

Przejsie od „Brytyjczyków” bezpośrednio do „Francuzów” jest usprawiedliwione m.in. tym, że oba te narody od wieków przejawiają wobec siebie klasyczną *Hassliebe*, czyli połączenie niechęci i fascynacji. Pod wieloma względami zdają się być wzajemnym przeciwieństwem: angielskiej powściągliwości Hill przeciwstawia francuską asertywność (uprzejme określenie bezczelności) i zamiłowanie do „pokazania się”; brytyjskiej nieufności do nadmiaru teorii — to, co Francuzi z dumą nazywają „kartezjanizmem”, a co postronny socjolog (Theodore Zeldin) nazywa „olśniewającą inteligencją przy braku zdrowego rozsądku”. Jako przykład Hill cytuje częste skargi na francuskie dokumenty handlowe redagowane w tak abstrakcyjnych terminach i tak przemyślnie rozbite na paragrafy i podpunkty, że trudno zorientować się w ich treści.

Francuskie poczucie wyższości przejawia się zarówno indywidualnie (nienawidzą przyznania się do pomyłki) jak i zbiorowo (*gloire de la patrie* przechodząca w otwarty szowinizm); jednym z produktów ubocznych tej postawy jest skuteczne ośmieszanie na terenie międzynarodowym swych sąsiadów, szczególnie południowych (Włochów) i północnych (Belgów — francuskie dowcipy o nich są odpowiednikiem amerykańskich *Polish jokes*). Dla równowagi Hill przytacza opinie belgijskiego *businessman’a* o jego francuskich partnerach: „aroganczy, styl bardzo kwiecisty, mnóstwo fałszywych obietnic, często są źle przygotowani do negocjacji i — co zadziwiające — wcale nie tacy dobrzy w rachunkach”. Tenże Belg przyznał jednak Francuzom otwartość umysłową, urok osobisty i poczucie humoru (towary z lekka deficytowe w ojczyźnie opiniodawcy, dodajmy).

Skoro mowa o Belgach, odstępmy na chwilę od narzucanej przez autora kolejności i przenieśmy się na chwilę nad Skaldę. Opinia Hilla o tych „oportunistach bez przesądów” jest dużo pozytywniejsza, niż obraz utrwalony we francusko-holenderskich dowcipach na ich temat (jeden dla ilustracji: „Gdy Belgijki po raz pierwszy usłyszały słowo *sex*, sądziły, że to nowa marka proszku do prania”). Za ich główne cechy pozytywne autor uważa pragmatyzm i przywiązanie do życia rodzinnego; jak wszystko, może to mieć także i mniej atrakcyjne przejawy — „pragmatyzm” niekiedy trudno odróżnić od sobkostwa (matka do dziecka, które chciało ustąpić miejsca w tramwaju: „nie wstawaj, zapłaciłam za ciebie”), a „rodzinnosc” sprzyja autorytarno-paternalistycznemu stylowi także w strukturach publicznych („pan dyrektor jest na urlopie, a bez niego nie podejmuje się żadnych decyzji”). Autor odnotowuje pewne podobieństwo Belgii do Włoch (oczywiście nie w odniesieniu do pejzażu i pogody!) — „nos do okazji, podziemna ekonomia i mafijność *establishment’u*” — i tłumaczy to wspólnym obu krajom brakiem historycznej ciągłości. W wypadku Belgii tłumaczy to też coraz ostrzejszy brak kohezji państwowej, który Hill ilustruje następująco: „wyobraźmy sobie skrzyżowanie równorzędnych ulic, na które ze wszystkich stron wjeżdżają równocześnie samochody — rzecz dzieje się w Belgii, więc każdy wjeżdża w miarę ostrożnie na swoją ćwiartkę, blokując drogę innym i sobie. Odnosi się to szczególnie do przepychanki flamandzko-walońskiej”. Luksemburg — mimo że etnicznie bardziej niemiecko-alsacki, niż francusko-waloński — nasz autor traktuje jako podparagraf Belgii: „Żadnej ekscentryczności w stroju czy zachowaniu; uporządkowane, drobnomieszczańskie społeczeństwo zorientowane na pieniądze”. Jako ciekawostkę (?) Hill dodaje, że idylliczno-bankowy Luksemburg ma dwukrotnie wyższy od europejskiej przeciętnej wskaźnik morderstw — prawie 10 na 100 tys. ludzi rocznie.

Żeby nie zanudzić czytelników nadmiernie, nim przejdę do szczególnie nas interesujących pozycji „Niemcy” i „Słowianie” przerwę tę wyliczankę na chwilę, podając garstkę rodzynek wybranych z książki na chybił trafił, a dotyczących innych omawianych przez Hilla braci-Europejczyków.

Ad „Włosi”: „Zawsze brylowali w dziedzinach, w których rzeczka najważniejszą jest wygląd — [takich jak niegdyś] architektura, zdobnictwo, parki, sztuka figuralna, widowiska, ognie sztuczne, ceremonie i opera, a obecnie wzornictwo przemysłowe, sztuczna biżuteria, moda i kino” (cytat wg. L. Barzini, *The Italians*, NY 1964).

Do tegoż tematu: „Najlepsza kuchnia na świecie — *pace* Francuzi!” (Hill, omawiana książka); „wszystko [w tej kuchni] pachnie, wygląda i smakuje uczciwie — każdy składnik jest ostro wyróżniony i wierny swej naturze” (L. Barzini, op. cit.); „Zgadzam się w 100%” (M. Bronski).

Ad „Holendrzy”: „Być Holendrem to znaczy nieustannie borykać się z dwuznacznością materializmu ich dziwną lecz nader specyficzną metodą: stosując go na co dzień, wygłaszając kazania przeciw broni nuklearnej w niedzielę, a w poniedziałek dopełniając rytuału szorowania chodnika przed domem”. (Simon Schama, *The Embarrassment of Riches*, London 1987).

Tenże temat plus „Belgia” — instrukcja dla pilota lecącego po raz pierwszy z Nowego Jorku do Brukseli: „Polecisz na wschód, aż zobaczysz łąd — to jest Europa; potem zobaczysz sznury suszącego się świeżo wypranego papieru toaletowego — to jest Holandia; tam skreślisz ostro na prawo i zaraz wylądujesz — to jest Belgia”.

Ad „Hiszpania” — „Jeden z ostatnich krajów w Europie, gdzie ludzi ocenia się nie po tym co mają, tylko czym są; gdzie bieda nie jest automatycznie hańbą, a bogacze nie są podziwiani bez zastrzeżeń. [...] Mam zaszczyt znać dwóch szacownych hiszpańskich gentlemanów z równie szacownego miasta Leon [...] Obaj są dobrze po 60-tce i obaj są emerytami. Obaj są uprzejmi, gościnni, zorientowani w bieżących sprawach i zainteresowani światem wokół nich. Obaj świetnie znają wszystkie miejscowe zabytki, ciekawostki geograficzne i lokalne tradycje. [...] Pielęgnują starannie swe ogródki, obserwują z uwagą i przyjemnością zmiany pór roku i mówią z dumą o swym kraju. Różnią się tylko tym, że przed emeryturą jeden z nich był profesorem uniwersytetu, a drugi szoferem ciężarówki” (Hill).

Ad „Szwajcaria” — „Są praktyczni — więc wierzą w komfort i bezpieczeństwo” (Hill); „Faszystowski Disneyland” (znajomy Hilla, Niemiec *nota bene*); prawo i porządek — rzekomo autentyczny wypadek: z uwagi na obowiązek ciszy nocnej rada gminna w jakiejś miejscowości nakazała pasterzom zdejmować krowom dzwonki pomiędzy godziną 8-mą wieczór i 7-mą rano.

Do tegoż tematu: „Cały świat kocha szwajcarskiego franka, ale tylko Szwajcarzy uwielbiają szwajcarskiego centa” (George Mikes).

Idem + „Austria”: „Dusza austriacka to *Mozartkugel* [= pralinka czekoladowa z wizerunkiem Mozarta], podczas gdy

osobowością Szwajcara jest sekret bankowy” (niejaki Dr Franz Schuh).

Ad „Szwecja”: „Po stworzeniu bardzo ciekawej formy społecznej zwanej w czasach konfliktu 'kapitalizm — komunizm' Trzecią Drogą, zdają się obecnie uważać ją za zbyt nudną czy też zbyt kosztowną. Wysokie podatki wytworzyły podejście do pracy 'odtąd dotąd', które dzięki pożywcze długich wakacji i rozlicznych możliwości rozrywkowych zakorzeniło się tak głęboko, że mowy nie ma o jego wypaleniu. Do wspomnianych możliwości zaliczają się m.in. piękne dziewczyny, co być może tłumaczy ogromną ilość włoskich i greckich mechaników samochodowych, właścicieli restauracji i kelnerów w tym kraju” (Hill).

Ad „Finowie”: „Nasi czworonożni przyjaciele” (Rosjanie o fińskich wycieczkach turystyczno-alkoholowych).

Taki *collage* można by przedłużać dowolnie długo, wróćmy więc do bardziej systematycznego przeglądu. Podrozdział o Niemczech Hill zaczyna od cytatu z Nietzschego: „Niemcy wszystko zawsze komplikują — sobie i innym”, który można uznać za raczej niepochlebną charakterystykę słynnego niemieckiego perfekcjonizmu czyli *Gründlichkeit*. Zdaniem naszego autora jest to jeden z przejawów zasadniczej niepewności, leżącej u podstaw zarówno arogancji jak i pewnej służalczości Niemców zależnie od okoliczności. Jak ktoś to określił: „Cały problem z nimi polega na tym, że albo skaczą do gardła albo padają do nóg”. W mniej dramatycznych terminach oznacza to, że kontakty z nimi są nacechowane większą zazwyczaj intensywnością (nerwową i emocjonalną) niż np. z Anglikami. Wydaje mi się to trafnym spostrzeżeniem, choć niepatriotycznie dodam, iż coś podobnego można by też powiedzieć o Polakach, szczególnie w ostatnich latach. Ach, ta niepewność...

Zgodnie ze swą tendencją do wyjaśniania cech grupowych okolicznościami historycznymi Hill odwołuje się w tym miejscu do niemieckiego socjologa Fernaua i przytacza jego opinie na ten temat. „Osobowość niemiecka ukształtowała się ok. 1400 r. Ten biorący wszystko dosłownie, ciasny światek małych miast nie posiadających autorytetu państwa wytworzył typ człowieka poszukującego zadowolenia swego *ego* w trywialnych sprawach, [...] wielbiciela tytułów, który kipi wewnętrznie, gdy nie zwrócić się doń per '*Herr Doktor*', [...] haniebnego 'milczącego kontestatora', który potrafi wszystko przełknąć tylko dlatego, że aż po rok 1400 nie stał za nim

autorytet państwa". Poczucie izolacji, kruchości, niepewności prowadzi z kolei do przesadnego umacniania się za pomocą innych — czyli w praktyce do nadmiernego konformizmu i klanowości narodowej ('*wir sind ja unter uns...*' — przy czym to '*wir*' wyklucza z zasady wszelkich nie-Niemców). To z dawna odziedziczone poczucie niepewności jest zdaniem Hilla powodem, że Niemcy są obecnie najbardziej konserwatywnym i ostrożnym narodem w Europie.

Przejdźmy na koniec do „Słowian” w szerokim pojęciu Hilla. Naturalnie zaczyna od Rosjan, przypisując im dwie zasadnicze cechy: pasywność, udokumentowaną dziesięcioleciem milczącego cierpienia po rewolucji, oraz odwagę — zademonstrowaną w czasie II wojny światowej. Zaraz potem idą Polacy, sąd o których przytoczę prawie *in extenso*: „[Posiadają] wiele cech rosyjskich — wliczając w to heroizm (choć bardziej teatralnego rodzaju) — ale nie są bierni”. Mają też — szczególnie wśród starszej generacji — „przesadne pretensje do szlacheckiego pochodzenia, rzeczywiste lub rzekome, oraz wielkie zamiłowanie do fantazyjnej formy romantyzmu. Niewątpliwie ma z tym coś do czynienia Chopin, ale wynikająca z tego karykatura przyniosłaby chlubę Liberace. W lepszym wydaniu ten romantyczny naddatek można interpretować jako rycerskość i, mówiąc słowami Conrada, 'przesadny respekt dla praw indywidualnych' — rzecz, która nieestety w przeszłości nie obejmowała społeczności żydowskiej. [...] W wypadku konfliktu i innych sytuacji stanowiących wyzwanie dla ich wrodzonego sprytu Polacy są bezkonkurencyjni. Jeśli jednak chodzi o normalną ciężką pracę, w opinii Niemców i niektórych innych nacji nie jest to dziedzina, w której są równie dobrzy (nawet pracodawcy polscy, korzystający obecnie ze względnie dobrego etosu pracy migrujących Rosjan, Litwinów i Białorusinów, zgadzają się z tym). Zdaje się panować *consensus*, że Polacy lubią lenistwo, które kompensują inteligencją” (str. 214 n.). Cytuję dokładnie stronicę, by odium spadło na omawianego autora, a nie na sprawozdawcę.

Ciekawe, że cechy tradycyjnie związane z Polakami Hill łączy raczej z Czechami; stwierdza, że są oni szczególnie dobrzy w dziedzinie czarnego humoru — werbalnego i rysunkowego (nasz Mleczko jest wyraźnie nie znany na Zachodzie!) — oraz, że „słyną z talentu do narzekania”. Hmm.

Pozostałych „Słowian” wspomnę już tylko — z uwagi na brak miejsca — metodą wyrywkową. Bałowie, powiada Hill,

sami siebie uważają za „sentymentalnych, z pasją do kwiatów”; indywidualne różnice określają następująco: „Łotwa produkuje najlepszych polityków, Estonia — ekonomistów, a Litwa — proroków”. Bułgarzy — sprawniejsi od swych sąsiadów w tej części kontynentu: pracowici i przedsiębiorczy. Węgrzy — niesłuchanie uczuciowi i sentymentalno-nostalgiczni. „Ich sentymentalizm przewyższa nawet otaczających ich Słowian, wliczając w to Polaków”. Odwrotną tego stroną jest wrodzona chytrność, przynajmniej zdaniem Austriaków, którzy twierdzą, że jeśli uda się komuś dostać w drzwi obrotowe przed Węgrem, to ten i tak wyjdzie pierwszy. Wydaje się jednak, że to raczej po prostu inteligencja (wydali mnóstwo utalentowanych ludzi: Denis Gabor — laser, Rubik — kostka, etc.).

Jak z tego bardzo ogólnikowego przeglądu wynika, książka Hilla ma wszystkie zalety i wszystkie wady tego rodzaju ryczałtowych opisów. Główną zaletą jest forma *pot-pourri* zabawnych sformułowań, cytatów i obserwacji; główną wadą — niekompletność i (często) powierzchowność tych uogólnień; przykładem może być odwołanie się Hilla do rzekomego polskiego „szarżowania czołgów przez kawalerię” w 1939 r. Podejrzewam, że przy opisach innych nacji tego rodzaju klisz też nie brakuje. Niemniej książka jest godna uwagi jako źródło informacji, nie tyle może o samych omówionych w niej narodach, co raczej o przeciętnej, a więc dominującej opinii jaka o nich w tej chwili krąży po Europie.

M. BRONSKI

Przekrój twórczości Wacława Berenta

Wacław Berent znany jest ogółowi jako autor „Próchna”, „Oziminy” i „Żywych kamieni”. Czasem także „Fachowca”. Niekiedy jako tłumacz pism Nietzschego. Wtajemniczeni dodają „Opowieści biograficzne” spopularyzowane wzruszającymi przedrukami dla żołnierzy 2-go Korpusu. Fakt, że na zapleczu kryły się materiały wystarczające do zapełnienia 600-stronicowego tomu, jest niewątpliwie dla wielu niespodzianką.

Włączone do tomu listy są już tylko marginesem, szczątkami zadziwiająco nijakiej korespondencji. Znaczenie ogłoszonych obecnie tekstów na tym głównie polega, że są one spoiwem łączącym publikowane w długich odstępach utwory i pozwalają na całościową interpretację dzieła Berenta.

Niespodzianką jest dla wielu odkrycie, że debiutem młodego 20-letniego Berenta i to na łamach ekskluzywnego *Ate-neum* było opowiadanie pt. „Nauczyciel” z gatunku obrazków „interwencyjnych” zwracających uwagę na osobliwsze formy okrucieństwa zachowań ludzkich, w tym wypadku uczniów w stosunku do ośmieszonego belfra „Szwaba” i tegoż „nauczyciela” brutalny odwet na własnym dziecku. Dziwne jest i to, że miejscem akcji jest Lwów — Berent był przecież warszawiakiem z dziada pradziada. Kolejne opowiadanie pt. „Przy niedzieli” zdradza z kolei znajomość egzystencji szarych ludzi i ich „rozrywek”. To jakby ilustracja piosenki Młynarskiego „Statek na Młociny, na Młociny statek”. Warto zwrócić uwagę na język, jakim pisane są te opowiadania (a także nieco późniejszy „Fachowiec”): Berent posługuje się w nich polszczyzną pozytywistów, władając nią wprawnie ale nie oryginalnie. Wnioskiem z tej obserwacji jest stwierdzenie, że „język Berenta” ukształtował się dopiero w czasie studiów w Monachium i Szwajcarii i pod wpływem Goethego i Nietzschego łamał tradycyjną kolejność przymiotników („wydarzenie wielkie” a nie „wielkie wydarzenie”), neologizmy, budowę zdań podrzędnych, cytaty z autorów niemieckich itd.

Wydane obecnie „Pisma rozproszone”^{*} przygotowane zostały do druku przez Ryszarda Nycza i Włodzimierza Boleckiego. W części opracowanej przez Nycza na plan pierwszy wybija się cykl szkiców o twórczości i poglądach Fryderyka Nietzschego i związany z nimi „Wstęp do przekładu Upaniszad”. Teksty te są wymownym świadectwem zrazu entuzjastycznej reakcji na twórczość pisarza fascynującego wówczas całą Europę, w tym pod wpływem Miriama i Przybyszewskiego środowisko „Chimery”. Nie bez znaczenia był wpływ G. Brandesa, który podczas *tournee* odczytowej od-

^{*} Wacław Berent: *Pisma rozproszone*. (Utwory prozą. Utwory poetyckie. Szkice literackie i publicystyczne. Wywiady). *Listy*. (Wstęp, opracowanie tekstu, dodatek krytyczny Ryszard Nycz. Fragment Wstępu dotyczący „Idei w ruchu rewolucyjnym” i „Onegdaj” oraz opracowanie tekstów i Komentarze do tych szkiców Włodzimierz Bolecki). Kraków, 1992, Wydawnictwo Literackie, s. 606. (Wacław Berent: Utwory Wybrane).

wiedział Warszawę i głosił chwałę pisarza, już wówczas zagrożonego w mrokach obłędu. U Berenta nie jest to jednak fascynacja bezkrytyczna. W towarzyszących przekładom „Źródłach i ujściach nietzscheanizmu” już w tytule szkicu dopatrzeć się można zastrzeżeń, a w kończącej cykl wypowiedzi „Fatum puścizny Fryderyka Nietzschego” (1921) weta opar-tego o doświadczenia Wielkiej Wojny. Artykuł podejmuje dyskusję rozbieżności między właściwym sensem poglądów Nietzschego a ich prymitywną interpretacją przez „podludzi”, którzy, niestety, dysponowali siłą. Puściznę Nietzschego przejął, zdaniem Berenta w r. 1921, naród „nie najdzielniejszy” a wychowany pod naciskiem „ducha pruskiego”. Nie łatwo się spod wpływu tego wydostać, dowodzi dalej, idąc za Goethem, bo „to od czego się człowiek oswobodził (zwłaszcza w wieku dojrzałym) wyciska niezatarte piętno na tym, ku czemu się wyzwolił”, co i po drugiej wojnie się potwierdza. Wiara w „dostojeństwo duszy” okazała się złudna. Wskazania Nietzschego doprowadziły do sformułowań typu „dobra wojna uświęca każdy cel” a dla twórczego egoizmu „nic nie jest prawdziwe, wszystko jest dozwolone”. Poglądy przejęte przez Nietzschego z pism Montaigne’a, La Bruyère’a, La Rochefoucaulda, Voltaire’a „którzy więcej myśli dają i sięją niżli wszystkie książki niemieckie razem wzięte” przeobraziły się pod piórem ich pierwotnego wyznawcy, Nietzschego, w moralność *à rebours*, apoteozę *Wille zur Macht*. Stąd, jak ujmuję to Berent „ułuda posłannictwa”. „Państwo pruskie” koncepcję tę przywłaszczyło:

„Pruski twór państwowy — dowodzi — obywa się prawie bez poczucia narodowościowego swoich mas, wystarczają mu żelazne sprężki państwowości (...), takie skoszarowanie życia i ducha niemieckiego, takie ich od nowa spańszczyźnienie (...) że łatwo mu dziś korzystać — niekiedy bez reszty nieomal — z każdego prądu duchowego a nawet kierunku filozoficznego swych czasów”, „państwo łże we wszystkich językach dobra i zła”.

Państwo-potwór z r. 1914 „przystroili w pikielhauby nawet i wielkich zmarłych narodu swego”, by „skoszarowanym milionom swoim móc skomenderować *Aufmarsch*”. Przecistawiając się ryczałtowym potępieniom Nietzschego, Berent przywołuje surowe sądy o Niemcach z „Ecce Homo”. Zaratustra twierdził, że Bóg umarł! — „pogląd wyrwany z kontekstu! Zabijał Boga 'najszeptniejszy człowiek’ (...) W nowym napływie swych furiackich nienawiści, kolejno dla wszyst-

kich narodów Europy, w okresie swej psychozy światoburczej ten, bez wątpienia wówczas najszpetniejszy naród próbował istotnie zabić Boga... samym wejściem swej państwowości... *Staat ist Gott!* to hasło ideowe urastało tam w czasie wojny do szeregu publikacji, w których nie brak było nazwisk profesorów, a nawet byłych pastorów" — taki kształt — konkluduje Berent — przybrało „Fatum puścizny Nietzschego”.

Co dalej? Berent, przywdziewając szatę proroka, pisze:

„Nie ulegajmy złudzeniom. Nie minie może nawet lat kilkanaście a będziemy mieli nowych wieszczów wojny i nowych jej moralistów, którzy na wszystkie dolegliwości czasów dordzać będą wojnę, 'dobrą wojnę, kiedy to żart się kończy' (...)” „jedno będzie całkowicie obojętne, czy zawołaniem tej nowej racji będzie 'nadczołwiek' czy też 'podczołwiek' bodaj; jaką to nową koncepcję życia wysiedzą intelektualści. Właściwi sprawcy wojny już nam wyrąbią życie — wedle swojej miary, nie przeciążamy jednak — pisze dalej Berent — intelektualistów odpowiedzialnością za wojnę, która przede wszystkim ich to właśnie wyprowadza w pole — w podwójnym znaczeniu tych słów. Wojna — powiada któryś z pisarzy francuskich — z chwilą wybuchu wpycha inteligencję w pierwsze szeregi piechoty, a z chwilą ustania w ostatnie szeregi proletariatu. Taka to rola intelektualistów w wojnie — tej która właśnie minęła, i tej która już nadchodzi” [pisane w r. 1921]

W cz. II Ryszard Nycz zebrał wiersze Berenta, wyławiając je z pism i powieści. Przed nim jeden tylko prof. Joachim Baer zatrzymał się przy nich w rozprawie angielskiej o Berencie w t. XVIII (1974) rzymskiego *Antemurale*, dając ich przekład angielski, w którym — co chyba rzadko się zdarza — oddał pointy utworów jaśniej niż to ma miejsce w oryginałach. Uważano je za trudne, niezrozumiałe, toporne. Czy są nimi nadal dla odbiorców lingwistów? Albo dla Zagajewskiego, który w setną rocznicę początku choroby, która odgrodziła Nietzschego od świata, poświęcił mu piękny wiersz przypominający trucizny jego pism i pytający, jak reagowałby teraz np. na losy Anny Frank?

O wartości „Pism rozproszonych” jako udanego przedsięwzięcia edytorskiego decydują, jak sędzę, dwa niemal inedita: pamflet polityczny pt. „Idea w ruchu rewolucyjnym” (1906) wydany pod kryptonimem S.A.M. (SAM?) i „Oneg-daj”, mowa wygłoszona na inauguracji Polskiej Akademii Literatury (1933). Oba te teksty opracował Włodzimierz Bolecki, który poprzednio (1991) wydał „Opowieści biograficzne”.

„Idea w ruchu rewolucyjnym” jest produktem rozmyślań autora nad kluczowymi problemami socjalizmu polskiego. Pisana była pod bezpośrednim wrażeniem wydarzeń z r. 1905, rewolucji i krwawych rozruchów w Łodzi i Warszawie (zwłaszcza masakry na Pl. Teatralnym w dniu 18.XI). Na końcu tekstu Berent umieścił datę „w styczniu 1906”. Jak sądzi Bolecki, broszura przynosi „ostateczne pożegnanie z socjaldemokratycznymi ideałami studenckiej młodości [Berenta] gdy w Zurychu stykał się z Różą Luksemburg i należał wraz z Julianem Marchlewskim do grupy jej zwolenników”. Bezpośrednim powodem wzięcia pióra do ręki i niekonwencjonalnego wystąpienia był okrzyk „Precz z Polską!” wznieiony z mównicy wiecowej a odnoszący się do hasła domagającego się, by 'nowa Polska' nie była 'szlachecką, kastową, przesadną' a częścią wolnego świata rządzonego w marzeniach esdeków przez 'dyktaturę proletariatu'. Oto pełny tekst wypowiedzi Berenta:

„Precz z Polską! — zapiał gdzieś na wiecu jakiś polechtany w gardziel kogut i wnet ten frazes, przebiegłszy gęb sto, stał się niejako oficjalną w Polsce rekomendacją 'Międzynarodowego Proletariatu', pod którego 'Manifestem' zapisane jest wszak na wieczność imię — Lelewela!” (str. 159).

Berent nie odżegnuje się od polskiego socjalizmu, pyta jednak:

„A wam o co idzie właściwie?” — Dość tym pytaniem poskrobać łatwo zmienną barwę wielu rewolucjonistów, a wyrzają niejednokrotnie nagie burzuje, proletariuchy, Żydy i szlachetki (aby użyć wszystkie już słowa o jednakowym smaku i walorze)” (s. 161).

A co im przeciwstawił?

„...Przecie u nas, gdy mieszczaństwo, przyjmując dominującą kulturę obyczajową uszlachca się tak szybko i powierzchownie, szlachta zaś pod naciskiem ekonomicznych konieczności łyceje nie mniej szybko ale za to gruntownie, u nas te nieliczne już typy o instynktach naprawdę szlacheckich są przetrwałnikami najcenniejszych powiewów życia: ciężyny, hartu, woli. Z tymi czynnikami liczyć się będzie musiała najbardziej demokratyczna przyszłość, liczyć bodajby tylko biologicznie” (s. 163).

Jaki jest więc sens wywodów Berenta? — zdecydowanie odrzucając antyintelektualny priorytet czynników ekonomicznych a z drugiej strony energicznie potępiając światopogląd spod znaku „orzelków, piosnek, rogatywek” domaga się *ciągłości* tradycji, kontynuowania działalności dawnych pokoleń. „Ekonomiczny rewanżyzm i wulgarny materializm” sprzeczne są z istotą Sprawy Polskiej, bo o nią, choć terminu tego nie używa, mu chodzi. Okrzeja — pisze — stał przed plutonem egzekucyjnym na odzew partii, ale nie interesowała go poprawa sytuacji materialnej z haseł strajkowych. Chodziło mu o trwalsze wartości. (Do problemu tego powrócę dalej przy omawianiu „Onegdaj”).

Na kilkanaście lat przed skryształizowaniem się koncepcji opowieści biograficznych i selekcji ich bohaterów, Berent w zdaniach otwierających „Źródła i ujścia nietszcheanizmu” (1906), przed napisaniem „Żywych kamieni”, powołuje się na Jędrzeja Śniadeckiego, potępiającego kult „zarobku” i upominającego o szukanie odpowiedzi na „pytania najogólniejszej i najpoważniejszej natury, (...) wszystko, co z chaosu tworzy kształt życia” (s. 127).

Tu dochodzimy do tekstu z „Pism rozproszonych” najważniejszego, mogącego pretendować do miana testamentu politycznego Berenta, zawierającego *jawnie* obraz sytuacji Polski po trzecim rozbiórze, a *w podtekście* pogląd na ówczesny „dzień dzisiejszy”, lata 1930-te. Jest nim „Onegdaj”, formalnie przemówienie wygłoszone na inauguracyjnym posiedzeniu Polskiej Akademii Nauk w dn. 8 listopada 1933, a właściwie esej pt. „Onegdaj”. Sądził, że w przebraniu oficjalnej mowy, odczytanej na starannie zaplanowanej uroczystości, wskazania, będące wynikiem wieloletnich rozważań i serdecznej troski, dotrą do świadomości, jak się dziś mówi, „decydentów”. Nie odniósł sukcesu. Przydługi i fatalnie odczytany tekst, nie tylko nie dotarł do leniwych mózgów, ale — ośmieszony przez Słonimskiego — stał się niemal symbolem nudnej a patetycznej oracji. Komentarz Włodzimierza Boleckiego przywraca mu znaczenie i uświadamia związek z rzeczywistością Drugiej Rzeczypospolitej u kresu działalności Piłsudskiego i nasilenia się protestów przeciw „rządom pułkowników”.

W poszukiwaniu sposobów naprawy, zwykając do jej podjęcia póki pora, Berent zwracał się — jak trafnie ustala Bolecki — do idei „narodu” wydobytej z pism pisarzy politycznych z końca XVIII w. i grona działaczy politycznych i wojskowych, których sylwetki zawarł w „Opowieściach biograficznych” — a przede wszystkim Staszica i Jana Henryka

Dąbrowskiego. Uważał, generalnie rzecz ujmując, że w okresie rozbiorów urwała się ciągłość „uniwersalnych dążeń”, które po stuleciu skarłały do „klasowo-ekonomicznej nienawiści tych, którzy chcą mieć to wszystko, co jeszcze mają inni”. Przeciwstawiał jej ideę narodowości i jej posłannictwa i wierzył, że ona właśnie wiodła naród przez „własne i cudze kalwarie”. Oparcie dla tego poglądu widział w literaturze, języku i docenianiu „duchowego bogactwa i twórczych możliwości człowieka”. Ścisłej: genialnych jednostek. Oparciem dla nich jest — co silnie podkreśla — „naród”, nie państwo i jego agendy, ale wydobywanie na jaw „bogactw kultury i twórczych możliwości człowieka” — a to jest rola niezależnych gremiów. Było nim Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie Staszica i taka jest rola powstającej właśnie (w 1933) Polskiej Akademii Literatury.

Genialne jednostki rzadko spotykały się z uznaniem i zrozumieniem u współczesnych. Ilustruje to na przykładzie gen. Jana Henryka Dąbrowskiego za życia ofiary kalumnii i szantaży, nie nagrodzonego, co z goryczą wypomina, pomnikiem, którym uczczono księcia Józefa. W tekst „Onegdaj” wplótł mini-opowieść biograficzną o Cyprianie Godebskim, twórcy „Wiersza do Legiów”. Przemilczany za życia, po śmierci honorowany był okazale — pomyślano nawet o zabezpieczeniu bytu rodziny. „Wzajemne przenikanie motywów życia i śmierci, zamierania i odradzania, zaniku i powstawania”, przeskok od triumfu na Kapitolu do niedostatku „kochanka Justyny” są świadectwem walki optymizmu i wiary w „ideę Narodu” z charakterystycznym dla życiowej postawy Berenta katastrofizmem. „Zmierzch wodzów” (1939) nawiązujący tytułem do „Zmierzchu bożyszcz” Nietzschego jest tego pośrednim dowodem. Ratunek widzi w cofnięciu się do „Onegdaj”, w którym — dla odmiany — kontynuator dzieła Berenta, Ryszard Przybylski, widział „prawdziwy koniec Królestwa Polskiego” i dostrzeganych w „Klasycyzmie” wybitnych a zapomnianych jednostek.

Skoro „Opowieści biograficzne” tak blisko związane są z „Onegdaj” dziwi rozdzielenie ich w „Utworach wybranych” w dwu różnych tomach. Formalnie w porządku. Nie były opublikowane za życia autora w ramach jednej książki. Co więcej, Berent nie planował złączenia „Zmierzchu wodzów” z „Nurtem” — pracował jednak nad niewątpliwym dalszym ciągiem w „Śmierci” czy „Pogrzebie urzędnika” (tj. Staszica). Sądzę, że nie byłoby przekroczeniem jego woli poprzedzenie „Opowieści” przedrukiem „Onegdaj”, a widzę w tym rzeko-

mym przemówieniu nie tyle orację na „promocji” Polskiej Akademii Literatury, ile konspekt cyklu sylwetek ludzi okresu klasycyzmu godnych wydobyć z „niepamięci piasku”.

„Pisma rozproszone”, podobnie jak wydane o rok wcześniej (1991) „Opowieści biograficzne” przygotowali do druku Ryszard Nycz i Włodzimierz Bolecki z godną najwyższych pochwał pedanterią. Złym okiem wykryłam tylko jedną gafę: żoną prof. Adama Żółtowskiego była Janina z Puttkamerów, autorka pamiętnika „Inne czasy, inni ludzie” (1959), wnuczka Maryli Wereszczakówny, a nie Maria z Kwileckich. Staram się być pedantem.

Feijó (Portugalia)

21 lipca 1993

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

PESTKOWSKA (Maria). *Uchodźcze pasje*. Władysław Sikorski a polska społeczność na Zachodzie (1939-1943). Str. 272. (Editions Dembiński, Paryż 1991).

PADEREWSKI (Ignacy Jan). *Myśli o Polsce i Polonii*. Str. 283 i 5 nlb., z fotografiami, (Editions Dembiński, Paryż 1992).

Reszty nie trzeba. Rozmowy z Josiem Brodskim. Zebrał i opracował Jerzy Illg. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. „Książnica”, Katowice 1993).

HERBERT (Zbigniew). *Martwa natura z wędzidłem*. Szkice. Apokryfy. Str. 180 i 4 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993).

Skarby Biblioteki Narodowej. Pokaz najcenniejszych rękopisów, inkunabułów, starych druków, muzykaliów, map, atlasów rycin i fotografii w Bibliotece Narodowej w Warszawie 19-21 czerwca 1993. (Wyd. Biblioteki Narodowej). 29 ilustracji, strony nienumerowane.

KŁOSSOWSKI (Andrzej). *Pani Maria...* Z okazji wystawy poświęconej życiu, działalności i twórczym dokonaniom Marii Danilewicz Ziełińskiej, zorganizowanej w czerwcu 1993 r. w Warszawie przez Bibliotekę Narodową. Str. 26 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteki Narodowej, Warszawa 1993).

MARKIEWICZ (Ewa). *50 lat Biblioteki Polskiej w Londynie*. Str. 29 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteki Narodowej, Warszawa 1993).

CZAPSKI (Józef). *Podziemna korona*. Fragmenty dzienników, rysunki, kalendarium życia — wybór, opracowanie i komentarz Janusz Marciniak. Str. 56 (Wydawnictwo OBSERWATOR, Poznań 1993).

AFTANAZY (Roman). *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. Tom 2 — Województwa nowogrodzkie, brzesko-litewskie. Wyd. II przejrane i uzupełnione. Str. 372 i 4 nlb. (Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo, Wrocław-Warszawa-Kraków 1992).

HADACZEK (Bolesław). *Kresy w literaturze polskiej XX wieku*. Szkice. Str. 221 i 3 nlb. (Szczecińskie Wydawnictwo Archidiecezjalne „OTTONIANUM”, Szczecin 1993).

WĄCŁAWSKI (Stanisław). *Mniejsza o większość*. Str. 168 i 4 nlb. (fotografie). Warszawa 1993. (Bez podania wydawcy).

SCHULZ (Bruno). *Republika marzeń*. Utwory rozproszone. Opowiadania. Fragmenty. Eseje. Rysunki. Wybór, opracowanie i posłowie Jerzy Ficowski. Str. 74 i 12 ilustracji. (Wydawnictwo Chimera, Warszawa 1993).

SCHULZ (Bruno). *Z-listów odnalezionych*. Słowo wstępne, wybór, objaśnienia Jerzy Ficowski. Str. 133 i 3 nlb. (Wydawnictwo Chimera, Warszawa 1993).

Wojna polsko-sowiecka 1920 roku. Przebieg walk i tło międzynarodowe. Materiały sesji naukowej w Instytucie Historii PAN 1-2 października 1990. Pod redakcją Andrzeja Koryna. Str. 236. (Wyd. Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk — Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1993).

KUSZŁEJKO (Jacek). *Książka polska w Rosji na przełomie XIX i XX wieku*. Str. 258 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa Instytut Książki i Czytelnictwa, Seria: Z dziejów Kultury Czytelniczej w Polsce, Warszawa 1993).

KRZYWICKA (Dorota). *Penetracja*. Szkice o książkach i teatrze. Wstęp: Włodzimierz Odojewski. Str. 157 i 3 nlb. (WYD. ARTA, Kraków 1993).

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Wyjścia z milczenia*. Opracował Zdzisław Kudelski. Str. 412. (Biblioteka Więzi, Tom 77, Warszawa 1993).

NOWAK (Mieczysław, Ks.). *O nową wizję parafii*. Str. 138. (Biblioteka Więzi, Tom 76, Warszawa 1993).

ZAJĄCZKOWSKI (Wojciech). *Czy Rosja przetrwa do roku 2000?* Str. 154 i 2 nlb. (Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1993).

WIĘCŁAWSKA-LAURENTOWSKA (Janina). *Con amore*. Wiersze (I). Str. 160. Warszawa 1993. (Drukowane w Drukarni Loretańskiej w Warszawie).

BALLOD (Maria). *Alarm i hymn*. Wiersze z lat 70-tych. Str. 48. (Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1992).

RYDZYŃSKA (Liliana). *Odpycham kosmos*. Wybór wierszy (1959-1993). Str. 126 i 6 nlb. (Puma Printing Works, Melbourne 1993).

Poezje arabsko-andaluzyjskie. Wybór i przekład Florian Śmieja. Str. 48 i 2 nlb. (Wyd. Centrum Kultury w Katowicach 1993).

JANOWICZ (Leon). *Wagary na trzykrzyskiej czyli przestroga dla poetów*. Str. 106. (Staszowskie Towarzystwo Kulturalne, Staszów 1993 — t. 29).

BUTTIGLIONE (Rocco). *Chrześcijaństwo a demokracja*. Str. 139 i 5 nlb. (Biblioteka „Ethos” 2, Instytut Jana Pawła II, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1993).

HENDRON (Ronald). *Karabinowa pułapka*. Przekład z angielskiego, wstęp i opracowanie Andrzej Krawecki, współpraca i posłowie Anna Rogozińska-Wickers. Str. 222 i 2 nlb. (Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1993).

NABOKOV (Vladimir). *Patrz na te arlekiны!* Przełożyła z angielskiego Anna Kołyszko. Str. 200. (Wydawnictwo Wolny Wybór — Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1993).

STYRON (William). *Wyznania Nata Turnera*. Przełożył z angielskiego Bronisław Zieliński. Str. 398 i 2 nlb. (Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1993 — wydanie drugie w języku polskim).

Literatura krajowa w okresie romantyzmu 1831-1853. Seria: Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku — tom III. Praca zbiorowa pod redakcją Marii Janion, Mariana Maciejewskiego i Marka Gumkowskiego. Str. 527 i 70 nlb. (ilustracje). (Wyd. Instytutu Literackiego PAN, Warszawa 1992).

Polemiki

Nowy Jork, 18 września 1993 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

po przeczytaniu listu Józefa Garlińskiego i odpowiedzi na ten list Stefani Kossowskiej (*Kultura*, 9/552) pragnę oświadczyć, że moja decyzja wystąpienia ze Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w 1986 r. nie była przez nikogo inspirowana. Była ona podyktowana tylko i wyłącznie faktem, że w stosunku do dr Maji E. Cybulskiej zastosowano kary administracyjne (uchwała Zarządu z dnia 22 sierpnia 1986 r.) i groźbę procesu sądowego w odpowiedzi na jej artykuł krytyczny. Byłoby hipokryzją potępienie cenzury i prześladowań pisarzy w Polsce i patrzenie przez palce na uzurpowanie sobie przez Zarząd władzy nad pisarzami. Nie należę do osób szczególnie bojowych, ale uchwała Zarządu i fakt pociągnięcia autorki artykułu do odpowiedzialności sądowej nie pozostawiał innej alternatywy.

Z *Wiadomościami* i panią Stefanią Kossowską współpracowałam przez ostatnie 10 lat istnienia tego pisma, było to najwspanialsze doświadczenie w moim emigracyjnym życiu. Nigdy w ciągu tych lat redaktor Kossowska nie próbowała ani poprzez perswazję, ani poprzez ingerencję w tekst wpływać na kształt lub treść wypowiedzi. Nigdy nie uzurpowała sobie żadnych praw w stosunku do autorów i ich poglądów.

Z Mają E. Cybulską łączą mnie różne związki, jesteśmy obie absolwentkami polonistyki UW, jednak poznałyśmy się bliżej i zaprzyjaźniłyśmy dopiero na emigracji. Ale gdyby spotkało to jakiegokolwiek innego członka Związku, moja decyzja byłaby taka sama. Jest to naturalne, bo przecież związki twórcze są po to, aby bronić swobody wypowiedzi twórców, a nie ją ograniczać.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Anna FRAJLICH ZAJĄC

Wolna trybuna

Polityk i nie polityk

W Polsce nie jest się Agentem. W Polsce Agentem się bywa.

Zasadnicza różnica pomiędzy obywatelem piastującym obowiązki publiczne a obywatelem wolnym, polega właśnie na Wolności. Człowiek prywatny nie musi się tłumaczyć publicznie, przed społeczeństwem z czynionych mu zarzutów, a polityk musi. Każdy ustrój w kraju, gdzie członkowie rządu mogą sobie pozwolić na ignorowanie opinii publicznej, jest w niebezpieczeństwie. Musi doprowadzić albo do rewolucji, albo do absolutyzmu.

Bo powtarzam raz jeszcze polityków obowiązuje:

1. ODPOWIEDZIALNOŚĆ za to co mówią i powiedzieli.
2. ODPOWIEDZIALNOŚĆ za to co robią i zrobili.

Aleksander Kwaśniewski w wieczornym wydaniu Panoramy w niedzielę 21-go marca 1993, dotknął bardzo żywego i powiedziałbym podstawowego problemu naszej obecnej sytuacji politycznej. Zażądał on mianowicie, jednoznacznie i bezapelacyjnie, zamknięcia ubiegłego okresu, jako epoki już martwej, podkreślając jednocześnie, że nie wolno z niej wyciągać żadnych konsekwencji, ani w stosunku do ludzi, ani do faktów. Takie stanowisko przekreśla całkowicie pana Kwaśniewskiego jako polityka i wymaga komentarza. Każda akcja polityczna jest zawsze następstwem czegoś i wstępem do czegoś, bez względu na charakter kontynuacyjny czy opozycyjny tych akcji. Nie można oderwać się od przeszłości czy to ukochanej czy znieawidzonej. Negowanie ciągłości czasu i historii jest oczywistą demagogią, u podstaw której leży zazwyczaj osobisty interes: być zwolnionym z rozliczenia.

Waleśa, mimo że wygłasza poglądy którym po chwili sam zaprzecza, mówi tak, po to aby powiedzieć nie, ma jednak posłuch i zrozumienie wśród szarego tłumu. Tłum ma go za swego i uważa, że on wie dokąd idzie. Na tym polega niebezpieczeństwo o którym wspominałem. Waleśa postępując tak, uczy nieuczony naród ANARCHII MYŚLENIA POLITYCZNEGO. Jest tego doskonałym przykładem. Stanowi siłę, która potrafi zablokować wszystko co żywe i postępowe. Ma,

nie zdając sobie z tego sprawy, mentalność komunisty, gdzie poczucie odpowiedzialności i konsekwencja były wypalane ogniem. I słusznie, bo to one doprowadziły do upadku komunizmu. Paradoks polega na tym, że teraz mogą doprowadzić do jego wskrzeszenia.

Andrzej ROBOWSKI

O aborcji

Na wstępie chciałbym sprecyzować etymologię czyli pochodzenie słowa ARCHITEKT z greckiego ARKHITEKTON.

Składa się ono z dwóch części:

1. ARKHI — znaczy: Szef, Kierownik, Prowadzący. Według Dictionnaire de la langue française, Hachette 1885.

2. TECTON — znaczy: Cieśla. Według Dictionnaire alphabétique et analogique de la langue française, Paul Robert 1951.

1+2 ARKHITEKTON — znaczy: Szef-konstruktor, ten który rysuje plany budynku i kieruje jego budową. Według Dictionnaire de la langue française du XVII siècle jusqu'à nos jours, 1964.

Opierając się na etymologii słowa ARCHITEKT, podkreślam mocno, a Ci co mnie znają, wiedzą, że robię to przy każdej nadarzającej się okazji, że w naszym zawodzie liczy się naprawdę tylko to, co zostało WYBUDOWANE.

Wszystkie projekty w stanie rysunku, nawet najwspanialsze, wszystkie szkice dokończone lub nie, wszystkie konkursy, nawet wygrane, jeśli nie są ukoronowane REALIZACJĄ, w sensie profesjonalnym nie mają żadnego poważnego znaczenia.

Równocześnie, powołując się na najbardziej wrzającą aktualność, stwierdzam, że te niezrealizowane projekty, są to bolesne i niedonoszone cięższe, zakończone nie mniej bolesnym, a prawie nigdy nie dobrowolnym jej przerwaniem. Nasz zawód bije chyba rekordy, jeśli chodzi o proporcję ilości aborcji, zdecydowanych wolą inwestora, do ilości poczętych płodów.

Nawiasem mówiąc, mamy jednak My Architekci wyjątkowe szczęście, bo Sejm jeszcze nie zorientował się w sytuacji i nie przygotował Ustawy karzącej więzieniem nie tylko aborcję, ale i poronione projekty architektoniczne. (W imieniu Architektów proszę o dyskrecję).

Andrzej ROBOWSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10.8.93

Historycy z Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy zwrócili się z apelem o wspólne uczczenie 200-nej rocznicy Powstania Kościuszkowskiego, przypadającej w przyszłym roku. Apel podpisali: w imieniu historyków białoruskich — prof. Adam Maldzis, litewskich — prof. Juozas Tumelis, polskich — prof. Jerzy Kłoczowski i ukraińskich — prof. Jarosław Isajewicz.

13.8.93

Prasa podała, że prezydent Lech Wałęsa wystąpił listy do prezydentów: Stanów Zjednoczonych — Billa Clintona, Francji — François Mitterranda, Rosji — Borysa Jelcyna, Niemiec — Richarda Weizsäckera oraz premiera Wielkiej Brytanii Johna Majora, z zaproszeniem do udziału w obchodach 50-tej rocznicy Powstania Warszawskiego, które odbędą się w sierpniu przyszłego roku w Warszawie. — Czy nie ma sposobu na ograniczenie tych kompromitujących wystąpień prezydenta, tak licznych w ostatnich czasach?

30.8.93

Zbigniew Bieńkowski, poeta, krytyk literacki i tłumacz, ukończył 80 lat. W najbliższych dniach na rynku księgarskim ukażą się jego „Poezje zebrane” oraz zbiory esejów „Ćwierć wieku intymności” i „Przyszłość przeszłości”.

1.9.93

Kuria biskupia w Ełku podaje, że liczbę katolików języka litewskiego w diecezji ełckiej ocenia się na około 6.000. Nabożeństwa w języku litewskim odprawiane są w kościołach parafialnych w Puńsku, Sejnach i Smolanach. Ponadto punkty duszpasterskie z językiem litewskim istnieją w Żegarach i w Suwałkach. Dla usprawnienia pracy duszpasterskiej w lipcu ub. roku mianowano wikariusza biskupiego, którym został ks. prałat Ignacy Dziermejko, proboszcz w Puńsku. Opiekę duszpasterską sprawują obecnie ks. prałat Dziermejko ze swoim wikariuszem ks. Czesławem Baganem, ks. Zenon Parakiewicz — wikariusz w Sejnach (Sejny i Żegary), ks. Antoni Degutis, OMI (Smolany) oraz ks. Jan Jerzy Macek, proboszcz i dziekan w Filipowie (Suwałki). Poważnym problemem jest brak wystarczającej liczby kapłanów znających język litewski. Z tej racji w Wyższym Seminarium Duchownym w Ełku wprowadzono w październiku 1992 roku lektorat języka litewskiego. Zostały też przeprowadzone rozmowy z księdzem arcybiskupem wileńskim w sprawie praktyk duszpasterskich alumnów ełckich na Litwie celem doskonalenia przez nich znajomości języka litewskiego.

ZACHÓD

29.6.93

Zmarł w wieku 93 lat w Mahon na Minorce (Baleary) przebywający tam na wakacjach Wojciech Krzyżanowski, urzędnik polskiej służby zagranicznej, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, wieloletni Pracownik Radia Wolna Europa.

31.8.93

Zmarł w Nowym Jorku, w wieku 73 lat, Aleksander Niekricz, historyk i sowietolog, autor „Utopii u władzy”, napisanej wraz z Michałem Hellerem.

3.9.93

Staraniem rodziny oraz organizacji b. marynarzy węgierskich sprowadzono na Węgry prochy admirała Mikłosa Horthy, który zmarł w Portugalii w 1957 r. w wieku 89 lat. Niezależnie od oceny jego działalności jako „regenta” węgierskiego, należy podkreślić jego bardzo życzliwy stosunek do Polski nie tylko w okresie międzywojennym. W czasie wojny oddziały polskie, które przeszły na Węgry, korzystały z opieki oraz ułatwień w przedostawianiu się do formowanego we Francji wojska polskiego. Gen. Sosnkowski po przedostaniu się na Węgry był jego gościem, tak samo marszałek Rydz-Śmigły po ucieczce z Rumunii w 1940 r. korzystał z cichej opieki władz węgierskich.

7.9.93

Zmarł w Londynie w wieku 71 lat Andrzej Folkierski, wieloletni wykładowca fizyki na Imperial College w Londynie, zasłużony powiernik Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, prezes Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.

17.9.93

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się szereg wieczorów, a mianowicie: 2 września br. szef Centralnego Urzędu Planowania w Polsce, Jerzy Kropiwnicki, wygłosił odczyt pt. „Obecna sytuacja gospodarcza w Polsce i perspektywy na rok 1994”; 10 września br. prof. Leon Zaremba mówił o kulturze francuskiej w Polsce, zaś 17 września br. ks. prof. Janusz Pasierb mówił na temat „Kościoł i państwo w ikonografii drzwi gnieźnieńskich”.

24.9.93

W Boulogne pod Paryżem odsłonięto dwie monumentalne rzeźby w brązie, których autorem jest Paweł Jocz. Rzeźby stanęły na ulicy Danjou w wyniku konkursu zorganizowanego przez merostwo Boulogne i Groupement Financier Français.

8.10.93

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Koła b. Żołnierzy A.K. we Francji odbył się odczyt Ada-

ma Tokarskiego pt. „Tajne szlaki polskich kurierów w czasie II wojny światowej”. Zaś 21 października br. odbędzie się odczyt konsula generalnego R.P. w Lille, Jędrzeja Bukowskiego, na temat „Emigracja polska dzisiaj”.

KRONIKA KANADYJSKA

Z dniem 25 czerwca br. premierem Kanady została p. Kim Campbell, minister obrony narodowej w gabinecie premiera Mulroneya, który zgłosił w marcu br. rezygnację z kierownictwa partii rządzącej. W partyjnej kampanii wyborczej p. Campbell została wybrana przywódcą, po czym p. Mulroney zgłosił rezygnację swego rządu. Był jego szefem od 17 września 1984 r. P. Campbell — pierwsza kobieta na czele rządu kanadyjskiego — nie zapowiedziała jeszcze terminu wyborów parlamentarnych, które prawdopodobnie odbędą się w październiku. ■ Na ustanowienie profesury historii Polski na Uniwersytecie w Toronto Polonia zebrała dol. 496.993. Brak tylko dol. 253.007 do sumy wymaganej przez uniwersytet, ale profesora dotąd nie powołano. Wpłynęło 7 zgłoszeń kanadyjskich, lecz tylko z jednym kandydatem komisja przeprowadziła rozmowę. Jedna z kandydatek ustaliła, że komisja nie zapoznała się z jej dokumentami. Konkurs przedłużono i jest otwarty dla kandydatów ze wszystkich państw. Oczekuje się odpowiednich kandydatów z Polski. ■ Zbiórka, przeprowadzona przez SPK na ambulanse dla Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie przyniosła dol. 81.870. Koszt ambulansu wraz z transportem wyniósł dol. 66.528, ponadto za dol. 5.000 zakupiono części do innego obiektu — w rezerwie pozostało dol. 10.342. ■ Konsulat RP ogłosił w prasie, że tylko osoby z ważnymi dowodami obywatelstwa będą mogły głosować w zbliżających się wyborach. Kanadyjskie pisma polonijne, nie zalecając wprost listy kandydatów, najbardziej popierają osoby ze skrajnej prawicy. ■ Ruch turystyczny do Polski był słabszy niż w roku ubiegłym. Być może wpłynęła na to sytuacja w Kanadzie, rosnące bezrobocie, niższe zarobki, no i duży spadek nakładu pism polonijnych.

B.H.

Listy do Redakcji

Warszawa, 7 września 1993

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem dwa poważne i na pozór pełne mądrości artykuły w *Gazecie Wyborczej*, pierwszy Pana Smolara przewidujący co stałoby się, gdyby wygrał SLD, drugi — Pana Szczypiorskiego, uzasadniający jego poparcie wyborcze dla Unii Demokratycznej, którą zresztą i ja cenię.

Obie publikacje tak mnie zdenerwowały, że siadam do listu do Pana. Jako stary dziennikarz nie potrafię inaczej niż na piśmie reagować na to co mnie otacza, a w istniejących teraz warunkach nie mam dla kogo pisać, jeżeli nie liczyć włoskich redakcji, z którymi współpracuję, nie potrzebujących głębszej oceny naszych wydarzeń i nie rozumiejących do końca tego co się w Polsce dzieje.

W przedwyborczej Warszawie, myślę o tej oficjalnej, zapanował strach. Strach albo przed własnym społeczeństwem, albo raczej przed skutkami poczynań całego *establishment'u* w okresie ostatnich blisko 4 lat. *Hannibal ante portas*, wołają w prasie, radio i telewizji dotychczasowi posłowie i senatorowie w niczym nie przypominający Rzymian i dlatego imię Hannibala zastępujący nazwiskiem Kwaśniewski. Krzyk jest tak wielki i tak nieustający, że przychodzi na myśl historyczna propaganda przedwyborcza z minionej epoki.

Teraz jest nawet gorzej. Bo dawniej człowiek odłożywszy *Trybunę Ludu* czy, przyznając w pokorze, także moje *Życie Warszawy* i zgasiwszy telewizor, nastawiał radio na *Wolną Europę*, *BBC*, czy inną rozgłośnię zachodnią nadającą po polsku i dowiadywał się całej drugiej strony medalu, nie tylko informacji, zatajanych nawet przed wysokimi urzędnikami PRL, ale treści komentarzy prasy światowej, ocen polityków itd. Był więc wszechstronnie i szczegółowo poinformowany.

A teraz?

Dogorywająca *Wolna Europa* jest równie prorządowa jak polskie rozgłośnie, choć bardziej od nich spokojna i obiektywna, *Trybuna*, przystosowując się widać psychicznie do ponownego przejęcia roli organu władzy, omija najbardziej drażliwe tematy i szczypie siły rządzące tak aby ich to nie zabolalo. Nawet Jerzy Urban już stąpił ostrze swego szyderstwa. Być może olbrzymie bogactwo zdobyte w tak krótkim czasie oddziaływało na jego psychikę łagodząco, tym bardziej, że w odróżnieniu od wielu innych nowobogackich on doszedł do pieniędzy legalną drogą.

Jest więc człowiek poddany nasilającej się i wszechogarniającej agtacji, widocznej także na murach miast. Plakaty olbrzymich rozmiarów rozklejane są wysoko, tak aby przechodnie nie mogli ich dosięgnąć. Tam bowiem, gdzie sięgają natychmiast dopisują wielkimi literami własne oceny poszczególnych, reklamujących się ugrupowań.

Procesy o zniesławienie, przyspieszone przepisami ordynacji wyborczej, odbywają się niemal codziennie, ale nie mogą wymazać całego zła dokonanego przez Panów Olszewskiego i Macierewicza, wspieranych przez Leppera i braci Kaczyńskich. W dość powszechnej, potocznej świadomości społecznej model polityka obozu solidarnościowego wyróżnia się ostatnio dwiema cechami: pierwsza to złodziej, łapownik lub aferzysta, druga to były agent komunistycznych służb specjalnych, a więc *kapuś*.

Paradoksalnie oba zarzuty nie dotyczą dawnej nomenklatury. Członkowie partii nie byli bowiem werbowani na tajnych współpracowników SB, a po 1989 roku nie mieli znaczących możliwości brania łapówek i uczestniczenia w aferach, jako że do tego w naszych warunkach konieczne jest posiadanie władzy.

Kampania skrajnej prawicy (?) mecenasa Olszewskiego i jemu podobnych wywołała więc w istocie rzeczy efekt odwrotny od zamierzonego: uderzyła w całość sił solidarnościowych, sił sprawujących władzę i tym samym napędziła głosów SLD. Przeciętny, prosty wyborca nie różnił pomiędzy Olszewskim a Bieleckim, pomiędzy Macierewiczem i np. Lewandowskim. Dla niego wszyscy, którzy rządzą są podobnie zbrukani, a więc jako jedyna alternatywa pozostaje lewica, od postkomunistycznej poczynając.

Ci, którzy chcieli ostatecznego pogrążenia pogrobowców poprzedniej epoki, spowodowali ich psychologiczne oczyszczenie.

Skrajne ugrupowania od *olszewików* poczynając, są, na szczęście, poza grą, nie mają bowiem żadnych szans wejścia do parlamentu. Niestety ciosy z ich strony uderzyły przede wszystkim w siły centrum i liberalnej, rozsądnej prawicy. Potencjalny dramat polega na tym, że nawet jeżeli SLD i PSL nie zdobędą bezwzględnej większości, czego nie można całkiem wykluczyć, to nie widać w przyszłym parlamencie stabilnej koalicji mogącej rozsądnie kontynuować proces reform w Polsce.

Wiem, że sympatyzuje pan z Unią Pracy, która w swoich telewizyjnych programach przedwyborczych emituje wypowiedzi Pana i Gustawa Herlinga Grudzińskiego z wyrazami poparcia dla swego programu. Bugaj z pewnością ma szanse sukcesu, gdyż będzie na niego głosowało sporo inteligencji, dotychczas popierającej UD i sporo pracujących, przeciwnych skrajnemu liberalizmowi dotychczasowych reform, ale nie chcących głosować na postkomunistów. Nie sądzę jednak aby UP miała szansę odegrania roli jęczyczka u wagi, jest bowiem skłócona tak z Unią Demokratyczną jak z SLD, nie mówiąc o liberałach. Nie wydaje się zaś możliwe aby koalicja Bugaja z Pawlakiem mogła sprawnie funkcjonować bez poparcia Mazowieckiego lub Kwaśniewskiego.

A *propos* Mazowieckiego, warto aby Pan wiedział, że w Unii Demokratycznej pojawiają się coraz większe rysy. Premier Suchocka wspólnie z min. Rokitą prowadzą politykę zmierzającą do odsunięcia Mazowieckiego. Chodzi o typowe ambicje personalne, tak zawsze silne w naszym kraju. Ale walka między Mazowieckim i przytłaczającą większością

cią Unii a Panią Suchocką, mającą wraz z Rokitą ambicje przejęcia władzy w tej partii, przybiera na sile i ma niekiedy zabawne również skutki. Tak np. Mazowiecki będący jak wiadomo specjalnym wysłannikiem Sekretarza Gen. ONZ do Jugosławii dowiedział się o wyjeździe Pani Suchockiej do Krainy od... ambasadora Jugosławii w Warszawie. Wzajemne nieinformowanie się jest metodą rywalizacji, na której skorzystać może jedynie prof. Geremek, milcząco śledzący te rozgrywki i nie pchający palca między drzewi.

Ale te i inne przyczyny utraty poparcia społecznego przez obóz solidarnościowy nie są przez nikogo w obozie władzy dostrzegane. Nikt nie jest tam niczemu winien, a zagrożenie ze strony SLD jest, sądząc ze wspomnianych na początku publikacji, jakimś wybrykiem natury. Oczywiście twierdzi się, że albo my będziemy rządzić, albo upadnie demokracja. Czy nie wydaje się Panu, że jest to swoista trawestacja słynnego stwierdzenia Stanisława Kani, że *bronić będziemy socjalizmu jak niepodległości*? Czy wtedy i obecnie nie chodziło w gruncie rzeczy o to samo?

Rozpisałem się, a czas leci. Chciałbym aby mój list dotarł do Pana przed wyborami więc kończę. Chcę jeszcze powiedzieć na koniec, że osobiście oceniam szanse SLD jako mniejsze niż przed np. trzema miesiącami. A nawet jeżeli wyniki tej koalicji byłyby dla obecnego *establishment'u* władzy tragiczne, wcale nie oznaczałyby nawrotu socjalizmu. Nikt w Polsce nie marzy o jego powrocie. Ludzie psioczą, ale wiedzą co zyskali, nie mówiąc o tym, że ZSSR, główny sprawca socjalizmu w Polsce, szczęśliwie życie zakończył.

Nie jest ani tak dobrze, ani tak źle jakby się mogło wydawać.

Zdzisław MORAWSKI

Szanowny Panie Redaktorze

W *Polityce* (nr 20/93) ukazał się ważny szkic p. M. Podlasek „W skórze Niemca”, który wywołał gwałtowną — na ogół krytyczną — polemikę. Ponieważ Redakcja *Polityki* odmówiła publikacji poniższego tekstu, gdyż zamknęła już tę polemikę, proszę Redakcję *Kultury* o wydrukowanie moich uwag. Temat ten długo będzie (i powinien być) dyskutowany.

Oceniam pozytywnie wyżej wymieniony szkic p. M. Podlasek: powinniśmy również znać nasze grzechy i błędy, choćby ze względów psychoterapeutycznych i socjopedagogicznych (samowychowanie społeczeństwa). Lecz z drugiej strony rację mają jej krytycy, gdy piszą o trudno porównywalnych zakresie i skali dokonanych okrucieństw podczas II wojny przez Niemców i Polaków. W Łambinowicach było — niestety — bicie, znęcanie się, grabież czy niekiedy zabójstwa, ale przecież Niemcy-hitlerowcy stosując na olbrzymią skalę odpowiedzialność zbiorową dokonywali masowych morderstw nie tylko w formie zbiorowych egzekucji dorosłych mężczyzn, lecz również palenia żywcem ludności całych wsi bez względu na wiek czy płeć lub też topienia ludzi w studniach (zdarzały się też przypadki zakopywania ludzi żywcem np. za ukrywanie Żydów). Oczywiście, podobnie jak i w przypadku Polaków wiele zależało od bezpośredniego dowódcy czy komendanta.

Tym niemniej jest w tych porównaniach istotna różnica na naszą niekorzyść: Niemcy nie ukrywali w zasadzie swych zbrodni, ani zamiaru eksterminacji podbijanych kolejno na Wschodzie narodów, włączając ją w swój system polityczny. Natomiast my prowadziliśmy wojnę w obronie demokratycznych zasad i nowego, bardziej ludzkiego czy sprawiedliwego powojennego ładu. I dlatego nie wolno było nam zakładać „Łambinowic”, powodować się uczuciem zemsty a sąd polski nie powinien był uniewinniać komendanta obozu w Łambinowicach za popełniane okrucieństwa czy zbrodnie. Stojąc na takim stanowisku, jako kierownik Polskiego Związku Zachodniego we Wrocławiu (1947–1948), próbowałem realizować trudną akcję przestrzegania prawa wobec tzw. autochtonów, mających najczęściej już obywatelstwo polskie, a traktowanych w praktyce przez napływową ludność polską oraz władze (!) jako Niemcy-hitlerowcy, wobec których można bezkarnie popełniać nadużycia (np. zabór majątku połączony z nagłym wysiedleniem). Mimo iż miałem poparcie Ministerstwa Ziem Odzyskanych (W. Gomułka), co najmniej w teorii, Urząd Wojewódzki (Wydział d/s społeczno-politycznych, kierowany przez p. Taubego-Taborskiego) zażądał od w/wym. Ministerstwa „usunięcia” mnie z pełnionej funkcji z powodu „prowadzenia na D. Śląsku szkodliwej dla polskiej racji stanu działalności”. Moim zdaniem akurat było przeciwnie, również w przypadku Łambinowic...

Z.Z. WIERZBICKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.B. Kanada — Nie możemy Panu, niestety, pomóc. Nie mamy kontaktu z małymi francuskimi wydawnictwami poetyckimi, które zresztą wydają tylko tomiki poetów już uznanych. Pana syn, pisząc wiersze po francusku, może poprzez francuskie pisma literackie w Kanadzie trafić do małego wydawcy poezji.

J.K.-M., USA — Wybraliśmy do druku wiersz *Pomyłka*.

T.I.R., Polska; H.G.J., Kanada — Z wierszy nie skorzystamy.

B.D., Polska — Jak na 17-letniego chłopca wcale nieźle: ciekawy pomysł i gładko napisane. Ale *Moja żona* nie nadaje się jeszcze do druku. Bardzo zachęcamy do dalszej pracy.

W.M., Polska — Mogłby być ciekawy portrecik „skruszonego” Harasymowicza. Pod Pana piórem jednak jest mętny i ciężkawy.

L.Sz., Polska — Pana *Podstępny sztuki* wydrukujemy, traktując je jako zaproszenie do dyskusji.

Z.W.F., Polska — Pana rozmowa z Kanowiczem wydaje nam się udana.

M.J., Polska — Tak, warto przypomnieć nieznany wiersz Pietrkiewicza *Do Litwy*. Jeżeli chodzi o poetkę litewską Juditę Vaičiūnaitę, to może z większym dla czytelnika polskiego pożytkiem byłby szkic o niej (maksimum 15 stron maszynopisu), przeplatany fragmentami jej wierszy w Pana tłumaczeniu.

SPROSTOWANIE

Pisząc w majowym numerze *Kultury* o p. Barbarze Johnson zapomniałeliśmy podać, że sfinansowała ona tłumaczenia na język angielski artykułów do „Antologii *Kultury*”, opracowanej i wydanej przez p. Roberta Kostrzewę. Przepraszamy.

REDAKCJA

SPIS RZECZY (dok.)

POLEMIKI

Anna Frajllich Zajac: *List do Redaktora* 150

WOLNA TRYBUNA

Andrzej Robowski: *Polityk, nie polityk* 151

Andrzej Robowski: *O aborcji* 152

— *Wydarzenia miesiąca i Kronika kanadyjska* 153

Zd. Morawski, W.W. Wierzbicki: *Listy do Redakcji* 156

— *Odpowiedzi Redakcji* 159

Redakcja: *Sprostowanie* 160

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{tr} trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France
N° d'imprimeur 1923-1993

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna roczna

Ceny na rok 1993

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkowski, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonton Nr 48 82 346	K.S. 60,00	K.S. 330,00	K.S. 650,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolita)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy:
O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120



TOM 481 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO PIĄTY

zawiera opracowania: Antoni Stefan Koper: *Prasa polska w Niemczech*; Mieczysław Biesiekierski: *Polska akcja opiekuńcza we Francji w okresie okupacji niemieckiej (czerwiec 1940 – wrzesień 1944)*; Józef Lewandowski: *Kwestia narodowa w Europie wschodniej na przełomie epok (moskiewskie sympozjum)*; Józef Lewandowski: *Historia i polityka (bratysławskie sympozjum)*; Michał Rogaczow: *Transporty podążały do Komi*; Zygmunt Chmielewski: *Sangorodok*; Kazimierz Groszyński: *Dwadzieścia dwa miesiące*; Krystyna Oppenauer-Śreniowska: *Lwowskie Ossolineum w latach 1939–1941*; Tadeusz Wyrwa: *Powstanie Warszawskie w oczach Francuzów* oraz
LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 55 F